UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
STACKS

CENTRAL CIRCULATION AND BOOKSTACKS

The person borrowing this material is responsible for its renewal or return before the **Latest Date** stamped below. **You may be charged a minimum fee of $75.00 for each non-returned or lost item.**

Theft, mutilation, or defacement of library materials can be causes for student disciplinary action. All materials owned by the University of Illinois Library are the property of the State of Illinois and are protected by Article 16B of *Illinois Criminal Law and Procedure*.

TO RENEW, CALL (217) 333-8400.

University of Illinois Library at Urbana-Champaign

JUL 19 2002

When renewing by phone, write new due date below previous due date. L162

FARAON

PISMA
BOLESŁAWA PRUSA

TOM XI

FARAON

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

FARAON

POWIEŚĆ

TOM I

WYDANIE SIÓDME

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFEA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

7
B 56 f
v. 1

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.
1929.

891.85
G51
Of1929
v.1

WSTĘP.

W północno-wschodnim kącie Afryki leży Egipt, ojczyzna najstarszej cywilizacji w świecie. Przed trzema, czterema, a nawet pięciu tysiącami lat, kiedy w środkowej Europie odziani w surowe skóry barbarzyńcy kryli się po jaskiniach, Egipt już posiadał wysoką organizację społeczną, rolnictwo, rzemiosła i literaturę. Nadewszystko zaś wykonywał olbrzymie prace inżynierskie i wznosił kolosalne budowle, których szczątki budzą podziw w technikach nowożytnych.

Egipt jest to żyzny wąwóz między pustynią Libijską i Arabską. Głębokość jego wynosi kilkaset metrów, długość 130 mil, średnia szerokość zaledwo milę. Od zachodu łagodne, ale nagie wzgórza Libijskie, od wschodu strome i popękane skały Arabskie — są ścianami tego kurytarza, którego dnem płynie rzeka Nil.

Z biegiem rzeki na północ, ściany wąwozu zniżają się, a w odległości 25 mil od morza Śródziemnego nagle rozchodzą się, i Nil, zamiast płynąć ciasnym kurytarzem, rozlewa się kilkoma ramionami

Liberal Arts Library
De Paul University

po obszernej równinie, mającej kształt trójkąta. Trójkąt ten, zwany Deltą Nilową, ma za podstawę brzeg morza Śródziemnego, u wierzchołka zaś, przy wyjściu rzeki z wąwozu, miasto Kair, tudzież gruzy przedwiekowej stolicy, Memfisu.

Gdyby kto mógł wznieść się o 20 mil wgórę i stamtąd spojrzeć na Egipt, zobaczyłby dziwną formę kraju i osobliwe zmiany jego koloru. Z tej wysokości, na tle białych i pomarańczowych piasków, Egipt wyglądałby jak wąż, który w energicznych skrętach posuwa się przez pustynię do morza Śródziemnego i zanurzył w niem trójkątną głowę, ozdobioną dwojgiem oczu: lewem — Aleksandrją, prawem — Damiettą.

Długi ten wąż w październiku, kiedy Nil zalewa cały Egipt, miałby błękitną barwę wody. W lutym, kiedy miejsce opadających wód zajmuje wiosenna roślinność, wąż byłby zielony, z błękitną pręgą wzdłuż ciała i mnóstwem błękitnych żyłek na głowie, z powodu kanałów, które przecinają Deltę. W marcu błękitna pręga zwęziłaby się, a ciało węża, skutkiem dojrzewania zbóż, przybrałoby kolor złoty. Wreszcie w początkach czerwca Nilowa pręga byłaby bardzo cienka, a ciało węża zrobiłoby się szare, jakby przysłonione krepą, skutkiem suszy i pyłu.

Zasadniczą właściwością klimatu egipskiego jest upał; w styczniu bywa 10 stopni ciepła, w sierpniu 27; niekiedy gorąco sięga 47 stopni, co u nas odpowiada temperaturze rzymskiej łaźni. Nadto w sąsiedztwie morza Śródziemnego, nad Deltą,

deszcz pada ledwie dziesięć razy na rok, w górnym zaś Egipcie raz na 10 lat.

W tych warunkach Egipt, zamiast kolebką cywilizacji, byłby pustynnym wąwozem, jakich pełno wśród Sahary, gdyby co rok nie wskrzeszały go wody świętej rzeki Nilu. Od końca czerwca do końca września Nil przybiera i zalewa prawie cały Egipt; od końca października do końca maja roku następnego opada i stopniowo odsłania coraz niższe płaty gruntu. Wody rzeki są tak przesycone mineralnemi i organicznemi szczątkami, że kolor ich staje się brunatnawym, więc w miarę opadania wód, na zalanych gruntach osadza się muł żyzny, który zastępuje najlepsze nawozy. Ten muł i gorący klimat sprawiają, że Egipcjanin, zamknięty między pustyniami, może mieć trzy zbiory w ciągu roku i około 300 ziarn z jednego ziarna zasiewu.

Ale Egipt nie jest jednostajną płaszczyzną, lecz krajem falistym; niektóre jego grunta tylko przez dwa lub trzy miesiące piją błogosławione wody, inne nie widzą jej przez rok cały, wylew bowiem nie dosięga pewnych punktów. Niezależnie od tego trafiają się lata małych przyborów, a wówczas część Egiptu nie otrzymuje zapładniającego mułu. Nareszcie skutkiem upałów ziemia prędko wysycha, i trzeba ją zlewać, jak w doniczkach.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że naród, zamieszkujący dolinę Nilu, musiał albo zginąć, jeżeli był słabym, albo uregulować wody, jeżeli posiadał genjusz. Egipcjanie mieli genjusz, więc stworzyli cywilizację.

Już przed sześciu tysiącami lat spostrzegli, że Nil przybiera, gdy słońce ukazuje się pod gwiazdą Syrjuszem, a zaczyna opadać, gdy słońce zbliża się do gwiazdozbioru Wagi. Spostrzeżenia te popchnęły ich do obserwacyj astronomicznych i mierzenia czasu.

Aby zachować wodę przez cały rok, wykopali w swoim kraju długą na kilka tysięcy mil sieć kanałów. Aby zaś ubezpieczyć się od nadmiernych wylewów, wznosili potężne tamy i kopali zbiorniki, z pomiędzy których sztuczne jezioro Moeris zajmowało 300 kilometrów kwadratowych powierzchni, przy dwunastu piętrach głębokości. Nareszcie wzdłuż Nilu i kanałów pobudowali mnóstwo prostych, ale skutecznych machin hydraulicznych, zapomocą których można było czerpać wodę i wylewać ją na pola, położone o jedno lub dwa piętra wyżej. I jeszcze, jako dopełnienie wszystkiego, trzeba było co rok oczyszczać zamulone kanały, poprawiać tamy i budować wysoko położone drogi dla wojsk, które w każdej porze musiały odbywać marsze.

Te olbrzymie prace wymagały, obok wiadomości z astronomji, miernictwa, mechaniki i budownictwa, jeszcze — doskonałej organizacji. Czy to umocnienie grobli, czy oczyszczanie kanałów musiało być robione i zrobione w pewnym czasie, na wielkiej przestrzeni. Stąd powstała konieczność utworzenia armji robotniczej, liczącej dziesiątki tysięcy głów, działającej w oznaczonym celu i pod jednym kierunkiem, armji, która potrzebowała wiele żywności, środków i sił pomocniczych.

Egipt zdobył się na taką armję pracowników i jej zawdzięcza swoje wiekopomne dzieła. Zdaje się, że stworzyli ją, a następnie kreślili jej plany — kapłani, czyli mędrcy egipscy, rozkazywali zaś królowie, czyli faraonowie. Skutkiem tego naród egipski w czasach wielkości tworzył jakby jedną osobę, w której stan kapłański odgrywał rolę myśli, faraon był wolą, lud — ciałem, a posłuszeństwo — cementem.

Tym sposobem sama przyroda Egiptu, domagająca się wielkiej, ciągłej i porządnej roboty, stworzyła szkielet społecznej organizacji tego kraju: lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany. I dopóki te trzy czynniki dążyły zgodnie do celów, wskazanych przez naturę, póty społeczność mogła kwitnąć i dokonywać swoich dzieł wiecznotrwałych.

Łagodny i wesoły, a bynajmniej nie wojowniczy lud egipski dzielił się na dwie klasy: rolników i rzemieślników. Między rolnikami musieli być jacyś właściciele drobnych kawałków gruntu, przeważnie jednak byli dzierżawcy ziem, należących do faraona, kapłanów i arystokracji. Rzemieślnicy, wyrabiający odzież, sprzęty, naczynia i narzędzia, byli samodzielnymi; pracujący zaś przy wielkich budowlach tworzyli jakby armję.

Każda z tych specjalności, a głównie budownictwo wymagało sił pociągowych i motorów: ktoś musiał czerpać po całych dniach wodę z kanałów, lub przenosić kamienie z kopalń tam, gdzie były potrzebne. Te najcięższe mechaniczne zajęcia,

a przedewszystkiem prace w kamieniołomach, wykonywali przestępcy, skazani przez sądy, lub schwytani na wojnie niewolnicy.

Rodowici Egipcjanie mieli barwę skóry miedzianą, czem chełpili się, gardząc jednocześnie czarnymi Etjopami, żółtymi semitami i białymi europejczykami. Ten kolor skóry, pozwalający odróżnić swojego od obcego, przyczynił się do utrzymania narodowej jedności silniej, aniżeli religja, którą można przyjąć, albo język, którego można się wyuczyć.

Z biegiem czasu jednak, kiedy państwowy gmach zaczął pękać, do kraju coraz liczniej napływały obce pierwiastki. Osłabiały one spójność, rozsadzały społeczeństwo, a nareszcie zalały i rozpuściły w sobie pierwotnych mieszkańców kraju.

Faraon rządził państwem przy pomocy armji stałej, milicji, czy policji, tudzież mnóstwa urzędników, z których powoli utworzyła się arystokracja rodowa. Tytularnie był on prawodawcą, naczelnym wodzem, najbogatszym właścicielem, najwyższym sędzią, kapłanem, a nawet synem bożym i bogiem. Cześć boską odbierał nietylko od ludu i urzędników, ale niekiedy sam sobie stawiał ołtarze i przed swemi własnemi wizerunkami palił kadzidła.

Obok faraonów, a bardzo często ponad nimi stali kapłani; był to zakon mędrców, kierujący losami kraju.

Dziś prawie nie można sobie wyobrazić nadzwyczajnej roli, jaką stan kapłański odegrywał w Egipcie. Byli oni nauczycielami młodych poko-

leń, wróżbitami, a więc doradcami ludzi dorosłych, sędziami zmarłych, którym ich wola i wiedza gwarantowała nieśmiertelność. Nietylko spełniali drobiazgowe obrządki religijne przy bogach i faraonach, ale jeszcze leczyli chorych jako lekarze, wpływali na bieg robót publicznych jako inżynierowie, tudzież na politykę jako astrologowie, a nadewszystko znawcy własnego kraju i jego sąsiadów.

W historji Egiptu pierwszorzędne znaczenie mają stosunki, jakie istniały między stanem kapłańskim a faraonami. Najczęściej faraon składał bogom hojne ofiary i wznosił świątynie. Wówczas żył długo, a jego imię i wizerunki, ryte na pomnikach, przechodziły od pokolenia do pokolenia, pełne chwały. Wielu jednak faraonów panowało krótko, a niektórych znikały nietylko czyny, ale nawet nazwiska. Parę razy zaś trafiło się, że upadała dynastja, a klaff, czapkę faraonów, otoczoną wężem, przywdziewał — kapłan.

Egipt rozwijał się, dopóki jednolity naród, energiczni królowie i mądrzy kapłani współdziałali sobie dla pomyślności ogółu. Lecz nadeszła epoka, że lud skutkiem wojen zmniejszył się liczebnie, w ucisku i zdzierstwie utracił siły, napływ zaś obcych przybyszów podkopał rasową jedność. A gdy jeszcze w powodzi azjatyckiego zbytku utonęła energja faraonów i mądrość kapłanów, i dwie te potęgi rozpoczęły między sobą walkę o monopol obdzierania ludu, wówczas Egipt dostał się pod władzę cudzoziemców, i światło cywilizacji, przez kilka tysięcy lat płonące nad Nilem — zagasło.

Poniższe opowiadanie odnosi się do XI-go wieku przed Chrystusem, kiedy upadła dynastja XX-ta, a po synu słońca, wiecznie żyjącym Ramzesie XIII, wdarł się na tron i czoło swoje ozdobił u r e u s e m wiecznie żyjący syn słońca Sem-amen-Herhor, arcykapłan Ammona...

ROZDZIAŁ I.

W 33-im roku szczęśliwego panowania Ramzesa XII-go Egipt święcił dwie uroczystości, które prawowiernych jego mieszkańców napełniły dumą i słodyczą.

W miesiącu Mechir, w grudniu, wrócił do Tebów, obsypany kosztownemi darami, bożek Chonsu, który przez trzy lata i dziewięć miesięcy podróżował w kraju Buchten, uzdrowił tam córkę królewską imieniem Bent-res i wypędził złego ducha nietylko z rodziny króla, ale nawet z fortecy Buchtenu.

Zaś w miesiącu Farmuti, w lutym, pan Górnego i Dolnego Egiptu, władca Fenicji i dziewięciu narodów, Mer-amen-Ramzes XII-ty, po naradzeniu się z bogami, którym jest równy, mianował swoim erpatrem, czyli następcą tronu, dwudziestodwuletniego syna Cham-semmerer-amen-Ramzesa.

Wybór ten wielce uradował pobożnych kapłanów, dostojnych nomarchów, waleczną armję, wierny lud i wszelkie żyjące na ziemi egipskiej stworzenie. Starsi bowiem synowie faraona, urodzeni z kró-

lewny chetyjskiej, za sprawą czarów, których zbadać nie można, byli nawiedzeni przez złego ducha. Jeden syn, 27-letni, od czasu pełnoletności nie mógł chodzić, drugi przeciął sobie żyły i umarł, a trzeci, przez zatrute wino, którego nie chciał się wyrzec, wpadł w szaleństwo i, mniemając, że jest małpą, całe dni przepędzał na drzewach.

Dopiero czwarty syn, Ramzes, urodzony z królowej Nikotris, córki arcykapłana Amenhotepa, był silny jak wół Apis, odważny jak lew, i mądry jak kapłani. Od dzieciństwa otaczał się wojskowymi i, jeszcze będąc zwyczajnym księciem, mawiał:

— Gdyby bogowie, zamiast młodszym synem królewskim, uczynili mnie faraonem, podbiłbym, jak Ramzes Wielki, dziewięć narodów, o których nigdy w Egipcie nie słyszano, zbudowałbym świątynię większą aniżeli całe Teby, a dla siebie wzniósłbym piramidę, przy której grób Cheopsa wyglądałby jak krzak róży obok dojrzałej palmy...

Otrzymawszy tak pożądany tytuł erpatra, młody książę poprosił ojca o łaskawe mianowanie go dowódcą korpusu Menfi. Na co jego świątobliwość Ramzes XII-ty, po naradzie z bogami, którym jest równy, odpowiedział, iż uczyni to, jeśli następca tronu złoży dowód, że potrafi kierować masą wojsk na stopie bojowej.

W tym celu zwołaną była rada pod prezydencją ministra wojny Sem-amen-Herhora, który był arcykapłanem największej świątyni Amona w Tebach.

Rada postanowiła:

Następca tronu w połowie miesiąca Misori (początek czerwca) zbierze dziesięć pułków, rozlokowanych wzdłuż linji, która łączy miasto Memfis z miastem Pi-uto, leżącem w zatoce Sebenickiej.

Z tym dziesięciotysięcznym korpusem, przygotowanym do boju, zaopatrzonym w obóz i machiny wojenne, następca uda się na wschód, ku gościńcowi, który biegnie od Memfis do Chetem, na granicy ziemi Gosen i pustyni egipskiej.

W tym czasie, generał Nitager, naczelny wódz armji, która strzeże bram Egiptu od najazdu azjatyckich ludów, ma wyruszyć od Gorzkich jezior przeciw następcy tronu.

Obie armje: azjatycka i zachodnia, zetkną się w okolicach miasta Pi-Bailos, ale — na pustyni, ażeby pracowity rolnik ziemi Gosen nie doznał przeszkód w swoich zajęciach.

Następca tronu zwycięży, jeżeli nie da się zaskoczyć Nitagerowi, a więc jeżeli zgromadzi wszystkie pułki i zdąży ustawić je w szyku bojowym na spotkanie nieprzyjaciela.

W obozie księcia Ramzesa znajdować się będzie sam jego dostojność Herhor, minister wojny, i o biegu wypadków złoży raport faraonowi.

Granicę ziemi Gosen i pustyni stanowiły dwie drogi komunikacyjne. Jedną był kanał transportowy od Memfis do Jeziora Timrah, drugą — szosa. Kanał znajdował się jeszcze w ziemi Gosen, szosa już w pustyni, którą obie drogi otaczały półkolem. Z szosy prawie na całej przestrzeni widać było kanał.

Niezależnie od sztucznych granic, sąsiadujące krainy różniły się pod każdym względem. Ziemia Gosen, pomimo falistości gruntu, wydawała się równiną, pustynię zaś składały wapienne wzgórza i doliny piaszczyste. Ziemia Gosen wyglądała jak olbrzymia szachownica, której zielone i żółte poletka odgraniczały się barwą zbóż i palmami, rosnącemi na miedzach; zaś na rudym piasku pustyni i jej białych wzgórzach płat zieloności, albo kępa drzew i krzaków wyglądały jak zbłąkany podróżny.

Na płodnej ziemi Gosen z każdego pagórka tryskał ziemny gaj akacyj, sykomorów i tamarindusów, zdaleka przypominających nasze lipy, wśród których kryły się pałacyki z rzędami przysadzistych kolumn, albo żółte lepianki chłopów. Niekiedy obok gaju bieliło się miasteczko z domami o płaskich dachach, albo ponad drzewa ciężko wznosiły się piramidalne bramy świątyń, niby podwójne skały upstrzone dziwnemi znakami.

W pustyni, z poza pierwszego szeregu trochę zielonych pagórków, wyzierały nagie wzgórza, zasłane stertami głazów.

Zdawało się, że przesycony nadmiarem życia kraj zachodni, z królewską hojnością, rzuca na drugą stronę kanału zieleń i kwiaty; lecz wiecznie głodna pustynia pożera je w następnym roku i przerabia na popiół.

Odrobina roślinności, wygnanej na skały i piaski, trzymała się miejsc niższych, dokąd zapomocą rowów, przebitych w nasypie szosy, można było doprowadzić wodę z kanału. Jakoż między łysemi

wzgórzami, wpobliżu szosy, piły rosę niebieską ukryte oazy, gdzie rósł jęczmień i pszenica, winny krzew, palmy i tamarindusy.

W takich miejscach żyli i ludzie pojedyńczemi rodzinami, którzy, spotkawszy się na targu w Pi-Bailos, mogli nawet nie wiedzieć, że sąsiadują z sobą na pustyni.

16-go Misori koncentracja wojsk była prawie skończona. Dziewięć pułków następcy tronu, które miały zluzować azjatyckie wojska Nitagera, już zebrały się na gościńcu powyżej miasta Pi-Bailos, z obozem i częścią wojennych machin.

Ruchami ich kierował sam następca. On zorganizował dwie linje zwiadów, z których dalsza miała śledzić nieprzyjaciół, bliższa — pilnować własnej armji od napadu, który był możliwym w okolicy, pełnej wzgórz i wąwozów. On, Ramzes, w ciągu tygodnia sam objechał i obejrzał maszerujące różnemi traktami pułki, pilnie bacząc: czy żołnierze mają porządną broń i ciepłe płaszcze na noc, czy w obozach znajduje się dostateczna ilość sucharów, mięsa i suszonych ryb. On wreszcie rozkazał, aby żony, dzieci i niewolników wojsk, idących na granicę wschodnią, przewieziono kanałem; wpłynęło to na zmniejszenie obozów i ułatwiło ruchy właściwej armji.

Najstarsi generałowie podziwiali wiedzę, zapał i ostrożność następcy tronu, a nadewszystko jego pracę i prostotę. Swój liczny dwór, książęcy namiot, wozy i lektyki zostawił on w Memfis, a sam w odzieży prostego oficera jeździł od pułku do pułku, konno,

na sposób asyryjski, w towarzystwie dwu adjutantów.

Dzięki temu, koncentracja właściwego korpusu poszła bardzo szybko, i wojska w oznaczonym czasie stanęły pod Pi-Bailos.

Inaczej było z książęcym sztabem, z greckim pułkiem, który mu towarzyszył, i kilku wojennemi machinami.

Sztab, zebrany w Memfis, miał drogę najkrótszą, więc wyruszył najpóźniej, ciągnąc za sobą ogromny obóz. Prawie każdy oficer, a byli to panicze wielkich rodów, miał lektykę z czterema murzynami, dwukolny wóz wojenny, bogaty namiot i mnóstwo skrzynek z odzieżą i jedzeniem, tudzież dzbanów pełnych piwa i wina. Prócz tego za oficerami wybrała się w podróż liczna trupa śpiewaczek i tancerek z muzyką; każda zaś, jako wielka dama, musiała mieć wóz, zaprzężony w jedną lub dwie pary wołów, i lektykę.

Gdy ciżba ta wylała się z Memfis, zajęła na gościńcu więcej miejsca, aniżeli armja następcy tronu. Maszerowano zaś tak powoli, że machiny wojenne, które zostawiono na końcu, ruszyły o dobę później, aniżeli był rozkaz. Na domiar złego, śpiewaczki i tancerki, zobaczywszy pustynię, wcale jeszcze nie straszną w tem miejscu, zaczęły bać się i płakać. Więc dla uspokojenia ich, trzeba było przyśpieszyć nocleg, rozbić namioty i urządzić widowisko, a potem ucztę.

Nocna zabawa, w chłodzie, pod gwiaździstem niebem, na tle dzikiej natury, tak podobała się

tancerkom i śpiewaczkom, że oświadczyły, iż odtąd będą występowały tylko w pustyni. Tymczasem następca tronu, dowiedziawszy się w drodze o sprawach swego sztabu, przysłał rozkaz, ażeby jak najprędzej zawrócono kobiety do miasta i przyśpieszono pochód.

Przy sztabie znajdował się jego dostojność Herhor, minister wojny, lecz tylko w charakterze widza. Nie prowadził za sobą śpiewaczek, ale też i nie robił żadnych uwag sztabowcom. Kazał wynieść swoją lektykę na czoło kolumny i, stosując się do jej ruchów, posuwał się naprzód, albo odpoczywał pod cieniem wielkiego wachlarza, którym osłaniał go adjutant.

Jego dostojność Herhor był to człowiek czterdziestokilkoletni, silnie zbudowany, zamknięty w sobie. Rzadko odzywał się i równie rzadko spoglądał na ludzi z pod zapuszczonych powiek.

Jak każdy Egipcjanin, miał obnażone ręce i nogi, odkrytą pierś, sandały na stopach, krótką spódniczkę dokoła bioder, a zprzodu fartuszek w pasy niebieskie i białe. Jako kapłan, golił zarost i włosy i nosił skórę pantery, zawieszoną przez lewe ramię. Nareszcie, jako żołnierz, nakrywał głowę małym gwardyjskim hełmem, z pod którego na kark spadała chusteczka, również w białe i niebieskie pasy.

Na szyi miał potrójny łańcuch złoty, a pod lewem ramieniem, na piersiach krótki miecz w kosztownej pochwie.

Lektyce jego, dźwiganej przez sześciu czarnych

niewolników, stale towarzyszyło trzech ludzi: jeden niósł wachiarz, drugi topór ministra, a trzeci skrzynkę z papirusami. Był to Pentuer, kapłan i pisarz ministra, chudy asceta, który w największy upał nie nakrywał ogolonej głowy. Pochodził z ludu, lecz pomimo niskiego urodzenia, zajmował ważne stanowisko w państwie, dzięki wyjątkowym zdolnościom.

Chociaż minister ze swymi urzędnikami znajdował się na czele sztabowej kolumny i nie mieszał się do jej ruchów, nie można jednak twierdzić, ażeby nie wiedział, co się dzieje poza nim. Co godzina, niekiedy co pół godziny, do lektyki dostojnika zbliżał się — to niższy kapłan, zwyczajny „sługa boży", to żołnierz-maruder, to przekupień albo niewolnik, który niby obojętnie przechodząc obok cichego orszaku ministra, rzucał jakieś słówko. Słówko to zaś Pentuer niekiedy zapisywał, ale najczęściej pamiętał, bo pamięć miał nadzwyczajną.

Na te drobnostki nikt nie zważał w zgiełkliwym tłumie sztabowców. Oficerowie, wielcy panicze, zanadto byli zajęci bieganiem, hałaśliwą rozmową lub śpiewem, ażeby mieli patrzeć, kto zbliża się do ministra, tem więcej, że wciąż mnóstwo ludzi snuło się wzdłuż szosy.

15-go Misori sztab następcy tronu, razem z jego dostojnością ministrem, przepędził noc pod gołem niebem w odległości jednej mili od pułków, ustawiających się już do boju wpoprzek szosy, za miastem Pi-Bailos.

Przed pierwszą z rana, która odpowiada naszej godzinie szóstej, wzgórza pustynne przybrały kolor fioletowy. Z poza nich wychyliło się słońce. Ziemię Gosen zalała różowość, a miasteczka, świątynie, pałace magnatów i lepianki chłopów wyglądały jak iskry i płomienie, w jednej chwili zapalone wśród zieloności.

Niebawem zachodni horyzont oblała barwa złota. I zdawało się, że zieloność ziemi Gosen rozpływała się w złocie, a niezliczone kanały, zamiast wody, toczą roztopione srebro. Ale wzgórza pustyni zrobiły się jeszcze mocniej fioletowemi, rzucając długie cienie na piaski i czarność na rośliny.

Straże, stojące wzdłuż szosy, doskonale mogły widzieć wysadzone palmami pola za kanałem. Na jednych zielenił się len, pszenica, koniczyna, na innych — złocił się dojrzewający jęczmień drugiego posiewu. Jednocześnie z chat, ukrytych między drzewami, zaczęli wychodzić do roboty rolnicy, ludzie nadzy, barwy miedzianej, którzy za cały ubiór mieli krótką spódniczkę na biodrach i czepek na głowie.

Jedni zwrócili się do kanałów, aby oczyszczać je z mułu, albo czerpać wodę i wylewać na pola, zapomocą machin, podobnych do żórawi przy studniach. Inni, rozproszywszy się między drzewami, zbierali dojrzałe figi i winogrona. Snuło się tam sporo nagich dzieci i kobiet w białych, żółtych lub czerwonych koszulach bez rękawów.

I był wielki ruch w tej okolicy. Na niebie drapieżne ptactwo pustyni uganiało się za gołębiami

i kawkami ziemi Gosen. Wzdłuż kanału huśtały się zgrzytające żórawie z kubełkami płodnej wody, a ludzie, którzy zbierali owoce, ukazywali się i znikali między zielonością drzew, jak barwne motyle. Zaś w pustyni, na szosie, już zamrowiło się wojsko i jego służba. Przeleciał oddział konnych, uzbrojonych w lance. Za nim pomaszerowali łucznicy w czepkach i spódniczkach; mieli oni łuki w garści, sajdaki na plecach i szerokie tasaki u prawego boku. Łucznikom towarzyszyli procarze, niosący torby z pociskami i uzbrojeni w krótkie miecze.

O sto kroków za nimi szły dwa małe oddziałki piechoty: jeden uzbrojony we włócznie, drugi w topory. Ci i tamci nieśli w rękach prostokątne tarcze, na piersiach mieli grube kaftany, niby pancerze, a na głowie czepki z chusteczkami, zasłaniającemi kark od upału. Czepki i kaftany były w pasy niebieskie z białem, lub żółte z czarnem, co robiło żołnierzy podobnymi do wielkich szerszeni.

Za przednią strażą, otoczona orszakiem toporników, posuwała się lektyka ministra, a za nią w miedzianych hełmach i pancerzach, greckie roty, których miarowy krok przypominał uderzenia ciężkich młotów. Wtyle było słychać skrzypienie wozów, a zboku szosy przemykał się brodaty handlarz fenicki, w lektyce zawieszonej między dwoma osłami. Nad tem wszystkiem unosił się tuman złotego pyłu i gorąco.

Nagle od straży przedniej przycwałował konny żołnierz i zawiadomił ministra, że zbliża się następca tronu. Jego dostojność wysiadł z lektyki,

a w tejże chwili na szosie ukazała się garstka jeźdźców, którzy zeskoczyli z koni. Poczem jeden z jeźdźców i minister zaczęli iść ku sobie, co kilka kroków zatrzymując się i kłaniając.

— Bądź pozdrowiony, synu faraona, który oby żył wiecznie! — odezwał się minister.

— Bądź pozdrowiony i żyj długo, ojcze święty — odparł następca — potem dodał:

— Ciągniecie tak wolno, jakby wam nogi upiłowano, a Nitager najpóźniej za dwie godziny stanie przed naszym korpusem.

— Powiedziałeś prawdę. Twój sztab maszeruje bardzo powoli.

— Mówi mi też Eunana — tu Ramzes wskazał stojącego za sobą oficera, obwieszonego amuletami — że nie wysyłaliście patroli do wąwozów. A przecież na wypadek rzeczywistej wojny, nieprzyjaciel z tej strony mógł was napaść.

— Nie jestem dowódcą, tylko sędzią — spokojnie odpowiedział minister.

— A cóż robił Patrokles?

— Patrokles z greckim pułkiem eskortuje machiny wojenne.

— A mój krewny i adjutant Tutmozis?

— Podobno jeszcze śpi.

Ramzes niecierpliwie uderzył nogą w ziemię i umilkł. Był to piękny młodzieniec, z twarzą prawie kobiecą, której gniew i opalenizna dodawały wdzięku. Miał na sobie obcisły kaftan w pasy niebieskie i białe, tegoż koloru chustkę pod hełmem,

złoty łańcuch na szyi i kosztowny miecz pod lewem ramieniem.

— Widzę — odezwał się książę — że tylko ty jeden, Eunano, dbasz o moją cześć.

Obwieszony amuletami oficer schylił się do ziemi.

— Tutmozis jest to próżniak — mówił następca. — Wracaj, Eunano, na swoje stanowisko. Niech przynajmniej przednia straż ma dowódcę.

Potem, spojrzawszy na świtę, która już go otoczyła, jakby wyrosła z pod ziemi, dodał:

— Niech mi przyniosą lektykę. Jestem zmęczony, jak kamieniarz.

— Czyliż bogowie mogą męczyć się!...—szepnął jeszcze stojący za nim Eunana.

— Idź na swoje miejsce! — rzekł Ramzes.

— A może rozkażesz mi, wizerunku księżyca, teraz zbadać wąwozy? — cicho spytał oficer. — Proszę cię, rozkazuj mi, bo gdziekolwiek jestem, serce moje goni za tobą, aby odgadnąć twoją wolę i spełnić ją.

— Wiem, że jesteś czujny — odparł Ramzes.— Już idź i uważaj na wszystko.

— Ojcze święty — zwrócił się Eunana do ministra — polecam waszej dostojności moje najpokorniejsze służby.

Ledwie Eunana odjechał, gdy na końcu maszerującej kolumny zrobił się jeszcze większy tumult. Szukano lektyki następcy tronu, ale — nie było jej. Natomiast ukazał się, rozbijając greckich żołnierzy, młodzieniec dziwnej powierzchowności.

Miał na sobie muślinową koszulkę, bogato haftowany fartuszek i złotą szarfę przez ramię. Nadewszystko jednak odznaczała się jego ogromna peruka, składająca się z mnóstwa warkoczyków i sztuczna bródka, podobna do kociego ogona.

Był to Tutmozis, pierwszy elegant w Memfis, który nawet podczas marszu stroił się i oblewał perfumami.

— Witaj Ramzesie!—wołał elegant, gwałtownie rozpychając oficerów. — Wyobraź sobie, że gdzieś podziała się twoja lektyka: musisz więc wsiąść do mojej, która wprawdzie nie jest godną ciebie, ale nie najgorszą.

— Rozgniewałeś mnie — odparł książę. — Śpisz, zamiast pilnować wojska.

Zdumiony elegant zatrzymał się.

— Ja śpię?... — zawołał. — Bodaj język usechł temu, kto mówi podobne kłamstwa. Ja, wiedząc, że przyjedziesz, od godziny ubieram się, przygotowuję ci kąpiel i perfumy...

— A tymczasem oddział posuwa się bez komendy.

— Więc ja mam być komendantem oddziału, w którym znajduje się jego dostojność minister wojny i taki wódz, jak Patrokles?

Następca tronu umilkł, a tymczasem Tutmozis, zbliżywszy się do niego, szeptał:

— Jak ty wyglądasz, synu faraona?... Nie masz peruki, włosy i odzienie pełne kurzu, skóra czarna i popękana, jak ziemia w lecie?... Najczcigodniejsza

królowa-matka wygnałaby mnie ze dworu, zobaczywszy twoją nędzę...

— Jestem tylko zmęczony.

— Więc siadaj do lektyki. Są tam świeże wieńce róż, pieczone ptaszki i dzban wina z Cypru. Ukryłem też — dodał ciszej — Senurę w obozie...

— Jest?... — spytał książę.

Błyszczące przed chwilą oczy zamgliły mu się.

— Niech wojsko idzie naprzód — mówił Tutmozis — a my tu zaczekajmy na nią.

Ramzes jakby ocknął się.

— Dajże mi spokój, pokuso... Przecież za dwie godziny bitwa...

— Co to za bitwa!...

— A przynajmniej rozstrzygnięcie losów mego dowództwa.

— Żartuj z tego — uśmiechnął się elegant. — Przysiągłbym, że już wczoraj minister wojny posłał raport do jego świątobliwości, z prośbą, ażebyś dostał korpus Menfi.

— Wszystko jedno. Dziś nie potrafiłbym myśleć o czem innem, aniżeli o armji.

— Okropny jest w tobie ten pociąg do wojny, na której człowiek nie myje się przez całe miesiące, ażeby pewnego dnia zginąć... Brr!... Gdybyś jednak zobaczył Senurę... Tylko spojrzyj na nią...

— Właśnie dlatego nie spojrzę — odparł Ramzes stanowczo.

W chwili, gdy z poza greckich szeregów ośmiu ludzi wyniosło ogromną lektykę Tutmozisa dla następcy tronu, od straży przedniej przyleciał jeździec.

Zsunął się z konia i biegł tak prędko, aż dzwoniły mu na piersiach wizerunki bogów, lub tabliczki z ich imionami. Był to rozgorączkowany Eunana.

Wszyscy zwrócili się do niego, co zdawało się robić mu przyjemność.

— Erpatre, najwyższe usta! — zawołał Eunana, schylając się przed Ramzesem. — Kiedy zgodnie z twoim boskim rozkazem, jechałem na czele oddziału, pilnie bacząc na wszystko, spostrzegłem na szosie dwa piękne **scarabeusze**. Każdy ze świętych żuków toczył przed sobą glinianą kulkę wpoprzek drogi, ku piaskom...

— Więc cóż? — przerwał następca.

— Rozumie się — ciągnął Eunana, spoglądając w stronę ministra — że, jak nakazuje pobożność, ja i moi ludzie, złożywszy hołd złotym wizerunkom słońca, zatrzymaliśmy pochód. Jest to tak ważna wróżba, że bez rozkazu żaden z nas nie ośmieliłby się iść naprzód.

— Widzę, że jesteś prawdziwie pobożnym Egipcjaninem, choć rysy masz chetyckie — odpowiedział dostojny Herhor, a zwróciwszy się do kilku bliżej stojących dygnitarzy, dodał:

— Nie pójdziemy dalej gościńcem, bo moglibyśmy podeptać święte żuki. Pentuerze, czy tym wąwozem, na prawo, można okolić szosę?

— Tak jest — odparł pisarz ministra. — Wąwóz ten ma milę długości i wychodzi znowu na szosę, prawie naprzeciw Pi-Bailos.

— Ogromna strata czasu! — wtrącił gniewnie następca.

— Przysiągłbym, że to nie skarabeusze, ale duchy moich fenickich lichwiarzy — odezwał się elegant Tutmozis. — Nie mogąc z powodu śmierci odebrać pieniędzy, zmuszają mnie, abym za karę szedł przez pustynię!...

Świta książęca z niepokojem oczekiwała decyzji, więc Ramzes odezwał się do Herhora:

— Cóż o tem myślisz, ojcze święty?

— Spojrzyj na oficerów — odparł kapłan — a zrozumiesz, że musimy iść wąwozem.

Teraz wysunął się dowódca Greków, generał Patrokles, i rzekł do następcy:

— Jeżeli książę pozwolisz, mój pułk pójdzie dalej szosą. Nasi żołnierze nie boją się skarabeuszów.

— Wasi żołnierze nie boją się nawet grobów królewskich — odpowiedział minister. — Nie musi tam być jednak bezpiecznie, skoro żaden nie wrócił.

Zmieszany Grek usunął się do świty.

— Przyznaj, ojcze święty — szepnął z najwyższym gniewem następca — że taka przeszkoda nawet osła nie zatrzymałaby w podróży.

— To też osieł nigdy nie będzie faraonem — spokojnie odparł minister.

— W takim razie ty, ministrze, przeprowadzisz oddział przez wąwóz! — zawołał Ramzes. — Ja nie znam się na kapłańskiej taktyce, zresztą — muszę odpocząć. Chodź ze mną, kuzynie — rzekł do Tutmozisa i skierował się w stronę łysych pagórków.

ROZDZIAŁ II.

Jego dostojność Herhor natychmiast polecił swemu adjutantowi, który nosił topór, objąć dowództwo straży przedniej w miejsce Eunany. Potem wysłał rozkaz, ażeby machiny wojenne do rzucania wielkich kamieni zjechały z szosy ku wąwozowi, a żołnierze greccy aby ułatwili im przejście w miejscach trudnych. Wszystkie zaś wozy i lektyki oficerów świty miały ruszyć na końcu.

Kiedy Herhor wydawał rozkazy, adjutant, noszący wachlarz, zbliżywszy się do pisarza Pentuera, szepnął:

— Chyba już nigdy nie będzie można jeździć tą szosą...

— Dlaczego? — odparł młody kapłan. — Ale skoro dwa święte żuki przeszły nam drogę, nie wypada iść nią dalej. Mogłoby się zdarzyć nieszczęście.

— Już i tak jest nieszczęście. Albo nie uważałeś, że książę Ramzes rozgniewał się na ministra? A nasz pan nie należy do tych, którzy zapominają...

— Nie książę na naszego pana, ale nasz pan na księcia obraził się i zgromił go — odrzekł Pentuer. — I dobrze zrobił. Bo młodemu księciu już dziś wydaje się, że będzie drugim Menesem...

— Chyba Ramzesem Wielkim?... — wtrącił adjutant.

— Ramzes Wielki słuchał bogów, za co we wszystkich świątyniach ma chlubne napisy. Ale Menes, pierwszy faraon Egiptu, był burzycielem porządku i tylko ojcowskiej łagodności kapłanów za-

wdzięcza, że jego imię jest wspominane... Chociaż nie dałbym jednego utena miedzi, że mumja Menesa nie istnieje.

— Mój Pentuerze — mówił adjutant — jesteś mędrcem, więc rozumiesz, że nam wszystko jedno, czy mamy dziesięciu panów, czy jedenastu...

— Ale ludowi nie wszystko jedno czy ma wydobywać co rok górę złota dla kapłanów, czy dwie góry złota: dla kapłanów i dla faraona — odpowiedział Pentuer, i oczy mu błysnęły.

— Rozmyślasz o niebezpiecznych sprawach — szepnął adjutant.

— A ileż to razy ty sam gorszyłeś się zbytkami dworu faraona i nomarchów?... — spytał zdziwiony kapłan.

— Cicho... cicho!... jeszcze będziemy mówili o tych rzeczach, ale nie teraz.

Pomimo piasku machiny wojenne, do których przyprzężono po dwa woły, szybciej toczyły się po pustyni, aniżeli po szosie. Przy pierwszej z nich szedł Eunana, zakłopotany i rozmyślający nad tem: dlaczego minister pozbawił go dowództwa przedniej straży? Czy chcą mu powierzyć jakieś wyższe stanowisko?

Wyglądając tedy nowej karjery, a może dla zagłuszenia obaw, które miotały jego sercem, pochwycił drąg i, gdzie był głębszy piasek, podpierał balistę, albo krzykiem zachęcał Greków. Ci jednak mało na niego zwracali uwagi.

Już dobre pół godziny orszak posuwał się krętym wąwozem, o ścianach nagich i spadzistych, gdy

straż przednia znowu zatrzymała się. W tem miejscu znajdował się inny wąwóz, poprzeczny, środkiem którego ciągnął się dość szeroki kanał.

Goniec, wysłany do ministra z wiadomością o przeszkodzie, przywiózł polecenie, ażeby kanał natychmiast zasypać.

Około setki żołnierzy greckich z oskardami i łopatami rzuciło się do roboty. Jedni odrąbywali kamienie ze skał, inni wrzucali je do rowu i przysypywali piaskiem.

Wtem, z głębi wąwozu wyszedł człowiek z motyką, mającą formę bocianiej szyi z dziobem. Był to chłop egipski, stary, zupełnie nagi. Przez chwilę, z najwyższem zdumieniem patrzał na robotę żołnierzy, nagle skoczył między nich, wołając:

— Co wy dokazujecie, poganie, przecież to kanał?...

— A ty jak śmiesz złorzeczyć wojownikom ego świątobliwości? — zapytał go, już obecny w tem miejscu, Eunana.

— Widzę, że musisz być wielkim i Egipcjaniem — odparł chłop — więc odpowiem ci, że ten kanał należy do potężnego pana: jest on ekonomem u pisarza przy takim, co nosi wachlarz jego ostojności nomarchy Memfisu. Baczcie więc, ażeby was nieszczęście nie spotkało!...

— Róbcie swoje — rzekł protekcjonalnym tonem Eunana do żołnierzy greckich, którzy zaczęli przypatrywać się chłopu.

Nie rozumieli jego mowy, ale zastanowił ich

— Oni wciąż zasypują!... — mówił chłop z rosnącem przerażeniem. — Biada wam, psubraty! — zawołał, rzucając się na jednego z motyką.

Grek wyrwał motykę, uderzył chłopa w zęby, aż krew wystąpiła mu na usta. A potem znowu zabrał się do sypania piasku.

Oszołomiony ciosem chłop stracił odwagę i zaczął błagać:

— Panie — mówił — ależ ten kanał ja sam kopałem przez dziesięć lat, nocami i w święta! Nasz pan obiecał, że, jeżeli uda mi się przeprowadzić wodę do tej dolinki, zrobi mnie na niej parobkiem, odstąpi piątą część zbiorów i da wolność... słyszycie?... Wolność mnie i trojgu dzieciom!... o bogowie!...

Wzniósł ręce i znów zwrócił się do Eunany:

— Oni mnie nie rozumieją, ci zamorscy brodacze, potomstwo psów, bracia Fenicjan i żydów! Ale ty, panie, wysłuchasz mnie... Od dziesięciu lat, kiedy inni szli na jarmark, albo na tańce, albo na świętą procesję, ja wykradałem się w ten niegościnny wąwóz. Nie chodziłem na grób matki mojej, tylkom kopał; zapomniałem o zmarłych, ażeby moim dzieciom i sobie choć na jeden dzień przed śmiercią dać wolność i ziemię... Wy bądźcie moimi świadkami, o bogowie, ile razy zaskoczyła mnie tutaj noc!... ile ja tu razy słyszałem płaczliwe głosy hien i widziałem zielone oczy wilków! Alem nie uciekał, bo dokądżebym nieszczęsny uciekł, gdy na każdej ścieżce czyhał strach, a w tym kanale wolność trzymała mnie za nogi?... Razu jednego, tam,

za tym wyłomem, wyszedł na mnie lew, faraon wszystkich zwierząt. Motyka wypadła mi z ręki. Więc ukląkłem przed nim i rzekłem te słowa, jak mnie widzicie: „Panie! czyliż raczyłbyś mnie zjeść? jestem przecież tylko niewolnikiem!“ Lew drapieżca ulitował się nade mną; omijał mnie wilk; nawet zdradzieckie nietoperze oszczędzały biedną moją głowę, a ty, Egipcjaninie...

Chłop umilkł: spostrzegł zbliżający się orszak ministra, Herhora. Po wachlarzu poznał, że musi to być ktoś wielki, a po skórze pantery, że kapłan. Pobiegł więc ku niemu, ukląkł i uderzył głową o piasek.

— Czego chcesz, człowieku? — zapytał dostojnik.

— „Światło słoneczne, wysłuchaj mnie! — zawołał chłop. — Oby nie było jęków w twojej komnacie i nieszczęście oby nie szło za tobą! Oby twoje czyny nie załamały się i oby cię prąd nie porwał, gdy będziesz płynął Nilem na drugi brzeg“...

— Pytam, czego chcesz? — powtórzył minister.

— „Dobry panie — mówił chłop — przewodniku bez kaprysów, który zwyciężasz fałsz, a stwarzasz prawdę... który jesteś ojcem biedaka, mężem wdowy, szatą nie mającego matki... Pozwól, abym miał sposobność rozgłaszać imię twoje, jako prawo w kraju... Przyjdź do słowa ust moich... Słuchaj i zrób sprawiedliwość, najszlachetniejszy ze szlachetnych“...*)

*) Gadanina chłopa autentyczna.

— On chce, ażeby nie zasypywano tego rowu — odezwał się Eunana.

Minister wzruszył ramionami i posunął się w stronę kanału, przez który rzucono kładkę. Wówczas zrozpaczony chłop pochwycił go za nogi.

— Precz z t e m!... — krzyknął jego dostojność, cofnąwszy się, jak przed ukąszeniem żmii.

Pisarz Pentuer odwrócił głowę; jego chuda twarz miała barwę szarą. Ale Eunana schwycił i ścisnął chłopa za kark, a nie mogąc oderwać go od nóg ministra, wezwał żołnierzy. Po chwili, jego dostojność, oswobodzony, przeszedł na drugą stronę rowu, a żołnierze prawie w powietrzu odnieśli chłopa na koniec maszerującego oddziału. Dali mu kilkadziesiąt kułaków, a zawsze zbrojni w trzciny podoficerowie odliczyli mu kilkadziesiąt kijów i nareszcie rzucili u wejścia do wąwozu.

Zbity, pokrwawiony, a nadewszystko przestraszony nędzarz chwilę posiedział na piasku, przetarł oczy i nagle, zerwawszy się, począł uciekać w stronę gościńca, jęcząc:

— Pochłoń mnie, ziemio!... Przeklęty dzień, w którym ujrzałem światło, i noc, w której powiedziano: „Narodził się człowiek...“ W płaszczu sprawiedliwości niema nawet skrawka dla niewolników... I sami bogowie nie spojrzą na taki twór, który ma ręce do pracy, gębę tylko do płaczu, a grzbiet do kijów... O, śmierci, zetrzyj moje ciało na popiół, ażebym jeszcze i tam, na polach Osirisa, po raz drugi nie urodził się niewolnikiem...

ROZDZIAŁ III.

Dyszący gniewem książę Ramzes wdzierał się na pagórek, a za nim Tutmozis. Elegantowi przekręciła się peruka, sztuczna bródka odpadła, więc niósł ją w ręku, a pomimo zmęczenia byłby blady na twarzy, gdyby nie warstwa różu.

Wreszcie książę zatrzymał się na szczycie. Od wąwozu dolatywał ich zgiełk żołnierstwa i łoskot toczących się balist; przed nimi rozciągał się ogromny płat ziemi Gosen, wciąż kąpiącej się w blaskach słońca. Zdawało się, że to nie ziemia, ale złoty obłok, na którym marzenie wymalowało krajobraz farbami ze szmaragdów, srebra, rubinów, pereł i topazów.

Następca wyciągnął rękę.

— Patrz — zawołał do Tutmozisa — tam ma być moja ziemia, a tu moje wojsko... I otóż tam najwyższemi budowlami są pałace kapłanów, a tu — najwyższym dowódcą wojsk jest kapłan!... Czy można cierpieć coś podobnego?...

— Tak zawsze było — odparł Tutmozis, lękliwie oglądając się dokoła.

— To fałsz! Znam przecież dzieje tego kraju, zasłonione przed wami. Dowódcami wojsk i panami urzędników byli tylko faraonowie, a przynajmniej energiczniejsi z pośród nich. Tym władcom nie schodziły dni na ofiarach i modlitwach, lecz na rządzeniu państwem...

— Jeżeli jest taka wola jego świątobliwości...— strącił Tutmozis.

— Nie jest wolą mojego ojca, ażeby nomarchowie rządzili samowolnie w swoich stolicach, a etjopski namiestnik prawie uważał się za równego królowi królów. I nie może być wolą mego ojca, ażeby jego armja obchodziła dwa złote żuki, dlatego, że ministrem wojny jest kapłan.

— Wielki to wojownik!... — szepnął coraz bardziej wylękniony Tutmozis.

— Jaki on tam wojownik!... Że pobił garstkę zbójców libijskich, którzy powinni uciekać na sam widok kaftanów egipskich żołnierzy? Ale zobacz, co robią nasi sąsiedzi. Izrael zwłóczy ze składaniem haraczu i płaci coraz mniej. Chytry Fenicjanin co rok wycofuje kilka okrętów z naszej floty. Przeciw Chetom musimy na wschodzie trzymać wielką armję, a koło Babilonu i Niniwy kipi ruch, który czuć w całej Mezopotamji.

I jakiż jest ostateczny skutek rządów kapłańskich? Ten, że kiedy jeszcze mój pradziad miał 100 tysięcy talentów rocznego dochodu i 160 tysięcy wojska, mój ojciec ma ledwie 50 tysięcy talentów i 120 tysięcy wojska...

A co to za wojsko!... Gdyby nie korpus grecki, który trzyma ich w porządku, jak brytan owce, już dziś egipscy żołnierze słuchaliby tylko kapłanów, a faraon spadłby do poziomu nędznego nomarchy.

— Skąd ty to wiesz?... Skąd takie myśli?... — dziwił się Tutmozis.

— Alboż nie pochodzę z rodu kapłanów! I oni przecież uczyli mnie, gdym jeszcze nie był następcą

tronu. O, gdy zostanę faraonem, po moim ojcu, który oby żył wiecznie, położę im na karkach nogę, obutą w śpiżowy sandał... A najpierw sięgnę do ich skarbnic, które zawsze były przesycone, ale od czasów Ramzesa Wielkiego zaczęły puchnąć i dzisiaj są tak wydęte złotem, że z poza nich nie widać skarbu faraona.

— Biada mnie i tobie! — westchnął Tutmozis. — Masz zmysły, pod któremi ugiąłby się ten pagórek, gdyby je słyszał i rozumiał. A gdzie twoje siły?... pomocnicy?... żołnierze?... Przeciw tobie stanie cały naród, prowadzony przez potężną klasę... A kto za tobą?

Książę słuchał i zamyślił się. Wreszcie odparł:

— Wojsko...

— Znaczna część jego pójdzie za kapłanami.

— Korpus grecki...

— Beczka wody w Nilu.

— Urzędnicy...

— W połowie należą do nich.

Ramzes smutnie potrząsnął głową i umilkł.

Ze szczytu, nagim i kamienistym spadkiem zeszli na drugą stronę wzgórza. Wtem Tutmozis, który wysunął się trochę naprzód, zawołał:

— Czy urok padł na moje oczy?... Spojrzyj, Ramzesie!... Ależ między temi skałami kryje się drugi Egipt!

— Musi to być jakiś folwark kapłański, który nie opłaca podatków — z goryczą odpowiedział książę.

U ich stóp, w głębi, leżała żyzna dolina, mająca formę wideł, których rogi kryły się między skałami. W jednym rogu widać było kilka chat dla służby i ładny domek właściciela czy rządcy. Rosły tu palmy, wino, oliwki, drzewa figowe z powietrznemi korzeniami, cyprysy, nawet młode baobaby. Środkiem płynęła struga wody, na stokach zaś wzgórz, co kilkaset kroków, widać było nieduże sadzawki.

Zszedłszy między winnice, pełne dojrzałych gron, usłyszeli głos kobiecy, który wołał, a raczej śpiewał na tęskną nutę:

— Gdzie jesteś, kureczko moja? odezwij się, gdzie jesteś, ulubiona?... Uciekłaś ode mnie, choć sama poję cię i karmię czystem ziarnem, aż wzdychają niewolnicy... Gdzież jesteś?... odezwij się!... Pamiętaj, że cię noc zaskoczy i nie trafisz do domu, w którym wszyscy ci usługują; albo przyleci z pustyni rudy jastrząb i poszarpie ci serce. Wtedy napróżno będziesz wołała twojej pani, jak teraz ja ciebie... Odezwijże się, bo rozgniewam się i odejdę, a ty będziesz musiała wracać za mną piechotą...

Śpiew zbliżał się w stronę podróżnych. Już śpiewaczka była od nich o kilka kroków, gdy Tutmozis, wsunąwszy głowę między krzaki, zawołał:

— Spojrzyj-no, Ramzesie, ależ to prześliczna dziewczyna!...

Książę, zamiast patrzeć, wpadł na ścieżkę i zabiegł drogę śpiewającej. Było to istotnie piękne dziewczę z greckiemi rysami twarzy i cerą słonio-

wej kości. Z pod welonu na głowie wyglądały ogromne, czarne włosy, skręcone w węzeł. Miała na sobie białą szatę powłóczystą, którą z jednej strony unosiła ręką; pod przejrzystą zasłoną widać było dziewicze piersi, z kształtu podobne do jabłek.

— Kto ty jesteś, dziewczyno? — zawołał Ramzes.

Z czoła zniknęły mu groźne brózdy, oczy zaiskrzyły się.

— O Jehowo!... ojcze!... — krzyknęła przerażona, bez ruchu zatrzymując się na ścieżce.

Powoli jednak uspokoiła się, a jej aksamitne oczy przybrały zwykły wyraz łagodnego smutku.

— Skądżeś się tu wziął?... — zapytała Ramzesa trochę drżącym głosem. — Widzę, że jesteś żołnierzem, a tu żołnierzom wchodzić nie wolno.

— Dlaczego nie wolno?

— Bo to jest ziemia wielkiego pana, Sezofrisa...

— Ho! ho!... — uśmiechnął się Ramzes.

— Nie śmiej się, bo wnet zbledniesz. Pan Sezofris jest pisarzem pana Chairesa, który nosi wachlarz nad najdostojniejszym nomarchą Memfisu... Mój ojciec go widział i padał przed nim na twarz.

— Ho! ho! ho!... — powtarzał, wciąż śmiejąc się, Ramzes.

— Słowa twoje są bardzo zuchwałe — rzekła, marszcząc się, dziewczyna. — Gdyby z twarzy nie patrzała ci dobroć, myślałabym, że jesteś greckim najemnikiem albo bandytą.

— Jeszcze nim nie jest, ale kiedyś może zostać największym bandytą, jakiego ta ziemia nosi-

ła — wtrącił elegancki Tutmozis, poprawiając swoją perukę.

— A ty musisz być tancerzem — odparła już ośmielona dziewczyna. — O! jestem nawet pewna, że widziałem cię na jarmarku w Pi-Bailos, jak zaklinałeś węże.

Obaj młodzieńcy wpadli w doskonały humor.

— A któż ty jesteś? — zapytał dziewczyny Ramzes, biorąc ją za rękę, którą cofnęła.

— Nie bądź taki śmiały. Jestem Sara, córka Gedeona, rządcy tego folwarku.

— Żydówka?... — rzekł Ramzes, i cień przesunął mu się po twarzy.

— Cóż to szkodzi?... co to szkodzi!... — zawołał Tutmozis. — Czy myślisz, że żydówki są mniej słodkie od Egipcjanek?... Są tylko skromniejsze i trudniejsze, co ich miłości nadaje wdzięk nadzwyczajny.

— Więc jesteście poganami — rzekła Sara z godnością. — Odpocznijcie, jeżeliście zmęczeni, narwijcie sobie winogron i odejdźcie z Bogiem. Nasza służba nierada takim gościom.

Chciała odejść, lecz Ramzes ją zatrzymał.

— Stój... Podobałaś mi się i nie możesz tak nas opuszczać.

— Zły duch cię opętał. Nikt w tej dolinie nie śmiałby przemawiać w taki sposób do mnie... — oburzyła się Sara.

— Bo widzisz — wtrącił Tutmozis — ten młodzik jest oficerem kapłańskiego pułku Ptah i pisa-

rzem u takiego pana, który nosi wachlarz nad noszącym wachlarz za nomarchą Habu.

— Pewnie, że musi być oficerem — odparła Sara, w zamyśleniu patrząc na Ramzesa. — Może nawet sam jest wielkim panem?... — dodała, kładąc palec na ustach.

— Czemkolwiek jestem, twoja piękność przewyższa moje dostojeństwo — rzekł nagle. — Ale powiedz, czy prawda, że wy... że wy jadacie wieprzowinę?

Sara spojrzała na niego obrażona, a Tutmozis wtrącił:

— Jak to widać, że nie znasz żydówek!... Dowiedz się zatem, że żyd wolałby umrzeć, aniżeli jeść świńskie mięso, którego ja wreszcie nie uważam za najgorsze...

— Ale koty zabijacie? — nalegał Ramzes, ściskając ręce Sarze i patrząc jej w oczy.

— I to bajka... podła bajka!... — zawołał Tutmozis. — Mogłeś mnie zapytać o te rzeczy, zamiast gadać brednie... Miałem przecie trzy żydówki kochankami...

— Dotychczas mówiłeś prawdę, ale teraz kłamiesz — odezwała się Sara. — Żydówka nie będzie niczyją kochanką! — dodała dumnie.

— Nawet kochanką pisarza u takiego pana, który nosi wachlarz nad nomarchą memfijskim?...— zapytał drwiącym tonem Tutmozis.

— Nawet...

— Nawet kochanką tego pana, który nosi wachlarz?...

Sara zawahała się, lecz odparła:

— Nawet.

— Więc może nie zostałabyś kochanką nomarchy?...

Dziewczynie opadły ręce. Ze zdziwieniem spoglądała kolejno na obu młodzieńców; usta jej drżały, a oczy zachodziły łzami.

— Kto wy jesteście?... — pytała zatrwożona. — Zeszliście tu z gór, jak podróżni, którzy chcą wody i chleba... Ale mówicie do mnie, jak najwięksi panowie... Coście wy za jedni?... Twój miecz — zwróciła się do Ramzesa — jest wysadzany szmaragdami, a na szyi masz łańcuch takiej roboty, jakiego w swoim skarbcu nie posiada nawet nasz pan, miłościwy Sezofris...

— Odpowiedz mi lepiej, czy ci się podobam?... — pytał z naleganiem Ramzes, ściskając rękę i tkliwie patrząc w oczy.

— Jesteś piękny, jak anioł Gabrjel, ale ja się boję ciebie, bo nie wiem, kto ty jesteś...

Wtem, z poza gór, odezwał się dźwięk trąbki.

— Wzywają cię — zawołał Tutmozis.

— A gdybym ja był taki wielki pan, jak wasz Sezofris?... — pytał książę.

— To może być... — szepnęła Sara.

— A gdybym ja nosił wachlarz nad nomarchą Memfisu?...

— Ty możesz być nawet i tak wielkim...

Gdzieś na wzgórzu odezwała się druga trąbka.

— Idźmy, Ramzesie!... — nalegał zatrwożony Tutmozis.

— A gdybym ja był... następcą tronu, czy poszłabyś do mnie, dziewczyno?... — pytał książę.

— O Jehowo!... — krzyknęła Sara, upadając na kolana.

Teraz w rozmaitych punktach grały trąbki gwałtowną pobudkę.

— Biegnijmy!... — wołał zdesperowany Tutmozis. — Czy nie słyszysz, że w obozie alarm?...

Następca tronu prędko zdjął łańcuch ze swej szyi i zarzucił go na Sarę...

— Oddaj to ojcu — mówił — kupuję cię od niego... Bądź zdrowa...

Namiętnie pocałował ją w usta, a ona objęła go za nogi. Wyrwał się, odbiegł parę kroków, znowu wrócił i znowu piękną jej twarz i krucze włosy pieścił pocałunkami, jakby nie słysząc niecierpliwych odgłosów armji.

— W imieniu jego świątobliwości faraona wzywam cię, idź za mną! — krzyknął Tutmozis i schwycił księcia za rękę.

Zaczęli biec pędem w stronę głosu trąbek. Ramzes chwilami zataczał się jak pijany i odwracał głowę. Wreszcie zaczęli wdrapywać się na przeciwległy pagórek.

„I ten człowiek — myślał Tutmozis — chce walczyć z kapłanami!...“

ROZDZIAŁ IV.

Następca tronu i jego towarzysz biegli z ćwierć godziny po skalistym grzbiecie wzgórza, coraz bliżej słysząc trąbki, które wciąż gwałtowniej i gwałtowniej wygrywały alarm. Nareszcie znaleźli się w miejscu, skąd można było ogarnąć wzrokiem całą okolicę.

Na lewo ciągnęła się szosa, za którą dokładnie było widać miasto Pi-Bailos, stojące za niem pułki następcy tronu i ogromny tuman pyłu, który unosił się nad nacierającym ze wschodu przeciwnikiem.

Na prawo ział szeroki wąwóz, środkiem którego pułk grecki ciągnął wojenne machiny. Niedaleko od szosy wąwóz ten zlewał się z drugim, szerszym, który wychodził z głębi pustyni.

Otóż w tym punkcie działo się coś niezwykłego. Grecy z machinami stali bezczynnie niedaleko połączenia obu wąwozów; lecz na samem połączeniu, między szosą a sztabem następcy wyciągnęły się cztery gęste szeregi jakiegoś innego wojska, niby cztery płoty, najeżone iskrzącemi włóczniami.

Mimo bardzo spadzistej drogi, książę cwałem zbiegł do swego oddziału, do miejsca, gdzie stał minister wojny, otoczony oficerami.

— Co się to dzieje?... — zawołał groźnie. — Dlaczego trąbicie na alarm, zamiast maszerować?

— Jesteśmy odcięci — rzekł Herhor.

— Kto?... przez kogo?...

— Nasz oddział przez trzy pułki Nitagera, które wyszły z pustyni.

— Więc tam, blisko szosy, stoi nieprzyjaciel?..

— Stoi sam niezwyciężony Nitager.

Zdawało się, że w tej chwili następca tronu oszalał. Skrzywiły mu się usta, oczy wyszły z orbit. Wydobył miecz i, pobiegłszy do Greków, krzyknął chrapliwym głosem:

— Za mną na tych, którzy nam zastąpili drogę!

— Żyj wiecznie, erpatre!... — zawołał Patrokles, również dobywając miecza. — Naprzód, potomkowie Achillesa!... — zwrócił się do swoich żołnierzy. — Pokażmy egipskim krowiarzom, że nas zatrzymywać nie wolno!...

Trąbki zagrały do ataku. Cztery krótkie, ale wyprostowane szeregi greckie poszły naprzód, wzbił się tuman pyłu i krzyk na cześć Ramzesa.

W parę minut Grecy znaleźli się wobec pułków egipskich i — zawahali się.

— Naprzód!... — wołał następca, biegnąc z mieczem w ręku.

Grecy zniżyli włócznie. W szeregach przeciwnych zrobił się jakiś ruch, przeleciał szmer i—również zniżyły się włócznie.

— Kto wy jesteście, szaleńcy?... — odezwał się potężny głos ze strony przeciwnej.

— Następca tronu!... — odpowiedział Patrokles.

Chwila ciszy.

— Rozstąpić się!... — powtórzył ten sam wielki głos, co pierwej.

Pułki armji wschodniej zwolna otworzyły się, jak ciężkie podwójne wrota, i grecki oddział przeszedł.

Wówczas do następcy tronu zbliżył się siwy wojownik w złocistym hełmie i zbroi i, nisko skłoniwszy się, rzekł:

— Zwyciężyłeś, erpatre. Tylko wielki wódz w ten sposób wydobywa się z kłopotu.

— Ty jesteś Nitager, najwaleczniejszy z walecznych!... — zawołał książę.

W tej chwili zbliżył się do nich minister wojny, który słyszał rozmowę, i rzekł cierpko:

— A gdyby po waszej stronie znalazł się równie niesforny wódz, jak erpatre, czem zakończylibyśmy manewry?

— Dajże spokój młodemu wojownikowi! — odparł Nitager. — Czyliż nie wystarcza ci, że pokazał lwie pazury, jak przystało na dziecię faraonów?..

Tutmozis, słysząc, jaki obrót przybiera rozmowa, zwrócił się do Nitagera:

— Skąd wziąłeś się tutaj, dostojny wodzu, jeżeli główne twoje siły znajdują się przed naszą armją?

— Wiedziałem, jak niedołężnie maszeruje oddział z Memfis, gdy następca gromadzi pułki pod Pi-Bailos. No i dla śmiechu chciałem przyłapać was, paniczyków... Na moje nieszczęście znalazł się tu następca i popsuł mi plany. Tak zawsze postępuj, Ramzesie, naturalnie, wobec prawdziwych nieprzyjaciół.

— A jeżeli, jak dziś, trafi na trzy razy większą siłę?... — zapytał Herhor.

— Więcej znaczy odważny rozum, aniżeli siła — odpowiedział stary wódz. — Słoń jest pięć-

dziesiąt razy mocniejszy od człowieka, a jednak ulega mu lub ginie z jego ręki.

Herhor słuchał w milczeniu.

Manewry uznano za skończone. Następca tronu w towarzystwie ministra i wodzów pojechał do wojsk pod Pi-Bailos, przywitał weteranów Nitagera i pożegnał swoje pułki, rozkazując im iść na wschód i życząc powodzenia.

Następnie otoczony wielką świtą wracał szosą do Memfis, wśród tłumów z ziemi Gosen, które z zielonemi gałązkami i w świątecznych szatach, pozdrawiały zwycięzcę.

Gdy gościniec skręcił ku pustyni, tłum przerzedził się; a gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie sztab następcy z powodu skarabeuszów wszedł do wąwozu, na szosie już nie było nikogo.

Wtedy Ramzes skinął na Tutmozisa i, wskazując mu łysy pagórek, szepnął:

— Pójdziesz tam, do Sary...

— Rozumiem.

— I powiesz jej ojcu, że oddaję mu folwark pod Memfisem.

— Rozumiem. Pojutrze będziesz ją miał.

Po tej wymianie zdań Tutmozis cofnął się ku naszerującym za świtą wojskom i zniknął.

Prawie naprzeciw wąwozu, do którego z rana wjechały machiny wojenne, o kilkanaście kroków za szosą, rosło nieduże, choć stare drzewo tamaryndowe. W tem miejscu zatrzymała się straż, poprzedzająca książęcą świtę.

— Czy znowu spotkamy się ze skarabeusza-

mi?... — zapytał ze śmiechem następca tronu ministra.

— Zobaczymy — odparł Herhor.

Jakoż zobaczyli: na wątłem drzewie wisiał nagi człowiek.

— Cóż to znaczy? — zawołał wzruszony następca.

Pobiegli do drzewa adjutanci i przekonali się, że wisielcem jest ów stary chłop, któremu wojsko zasypało kanał.

— Słusznie powiesił się! — krzyczał między oficerami Eunana. — Czybyście uwierzyli, że ten nędzny niewolnik ośmielił się schwytać za nogi jego dostojność ministra!...

Ramzes, usłyszawszy to, zatrzymał konia. Następnie zsiadł i zbliżył się do złowrogiego drzewa.

Chłop wisiał z głową wyciągniętą naprzód; miał usta szeroko otwarte, dłonie zwrócone do widzów, a w oczach zgrozę. Wyglądał jak człowiek, który chce coś powiedzieć, ale mu głosu zabrakło.

— Nieszczęśliwy! — westchnął ze współczuciem książę.

Gdy wrócił do orszaku, kazał sobie opowiedzieć historję chłopa, a później przez długi czas jechał milczący.

Przed oczyma wciąż stał mu obraz samobójcy a w sercu nurtowało uczucie, że temu pogardzonemu niewolnikowi stała się wielka krzywda. Tak niezmierna krzywda, że nad nią mógł zastanawiać się on, syn i następca faraonów.

Gorąco było nieznośne, kurz wysuszał wodę

i kłuł oczy ludziom i zwierzętom. Zatrzymano oddział na krótki postój, a tymczasem Nitager kończył rozmowę z ministrem.

— Moi oficerowie — mówił stary wódz — nie patrzą pod nogi, tylko przed siebie. I może dlatego nigdy nie zaskoczył mnie nieprzyjaciel.

— Tem przypomniałeś mi wasza dostojność, że powinienem zapłacić pewne długi — odparł Herhor i kazał zgromadzić się oficerom i żołnierzom, jacy byli pod ręką.

— A teraz — rzekł minister — zawołajcie Eunanę.

Obwieszony amuletami oficer znalazł się tak prędko, jakby oddawna czekał na to wezwanie. Na jego twarzy malowała się radość, hamowana z trudem przez pokorę.

Herhor, ujrzawszy przed sobą Eunanę, zaczął:

— Z woli jego świątobliwości, razem ze skończeniem manewrów, najwyższa władza wojskowa znowu przechodzi w moje ręce.

Obecni pochylili głowy.

— Władzy tej wypada mi użyć przedewszystkiem na wymiar sprawiedliwości...

Oficerowie zaczęli spoglądać po sobie.

— Eunano — ciągnął minister — wiem, że zawsze byłeś jednym z najpilniejszych oficerów...

— Prawda mówi przez wasze usta, dostojny panie — odparł Eunana. — Jak palma czeka na rosę, tak ja na rozkazy zwierzchników. A gdy ich nie otrzymuję, jestem jak sierota w pustyni, szukająca drogi swojej.

Okryci bliznami oficerowie Nitagera z podziwem przysłuchiwali się wartkiej wymowie Eunany i myśleli sobie: „Ten będzie wywyższony nad innych!“

— Eunano — mówił minister — jesteś nietylko pilny, ale i pobożny; nietylko pobożny, ale i czujny, jak ibis nad wodą. Bogowie też zleli na ciebie wszystkie dobrodziejstwa: dali ci wężową przezorność i wzrok jastrzębia...

— Czysta prawda płynie z ust waszej dostojności — wtrącił Eunana. — Gdyby nie mój dziwny wzrok, nie wypatrzyłbym dwu świętych skarabeuszów...

— Tak — przerwał minister — i nie uratowałbyś naszego obozu od świętokradztwa. Za ten czyn, godny najpobożniejszego Egipcjanina, daję ci...

Tu minister zdjął z palca pierścień.

— Daję ci ten oto pierścień z imieniem bogini Mut, której łaska i roztropność będą ci towarzyszyły do końca ziemskiej wędrówki, jeżeli na nią zasłużysz.

Jego dostojność wręczył pierścień Eunanie, a obecni wydali wielki okrzyk na cześć faraona i zaszczękali orężem.

Ponieważ minister nie ruszał się, więc i Eunana stał i bystro patrzał mu w oczy, jak wierny pies, który, otrzymawszy z ręki pańskiej jeden kąsek, jeszcze kręci ogonem i czeka.

— A teraz — zaczął znowu minister — przyznaj się Eunano, dlaczego nie powiedziałeś: dokąd poszedł następca tronu, gdy wojsko z trudem

maszerowało przez wąwóz?... Popełniłeś zły czyn, musieliśmy bowiem trąbić alarm w sąsiedztwie nieprzyjaciela...

— Bogowie są moimi świadkami, żem nic nie wiedział o najdostojniejszym księciu — odparł zdziwiony Eunana.

Herhor potrząsnął głową.

— Nie może być, ażeby człowiek, obdarzony takim jak ty wzrokiem, który o kilkadziesiąt kroków widzi wśród piasku święte skarabeusze, nie dostrzegł tak wielkiej osoby, jaką jest następca tronu.

— Zaprawdę nie widziałem!... — tłumaczył się Eunana, bijąc się w piersi. — Zresztą nikt mi nie kazał czuwać nad księciem.

— Czyliż nie uwolniłem cię od dowództwa przedniej straży?... Czyliż wyznaczyłem ci jakie zajęcie? — pytał minister. — Byłeś zupełnie wolny, właśnie jak człowiek, powołany do śledzenia rzeczy ważnych. A czy wywiązałeś się z tego zadania? Zaiste, za podobny błąd w czasie wojny musiałbyś umrzeć śmiercią.

Nieszczęsny oficer zbladł.

— Ale ja mam dla ciebie serce ojcowskie, Eunano — mówił dostojny pan — i, pamiętając na wielką usługę, jaką oddałeś armji, przez wypatrzenie symbolów świętego słońca, skarabeuszów, wyznaczam ci, nie jak surowy minister, ale jako łagodny kapłan, bardzo małą karę. Otrzymasz pięćdziesiąt kijów.

— Wasza dostojność...

— Eunano, umiałeś być szczęśliwym, bądź teraz mężnym i przyjmij to drobne upomnienie, jak przystało na oficera armji jego świątobliwości.

Ledwie skończył dostojny Herhor, już starsi rangą oficerowie położyli Eunanę w wygodnem miejscu, obok szosy. Potem jeden usiadł na karku, drugi na nogach, a dwaj inni wyliczyli mu w obnażone ciało pięćdziesiąt giętkich trzcin.

Nieustraszony bojownik nie wydał jęku, owszem, nucił pieśń żołnierską, a po ukończeniu ceremonji sam chciał się podnieść. Ale schorzałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Więc padł twarzą w piasek i musiano go odwieźć do Memfisu na dwukonnym wozie, na którym leżąc i uśmiechając się do żołnierzy, rozmyślał, że nie tak prędko zmienia się wiatr w Dolnym Egipcie, jak fortuna w życiu biednego oficera!

Gdy, po krótkim postoju, orszak następcy tronu wyruszył w dalszą drogę, jego dostojność Herhor siadł na konia i, jadąc obok jego dostojności Nitagera, rozmawiał półgłosem o ludach azjatyckich, a przedewszystkiem o rozbudzeniu się Asyrji.

Wówczas dwaj słudzy ministra: adjutant niosący wachlarz i pisarz Pentuer zaczęli też rozmowę.

— Co myślisz o przygodzie Eunany? — spytał adjutant.

— A ty co myślisz o chłopie, który się powiesił? — rzekł pisarz.

— Zdaje mi się, że dla chłopa dzień dzisiejszy jest najlepszym, a powróz koło szyi najmiększym, jaki spotkał w życiu — odparł adjutant. — Myślę

też, że Eunana od tej pory będzie bardzo troskliwie pilnował następcy tronu.

— Mylisz się — rzekł Pentuer. — Eunana od tej pory nigdy nie dojrzy skarabeusza, choćby był wielkim jak wół. Co zaś się tyczy owego chłopa, czy nie sądzisz, że jemu jednak musiało być źle, bardzo źle... bardzo źle na świętej ziemi egipskiej?

— Nie znasz chłopów, więc tak mówisz...

— A któż ich lepiej zna?... — odparł posępnie pisarz. — Czyliż nie wyrosłem między nimi?... Czy nie widziałem, jak mój ojciec nawodniał grunta, oczyszczał kanały, siał, zbierał, a nadewszystko — jak płacił podatki? O, ty nie wiesz, co to jest dola chłopa w Egipcie!

— Zato wiem — odpowiedział adjutant — co to jest dola cudzoziemca. Mój pradziad czy prapradziad był jednym z wielkich między Hiksosami, ale został tu, bo przywiązał się do ziemi. I co powiesz: nietylko jemu odebrano majątek, ale jeszcze i na mnie ciąży plama pochodzenia!... Sam widzisz, co nieraz znoszę od rodowitych Egipcjan, choć mam znaczne stanowisko. Jakże więc mogę litować się nad egipskim chłopem, który, widząc moją żółtawą cerę, nieraz mruczy pod nosem: „Poganin!... cudzoziemiec!...“ Chłop zaś nie jest ani poganinem, ani cudzoziemcem.

— Tylko niewolnikiem — wtrącił pisarz. — Niewolnikiem, którego żenią, rozwodzą, biją, sprzedają, niekiedy mordują, a zawsze każą mu pracować, obiecując w dodatku, że i na tamtym świecie również będzie niewolnikiem.

Adjutant wzruszył ramionami.

— Dziwny ty jesteś, choć taki mądry! — rzekł. — Przecie widzisz, że każdy z nas zajmuje jakieś stanowisko — niskie, mniej niskie lub bardzo niskie, na którem musi pracować. A czy martwi cię to, że nie jesteś faraonem, i że twoim grobem nie będzie piramida?... Wcale nie myślisz o tem, bo rozumiesz, że taki jest porządek świata. Każdy pełni swój obowiązek: wół orze, osieł dźwiga podróżnych, ja chłodzę jego dostojność, ty za niego pamiętasz i myślisz, a chłop uprawia ziemię i płaci podatki. Cóż nam więc z tego, że jakiś wół urodzi się Apisem, któremu cześć oddają, a jakiś człowiek faraonem lub nomarchą?...

— Temu chłopu zniszczono jego dziesięcioletnią pracę... — szepnął Pentuer.

— A twojej pracy nie niszczy minister?... — spytał adjutant. — Któż wie, że to ty rządzisz państwem, nie zaś dostojny Herhor?...

— Mylisz się — rzekł pisarz — on rządzi naprawdę. On ma władzę, on ma wolę, a ja tylko wiadomości... Mnie zresztą nie biją, ani ciebie, jak owego chłopa...

— Ale zato zbili Eunanę, a i nam może się dostać. Trzeba więc być mężnym i cieszyć się ze stanowiska, jakie wyznaczono człowiekowi. Tem bardziej, że, jak ci wiadomo, nasz duch, nieśmiertelny K a, w miarę oczyszczania się, wstępuje na wyższe szczeble, aby za tysiące, czy miljony lat, razem z duszami faraonów i niewolników, nawet ra-

żem z bogami — rozpłynąć się w bezimiennym a wszechmocnym ojcu życia.

— Mówisz jak kapłan — odparł z goryczą Pentuer. — Ja to raczej powinienem mieć ten spokój!... Lecz zamiast niego mam ból w duszy, bo odczuwam nędzę miljonów...

— Któż ci każe?

— Oczy moje i serce. Jest ono jak dolina między górami, która nie może milczeć, kiedy słyszy krzyk, lecz odpowiada echem.

— A ja tobie mówię, Pentuerze, że za dużo myślisz o rzeczach niebezpiecznych. Nie można bezkarnie chodzić po urwiskach gór wschodnich, bo lada chwila spadniesz; ani błądzić po zachodniej pustyni, gdzie krążą lwy zgłodniałe i zrywa się wściekły chamsin...

Tymczasem waleczny Eunana, jadąc na wozie, który mu tylko odnawiał bóle, aby pokazać, jak jest mężnym, zażądał jedzenia i picia. A gdy spożył suchy placek, natarty czosnkiem, i wypił kwaśne piwo z wysmukłego garnuszka, poprosił woźnicy, aby mu gałązką spędzał muchy z poranionego ciała.

Tak leżąc na workach i pakach, na skrzypiącym wozie, twarzą zwrócony do ziemi, biedny Eunana jękliwym głosem zaczął opiewać ciężką dolę niższego oficera:

„Z jakiejże to racji mówisz, że lepiej być oficerem, aniżeli pisarzem? Przyjdź i patrz na moje sine pręgi i popękane ciało, a ja ci przez ten czas opowiem dzieje udręczonego oficera.

„Jeszcze byłem chłopcem, kiedy przyniesiono mnie do koszar. Na śniadanie dostawałem pięścią w brzuch, aż mnie mdliło, na obiad kułak w oczy, aż mi się gęba rozdziawiała, a ku wieczorowi miałem już głowę okrytą ranami i prawie rozszczepioną.

„Chodź, niech ci opowiem, jak odbyłem podróż do Syrji. Jedzenie i picie musiałem dźwigać w ręku, objuczony, jak osieł. Szyję miałem zesztywniałą, jak szyja osła, a kręgi pacierzowe spękane. Piłem zgniłą wodę, a wobec wroga byłem jako złapany ptak.

„Wróciłem do Egiptu, ale tu jestem jak drzewo, które robak toczy. Za byle co kładą mnie na ziemi i biją, jak w książkę, tak, że od kijów jestem prawie połamany. Jestem chory i muszę się kłaść, muszą mnie wozić na wozie, a tymczasem służący kradnie mi płaszcz i ucieka...

„Dlatego o pisarzu! zmień swoje zdanie o szczęściu oficera“ *).

Tak śpiewał mężny Eunana, a jego pieśń, pełna łez, przetrwała państwo egipskie.

ROZDZIAŁ V.

W miarę, jak świta następcy tronu zbliżała się do Memfis, słońce pochylało się ku zachodowi, a od niezliczonych kanałów i dalekiego morza zrywał się

*) Autentyczne.

wiatr, nasycony chłodną wilgocią. Szosa znowu zniżyła się do żyznych okolic, a na polach i w zaroślach było widać nieprzerwane szeregi ludzi pracujących, choć na pustynię już padał różowy blask, a szczyty gór paliły się płomieniem.

Wtem Ramzes zatrzymał się i zawrócił konia. Natychmiast otoczyła go świta, podjechali wyżsi dowódcy i zwolna, równym krokiem, zbliżyły się szeregi maszerujących pułków.

W purpurowych promieniach zachodzącego słońca, książę wyglądał jak bożek; żołnierze patrzali na niego z dumą i miłością, dowódcy z podziwem.

Podniósł rękę, wszystko umilkło, a on zaczął mówić:

— Dostojni wodzowie, mężni oficerowie, posłuszni żołnierze! Dziś bogowie dali mi poznać słodycz rozkazywania takim, jak wy. Radość przepełnia moje książęce serce. A ponieważ wolą moją jest, ażebyście wy, wodzowie, oficerowie i żołnierze zawsze dzielili moje szczęście, więc przeznaczam: Po jednej drachmie dla każdego żołnierza z tych, którzy poszli na wschód, i tych, którzy wracają z nami od wschodniej granicy. Oprócz tego po jednej drachmie żołnierzom greckim, którzy dziś, pod moją komendą, otworzyli nam wyjście z wąwozu, i — po jednej drachmie żołnierzom tych pułków dostojnego Nitagera, którzy chcieli nam odciąć drogę do gościńca...

W wojsku zawrzało.

— Bądź pozdrowiony, wodzu nasz!... bądź po-

zdrowiony następco faraona, który oby żył wiecznie!... — wołali żołnierze, a Grecy najgłośniej.

Książę mówił dalej:

— Do podziału między niższych oficerów armji mojej i dostojnego Nitagera przeznaczam pięć talentów. Nareszcie do podziału między jego dostojność ministra i naczelnych wodzów przeznaczam dziesięć talentów...

— Ja zrzekam się mojej części na rzecz wojska — odpowiedział Herhor.

— Bądź pozdrowiony, następco! bądź pozdrowiony, ministrze!... — wołali oficerowie i żołnierze.

Czerwony krąg słońca już dotknął piasków zachodniej pustyni. Ramzes pożegnał wojsko i galopem pocwałował do Memfis, a jego dostojność Herhor, wśród radosnych okrzyków, wsiadł do lektyki i również kazał wyprzedzić maszerujące oddziały.

Kiedy odsunęli się tak, że pojedyńcze głosy zlały się w jeden wielki szmer, niby szum wodospadu, minister, wychyliwszy się do pisarza Pentuera, rzekł:

— Pamiętasz ty wszystko?

— Tak, dostojny panie.

— Twoja pamięć jest jak granit, na którym piszemy historję, a twoja mądrość jak Nil, który wszystko zalewa i użyźnia — mówił minister. — Przytem bogowie obdarzyli cię największą ze wszystkich cnót — roztropną pokorą...

Pisarz milczał.

— Ty więc dokładniej niż inni możesz ocenić

postępki i rozum następcy tronu, który oby żył wiecznie!

Minister chwilę spoczął. Tak dużo mówić nie było w jego zwyczaju.

— Powiedz mi zatem, Pentuerze, i zapisz to: czy godzi się, ażeby następca tronu wobec wojska wypowiadał swą wolę?... Tak czynić może tylko faraon, albo zdrajca, albo... lekkomyślny młodzieniec, który z równą łatwością popełnia gwałtowne czyny, jak wyrzuca bezbożne słowa.

Słońce zaszło, i w chwilę później zapadła noc gwiaździsta. Nad nieprzeliczonemi kanałami Dolnego Egiptu zaczęła zgęszczać się srebrna mgła, którą łagodny wiatr zanosił aż na pustynię, chłodził strudzonych żołnierzy i nasycał rośliny, już konające z pragnienia.

— Albo powiedz mi, Pentuerze — ciągnął minister — i zbadaj: skąd następca weźmie 20 talentów na dotrzymanie wojsku obietnicy, którą dziś tak nieopatrznie uczynił? Zresztą skądkolwiek weźmie pieniądze, wydaje mi się, a zapewne i tobie, rzeczą niebezpieczną, ażeby następca robił podarunki armji, właśnie w tym dniu, kiedy jego świątobliwość nie ma czem zapłacić żołdu powracającym ze Wschodu pułkom Nitagera. Nie pytam cię o zdanie w tej rzeczy, bo je znam, jak i ty znasz moje najtajniejsze myśli. Proszę cię tylko, ażebyś zapamiętał, co widziałeś, dla opowiedzenia tego w kolegjum kapłańskiem.

— Czy prędko będzie zwołane? — spytał Pentuer.

— Niema jeszcze powodu. Sróbuję pierwej uspokoić rozlukanego byczka zapomocą ojcowskiej ręki jego świątobliwości... A szkoda byłaby chłopca, bo ma duże zdolności i energję południowego wichru. Tylko jeżeli wicher, zamiast zdmuchiwać nieprzyjaciół Egiptu, zacznie kłaść jego pszenicę i wyrywać palmy...

Minister umilkł, a jego orszak utonął w ciemnej alei drzew, prowadzącej do Memfisu.

W tym czasie Ramzes dojeżdżał do pałacu faraona.

Gmach ten stał na wzgórzu za miastem, wśród parku. Rosły tu osobliwe drzewa: baobaby z Południa, cedry, sosny i dęby z Północy. Dzięki sztuce ogrodniczej, żyły one po kilkadziesiąt lat i dosięgały znacznej wysokości.

Cienista aleja prowadziła zdołu do bramy, która miała wysokość trzypiętrowej kamienicy. Z każdej strony bramy wznosiła się potężna budowla, niby wieża, w formie ściętej piramidy, szeroka na czterdzieści kroków, wysoka na pięć piętr. Wśród nocy wyglądało to, jak dwa olbrzymie namioty z piaskowca. Dziwne te gmachy miały na parterze i piętrach kwadratowe okienka, a dachy płaskie. Ze szczytu jednej takiej piramidy warta śledziła ziemię, z drugiej — dyżurny kapłan patrzał w gwiazdy.

Na prawo i na lewo od wież, zwanych pylonami, ciągnęły się mury, a raczej długie, piętrowe budynki, z wąskiemi oknami i płaskim dachem, po którym chodziły warty. Po obu stronach bramy

głównej siedziały dwa posągi, dosięgające głowami pierwszego piętra; u stóp posągów znowu chodziły warty.

Kiedy książę w towarzystwie kilku jeźdźców zbliżył się do pałacu, wartownik, pomimo ciemności, poznał go. Za chwilę wybiegł z pylonu urzędnik dworski, ubrany w białą spódnicę, ciemną narzutkę i perukę, z wielkości podobną do kaptura.

— Pałac już zamknięty? — spytał książę.

— Prawdę rzekłeś, dostojny panie — odparł urzędnik. — Jego świątobliwość ubiera bogów do snu.

— A potem co będzie robił?

— Raczy przyjąć ministra wojny, Herhora.

— No?...

— Później jego świątobliwość popatrzy się w wielkiej sali na balet, a następnie przyjmie kąpiel i odprawi modlitwy wieczorne.

— Mnie nie kazano przyjąć? — pytał następca.

— Jutro po radzie wojennej.

— A królowe co robią?

— Pierwsza królowa modli się w pokoju zmarłego syna, a wasza dostojna matka przyjmuje posła fenickiego, który przywiózł jej dary od kobiet z Tyru.

— Są i dziewczęta?

— Podobno jest kilka. Każda ma na sobie kosztowności za 10 talentów.

— A któż się tam włóczy z pochodniami? — rzekł książę, wskazując ręką na dół parku.

— Zdejmują z drzewa brata waszej dostojności, który tam siedzi od południa.

— I nie chce zejść?

— Owszem, teraz zejdzie, bo poszedł po niego błazen pierwszej królowej i obiecał, że zaprowadzi go do karczmy, gdzie piją paraszytowie, otwieracze ciał zmarłych.

— A o manewrach dzisiejszych już słyszeliście co?...

— Mówili w ministerjum, że sztab został odcięty od korpusu.

— I jeszcze co?

Urzędnik wahał się.

— Mów, co słyszałeś.

— I jeszcze słyszeliśmy, że z tego powodu wasza dostojność kazałeś odliczyć pewnemu oficerowi 500 kijów, a przewodnika powiesić.

— Wszystko kłamstwo!... — odezwał się półgłosem jeden z adjutantów następcy.

— Żołnierze też mówią między sobą, że to musi być kłamstwo — odparł śmielej urzędnik.

Następca zwrócił konia i pojechał do dolnej części parku, gdzie znajdował się jego pałacyk. Była to właściwie jednopiętrowa altana, wzniesiona z drzewa. Miała formę ogromnego sześcianu z dwiema werendami: dolną i górną, które wkoło otaczały budynek i wspierały się na mnóstwie słupów. Wewnątrz płonęły kagańce, więc można było widzieć że ściany składają się z desek rzeźbionych, jak koronka, i że są zabezpieczone od wiatru zasłonami z różnobarwnych tkanin. Dach budowli tej był pła-

ski, otoczony balustradą; na nim stało kilka namiotów.

Serdecznie powitany przez półnagich służących, z których jedni wybiegli z pochodniami, inni padli przed nim na twarz, następca wszedł do domu. W mieszkaniu na parterze zdjął zakurzoną odzież, wykąpał się w kamiennej wannie i narzucił na siebie rodzaj wielkiego prześcieradła, które zapiął pod szyją, a w pasie przewiązał sznurem. Na pierwszem piętrze zjadł kolację, złożoną z pszennego placka, garstki daktylów i kielicha lekkiego piwa. Potem wszedł na taras budowli i, położywszy się na kanapie, okrytej lwią skórą, kazał służbie odejść i natychmiast przysłać na górę Tutmozisa, gdy przyjedzie.

Około północy stanęła przed domem lektyka i wysiadł z niej adjutant Tutmozis. Gdy ciężko wszedł na taras, ziewając, książę zerwał się z kanapy.

— Jesteś?... I cóż?... — zawołał Ramzes.

— Więc ty jeszcze nie śpisz?... — odparł Tutmozis. — O, bogowie, po tylodniowej mordędze!... Myślałem, że będę się mógł przedrzemać choćby do wschodu słońca.

— Cóż Sara?...

— Będzie tu pojutrze, albo ty u niej na folwarku, z tamtej strony rzeki.

— Dopiero pojutrze!...

— Dopiero?... Proszę cię, Ramzesie, ażebyś się wyspał. Zbyt wiele zebrało ci się w sercu czarnej krwi, skutkiem czego do głowy uderzą ci ogień,

— Cóż jej ojciec?...

— To jakiś uczciwy człowiek i rozumny. Nazywa się Gedeon. Kiedy mu powiedziałem, że chcesz wziąć jego córkę, upadł na ziemię i zaczął wydzierać sobie włosy. Rozumie się, przeczekałem ten wylew ojcowskiej boleści, trochę zjadłem, wypiłem wina i — przystąpiliśmy nareszcie do układów. Zapłakany Gedeon najpierw przysięgał, że woli widzieć córkę swoją trupem, aniżeli czyjąkolwiek kochanką. Wówczas powiedziałem, że pod Memfisem, nad Nilem, dostanie folwark, który przynosi dwa talenty rocznego dochodu i nie płaci podatków. Oburzył się. Wtedy oświadczyłem, że może jeszcze dostać co rok talent złotem i srebrem. Westchnął i wspomniał, że jego córka przez trzy lata kształciła się w Pi-Bailos. Postąpiłem jeszcze talent. Teraz Gedeon, wciąż niepocieszony, nadmienił, że traci bardzo dobre miejsce rządcy u pana Sezofrisa. Powiedziałem, że tej posady rzucić nie potrzebuje, i dorzuciłem mu 10 krów dojnych z twoich obór. Czoło wyjaśniło mu się trochę, więc wyznał mi, pod największym sekretem, że na jego Sarę zwrócił już uwagę pewien bardzo wielki pan, Chaires, który nosi wachlarz nad nomarchą Memfisu. Ja zaś obiecałem mu dać byczka, mniejszy łańcuch złoty i większą bransoletę. Tym sposobem twoja Sara będzie cię kosztowała: folwark i dwa talenty rocznie gotowizną, a 10 krów, byczka, łańcuch i bransoletę złotą — jednorazowo. To dasz jej ojcu, zacnemu Gedeonowi; jej zaś samej — co ci się podoba.

— Cóż na to Sara? — spytał książę.

— Przez czas układów chodziła między drzewami. A gdyśmy zakończyli sprawę i zapili dobrem winem żydowskiem, powiedziała ojcu... wiesz co?... Że gdyby jej nie oddał tobie, weszłaby na skałę i rzuciłaby się głową na dół. Teraz chyba będziesz spał spokojnie — zakończył Tutmozis.

— Wątpię — rzekł następca, opierając się o balustradę i patrząc w najpuściejszą stronę parku. — Czy wiesz, że w drodze spotkaliśmy powieszonego chłopa?...

— O!... to gorsze od skarabeuszów! — syknął Tutmozis.

— Powiesił się sam, z rozpaczy, że wojsko zasypało mu kanał, który dziesięć lat kopał w pustyni.

— No, ten człowiek już śpi twardo... Więc chyba pora i nam...

— Ten człowiek był skrzywdzony — mówił książę — trzeba znaleźć jego dzieci, wykupić i dać im kawałek gruntu w dzierżawę.

— Ale trzeba to zrobić w wielkiej tajemnicy— wtrącił Tutmozis — bo inaczej zaczną się wieszać wszyscy chłopi, a nam, ich panom, żaden Fenicjanin nie pożyczy miedziaka ego utena.

— Nie żartuj. Gdybyś widział oblicze tego chłopa, nie zasnąłbyś jak i ja...

Wtem zdołu, z pomiędzy gęstwiny, odezwał się głos niezbyt silny, lecz wyraźny:

— Niech błogosławi cię, Ramzesie, jedyny i wszechmocny Bóg, który nie ma imienia w ludzkim języku, ani posągów w świątyniach!...

Obaj młodzieńcy, zdumieni, wychylili się.

— Kto jesteś?... — zawołał książę.

— Jestem skrzywdzony lud egipski — powoli i spokojnie odpowiedział głos.

Potem wszystko ucichło. Żaden ruch, żaden szelest gałęzi nie zdradzał ludzkiej obecności w tem miejscu.

Na rozkaz księcia wybiegła służba z pochodniami, spuszczono psy i przeszukano wszystkie zarośla, otaczające dom następcy. Ale nie było nikogo.

— Kto to mógł być?... — pytał Tutmozisa wzruszony książę. — Może duch tego chłopa?...

— Duch?... — powtórzył adjutant. — Nigdy nie słyszałem gadających duchów, choć nieraz trzymałem straż przy świątyniach i grobach. Prędzej przypuszczałbym, że ten, który odezwał się do nas, jest twoim jakimś przyjacielem.

— Dlaczegóżby się ukrywał?

— A co ci to szkodzi? — rzekł Tutmozis. — Każdy z nas ma dziesiątki, jeżeli nie setki niewidzialnych wrogów. Dziękuj więc bogom, że masz choć jednego, niewidzialnego przyjaciela.

— Nie zasnę dziś... — szepnął wzburzony książę.

— Dajże spokój... Zamiast biegać po tarasie usłuchaj mnie i legnij. Widzisz, sen — to poważne bóstwo i nie wypada mu gonić za tymi, którzy biegają jelenim krokiem. Gdy się zaś położysz na wygodnej kanapie, sen, który lubi wygodę, siądzie przy

tobie i okryje cię swoim wielkim płaszczem, który zasłania ludziom nietylko oczy, ale i pamięć.

To mówiąc, Tutmozis posadził Ramzesa na kanapie, potem przyniósł podstawkę z kości słoniowej w formie księżyca na nowiu i, położywszy księcia, umieścił mu głowę na podporze...

Następnie opuścił płócienne ściany namiotu, sam położył się na podłodze, i — w kilka minut zasnęli obaj.

ROZDZIAŁ VI.

Do pałacu faraona pod Memfisem wchodziło się przez bramę, osadzoną między dwiema pięciopiętrowemi wieżami, czyli pylonami. Zewnętrzne ściany tych budowli, wzniesionych z szarego piaskowca, od dołu do góry były okryte płaskorzeźbami.

Na szczycie bramy wznosił się herb czy symbol państwa: skrzydlata kula, z poza której wychylały się dwa węże. Poniżej siedział rząd bogów, którym faraonowie składali ofiary. Na bocznych słupach wyrzeźbiono również wizerunki bogów, w pięciu kondygnacjach, jedna nad drugą, a u dołu — hieroglificzne napisy.

Na ścianach każdego pylonu główne miejsce zajmowała płaskorzeźba Ramzesa Wielkiego, który w jednej ręce miał podniesiony topór, a drugą trzymał za włosy gromadę ludzi, związanych w pęk, niby pietruszka. Powyżej króla stały lub siedziały

znowu dwie kondygnacje bogów; jeszcze wyżej szereg ludzi, niosących ofiary, a pod samym szczytem pylonów — wizerunki skrzydlatych wężów, przeplatane wizerunkami skarabeuszów.

Te pięciopiętrowe pylony, o ścianach zwężających się ku górze, trzypiętrowa brama, która je łączyła, płaskorzeźby, w których porządek mieszał się z ponurą fantazją, a pobożność z okrucieństwem, robiły przygnębiające wrażenie. Zdawało się, że trudno tu wejść, niepodobna wyjść, a żyć — ciężko.

Z bramy, przed którą stało wojsko i tłum drobnych urzędników, wchodziło się na dziedziniec, otoczony krużgankami, wspartemi na piętrowych słupach. Był to ozdobny ogródek, w którym hodowano małe aloesy, palmy, drzewa pomarańczowe i cedry w wazonach, wszystko wyciągnięte w szeregi i dobrane według wzrostu. Na środku tryskała fontanna; ścieżki wysypano kolorowym piaskiem.

Tu, pod krużgankami, siedzieli lub przechadzali się wyżsi urzędnicy państwa, szepcąc pocichu.

Z dziedzińca, przez wysokie drzwi, szło się do sali, wspartej na dwunastu kolumnach trzypiętrowych. Sala była duża, lecz z powodu grubości kolumn wydawała się ciasną. Oświetlały ją drobne okienka w ścianach i duży prostokątny otwór w suficie. Panował tu chłód i cień, prawie zmrok, który jednak nie przeszkadzał widzieć żółtych ścian i słupów, pokrytych kondygnacjami malowideł. W górze liście i kwiaty, poniżej bogowie, jeszcze niżej ludzie, którzy nieśli ich posągi lub składali ofiary. a między temi grupami szeregi hieroglifów.

Wszystko to było malowane wyraźnemi, prawie ostremi kolorami: zielonym, czerwonym i niebieskim.

W tej sali, ze wzorzystą posadzką mozaikową stali w ciszy, białych szatach i boso — kapłani, najwyżsi urzędnicy państwa, minister wojny Herhor, tudzież wodzowie: Nitager i Patrokles, wezwani do faraona.

Jego świątobliwość Ramzes XII-ty, jak zwykle przed naradą, składał ofiary bogom w swej kaplicy. Ciągnęło się to dość długo. Co chwilę z dalszych komnat wbiegał jakiś kapłan albo urzędnik, komunikując wiadomości o przebiegu nabożeństwa.

— Już pan złamał pieczęć do kaplicy... Już myje święte bóstwo... Już je ubiera... Już zamknął drzwi...

Na twarzach obecnych, pomimo ich dostojeństw, malował się niepokój i zgnębienie. Tylko Herhor był obojętny, Patrokles zniecierpliwiony, a Nitager kiedy niekiedy mącił uroczystą ciszę swoim potężnym głosem. Za każdem tak nieprzyzwoitem odezwaniem się starego wodza, dworacy poruszali się, niby spłoszone owce, a potem spoglądali na siebie, jakby mówiąc:

„To gbur, całe życie ugania się za barbarzyńcami, więc można mu wybaczyć...“

W dalszych komnatach odezwał się dźwięk dzwonków i chrzęst broni. Do sali weszło dwoma rzędami kilkunastu gwardzistów w złoconych hełmach i napierśnikach, z obnażonemi mieczami, potem dwa szeregi kapłanów, a nareszcie ukazał się

faraon, niesiony na tronie, otoczony obłokami dymu z kadzielnic.

Władca Egiptu, Ramzes XII, był to człowiek blisko sześćdziesięcioletni, z twarzą zwiędłą. Miał na sobie białą togę, na głowie czerwono-biały kołpak ze złotym wężem, w ręce długą laskę.

Kiedy orszak ukazał się, wszyscy upadli na twarz. Tylko Patrokles, jako barbarzyńca, poprzestał na niskim ukłonie, a Nitager przyklęknął na jedno kolano, lecz wnet podniósł się.

Lektyka zatrzymała się przed baldachimem, pod którym na wzniesieniu stał tron hebanowy. Faraon zwolna zeszedł z lektyki, chwilę popatrzył na obecnych, a potem, usiadłszy na tronie, utkwił oczy w gzems sali, na którym była wymalowana kula z niebieskiemi skrzydłami i zielonemi wężami.

Na prawo od faraona stanął wielki pisarz, na lewo sędzia z laską, obaj w ogromnych perukach. Na znak, dany przez sędziego, wszyscy usiedli, albo uklękli na podłodze, pisarz zaś odezwał się do faraona:

— Panie nasz i władco potężny! Twój sługa Nitager, wielki strażnik granicy wschodniej, przyjechał, aby złożyć ci hołdy, i przywiózł haracz od podbitych narodów: wazę z zielonego kamienia pełną złota, 300 wołów, 100 koni i wonne drzewo Teszep.

— Nędzny to haracz, mój panie — odezwał się Nitager. — Prawdziwe skarby znaleźlibyśmy dopiero nad Eufratem, gdzie pysznym, choć jeszcze

słabym królom, bardzo potrzeba przypomnieć czasy Ramzesa Wielkiego.

— Odpowiedz słudze memu Nitagerowi — rzekł do pisarza faraon — że jego słowa będą wzięte pod pilną uwagę. A teraz zapytaj go: co sądzi o wojskowych zdolnościach syna mego i następcy, z którym wczoraj miał zaszczyt zetrzeć się pod Pi-Bailos?

— Nasz władca, pan dziewięciu narodów, zapytuje cię, Nitagerze... — zaczął pisarz.

Wtem, ku największemu zgorszeniu dworaków wódz przerwał szorstko:

— Sam słyszę, co mówi pan mój... Ustami zaś jego, kiedy zwraca się do mnie, mógłby być tylko następca tronu, nie zaś ty, wielki pisarzu.

Pisarz z przerażeniem spojrzał na śmiałka, ale faraon rzekł:

— Mówi prawdę mój wierny sługa Nitager.

Minister wojny ukłonił się.

Teraz sędzia obwieścił wszystkim obecnym: kapłanom, urzędnikom i gwardji, że mogą wyjść na dziedziniec, i sam, razem z pisarzem, skłoniwszy się tronowi, pierwsi opuścili salę. Został w niej tylko faraon, Herhor i dwaj wodzowie.

— Nakłoń uszy swoje, władco, i wysłuchaj karg — zaczął Nitager. — Dziś z rana, kapłan-urzędnik, który z twego rozkazu przyszedł namacić włosy moje, powiedział mi, ażebym idąc do ciebie, zostawił sandały w przysionku. Tymczasem wiadomo jest nietylko w Górnym i Dolnym Egipcie, ale u Chetów, w Libji, Fenicji i w kraju Punt,

że dwadzieścia lat temu dałeś mi prawo stawania przed tobą w sandałach.

— Mówisz prawdę — rzekł faraon. — Do mego dworu zakradły się różne nieporządki...

— Tylko rozkaż, królu, a moi weterani zaraz zrobią ład... — podchwycił Nitager.

Na znak, dany przez ministra wojny, wbiegło kilku urzędników: jeden przyniósł sandały i obuł Nitagera, inni naprzeciw tronu ustawili kosztowne taborety dla ministra i wodzów.

Gdy trzej dostojnicy usiedli, faraon zapytał:

— Powiedz mi, Nitagerze, czy sądzisz, że mój syn będzie wodzem?... Ale mów szczerą prawdę.

— Na Amona z Teb, na sławę moich przodków, w których płynęła krew królewska, przysięgam, że Ramzes, twój następca, będzie wielkim wodzem, jeżeli mu pozwolą bogowie — odparł Nitager. — Młody to jest chłopak, jeszcze pacholę, a jednak z wielką umiejętnością zebrał pułki, zaopatrzył i marsz im ułatwił. Najwięcej zaś podoba mi się, że nie stracił głowy, kiedy mu przeciąłem drogę, lecz poprowadził swoich do ataku. On będzie wodzem i zwycięży Asyryjczyków, których dziś trzeba pobić, jeżeli nasze wnuki nie mają zobaczyć ich nad Nilem.

— Cóż ty na to, Herhorze? — zapytał faraon.

— Co się tyczy Asyryjczyków, myślę, że dostojny Nitager za wcześnie kłopocze się nimi. Jeszcze jesteśmy chorzy po dawnych wojnach i musimy pierwej dobrze się wzmocnić, zanim rozpoczniemy nową — mówił minister. — Co się zaś

tyczy następcy tronu, Nitager sprawiedliwie mówi, że młodzian ten posiada zalety wodza: jest przezorny jak lis i gwałtowny jak lew. Mimo to wczoraj popełnił dużo błędów...

— Kto z nas ich nie popełniał!... — wtrącił dotąd milczący Patrokles.

— Następca — ciągnął minister — mądrze prowadził główny korpus, ale zaniedbał swój sztab, przez co maszerowaliśmy tak wolno i nieporządnie, że Nitager mógł zabiec nam drogę...

— Może Ramzes liczył na waszą dostojność? — spytał Nitager.

— W rządzie i wojnie na nikogo nie liczy się: o jeden niedopatrzony kamyk można się przewrócić — rzekł minister.

— Gdyby wasza dostojność — odezwał się Patrokles — nie zepchnął kolumny z gościńca, z powodu tych tam skarabeuszów...

— Jesteś wasza dostojność cudzoziemcem i poganinem — odparł Herhor — więc tak mówisz. My zaś, Egipcjanie, rozumiemy, że gdy lud i żołnierze przestaną szanować skarabeusza, synowie ich przestaną się bać u r e u s a. Z lekceważenia bogów urodzi się bunt przeciw faraonowi...

— A od czego topory? — przerwał Nitager.— Kto chce zachować głowę na plecach, niech słucha najwyższego wodza.

— Jakaż więc jest twoja ostateczna myśl o następcy? — spytał faraon Herhora.

— Żywy obrazie słońca, synu bogów — odparł minister. — Każ Ramzesa namaścić, daj mu

wielki łańcuch i dziesięć talentów, ale wodzem korpusu Menfi jeszcze go nie mianuj. Książę na ten urząd jest za młody, za gorący, niedoświadczony. Czy więc możemy go uznać równym Patroklesowi, który w dwudziestu bitwach zdeptał Etjopów i Libijczyków? A czy możemy stawiać go obok Nitagera, którego samo imię od dwudziestu lat przyprawia o bladość naszych wrogów ze wschodu i północy?

Faraon oparł głowę na ręku, pomyślał i rzekł:

— Odejdźcie w spokoju i łasce mojej. Uczynię, jak nakazuje mądrość i sprawiedliwość.

Dostojnicy skłonili się głęboko, a Ramzes XII-ty, nie czekając na świtę, przeszedł do dalszych komnat.

Kiedy dwaj wodzowie znaleźli się sami w przysionku, Nitager odezwał się do Patroklesa:

— Tu, widzę, rządzą kapłani, jak u siebie. Ale jaki to wódz ten Herhor!... Pobił nas, nim przyszliśmy do słowa i... nie da korpusu następcy...

— Mnie tak pochwalił, że nie śmiałem się odezwać — odparł Patrokles.

— Zresztą on daleko widzi, choć nie wszystko mówi. Za następcą wcisnęliby się do korpusu rozmaite paniczyki, co to ze śpiewaczkami jeżdżą na wojnę, i oni zajęliby najwyższe posady. Naturalnie starzy oficerowie zaczęliby próżnować z gniewu że ich awans ominął; eleganci musieliby próżnować dla zabaw, i — korpus popękałby, nawet nie uderzywszy o nieprzyjaciela. O, Herhor to mędrzec!...

— Bodajby was nie kosztowała więcej jego

mądrość, aniżeli niedoświadczenie Ramzesa! — szepnął Grek.

Przez szereg komnat, pełnych kolumn i ozdobionych malowidłami, gdzie w każdych drzwiach kapłani i pałacowi urzędnicy składali mu niskie ukłony, faraon przeszedł do swego gabinetu. Była to dwupiętrowa sala o ścianach z alabastru, na których złotem i jaskrawemi farbami odmalowano najznakomitsze wypadki panowania Ramzesa XII-go, a więc: hołdy, składane mu przez mieszkańców Mezopotamji, poselstwo od króla Buchtenu i triumfalną podróż bożka Chonsu po krajach Buchten.

W sali tej znajdował się malachitowy posążek Horusa z ptasią głową, ozdobiony złotem i klejnotami, przed nim ołtarz w formie ściętej piramidy, broń królewska, kosztowne fotele i ławki, tudzież stoliki, zapełnione drobiazgami.

Gdy faraon ukazał się, jeden z obecnych kapłanów spalił przed nim kadzidło, a jeden z urzędników zameldował następcę tronu, który niebawem wszedł i nisko ukłonił się ojcu. Na wyrazistej twarzy księcia widać było gorączkowy niepokój.

— Cieszę się, erpatre — rzekł faraon — że wracasz zdrowym z ciężkiej podróży.

— Obyś wasza świątobliwość żył wiecznie i dziełami swojemi napełnił oba światy! — odparł książę.

— Dopiero co — mówił faraon — moi radcy wojenni opowiadali mi o twojej pracy i roztropności.

Twarz następcy drżała i mieniła się. Wpił wielkie oczy w faraona i słuchał.

— Czyny twoje nie zostaną bez nagrody. Otrzymasz dziesięć talentów, wielki łańcuch i... dwa greckie pułki, z któremi będziesz robił ćwiczenia.

Książę osłupiał, lecz po chwili zapytał stłumionym głosem:

— A korpus Menfi?...

— Za rok powtórzymy manewry, a jeżeli nie popełnisz żadnego błędu w prowadzeniu wojska, dostaniesz korpus.

— Wiem, to zrobił Herhor!... — zawołał następca, ledwie hamując się z gniewu.

Obejrzał się wkoło i dodał:

— Nigdy nie mogę być sam z tobą, mój ojcze... Zawsze między nami znajdują się obcy ludzie...

Faraon zlekka poruszył brwiami, i jego świta znikła, jak gromada cieniów.

— Co masz mi do powiedzenia?

— Tylko jedno, ojcze... Herhor jest moim wrogiem... On oskarżył mnie przed tobą i naraził na taki wstyd!...

Mimo pokornej postawy, książę gryzł wargi i zaciskał pięści.

— Herhor jest moim wiernym sługą, a twoim przyjacielem. Jego to wymowa sprawiła, że jesteś następcą tronu. To — ja — nie powierzam korpusu młodemu wodzowi, który pozwolił odciąć się od swojej armji.

— Połączyłem się z nią!... — odparł zgnębiony następca. — To Herhor kazał okrążyć dwa żuki.

— Chcesz więc, ażeby kapłan wobec wojska lekceważył religję?

— Mój ojcze — szeptał Ramzes drżącym głosem — ażeby nie zepsuć pochodu żukom, zniszczono budujący się kanał i zabito człowieka.

— Ten człowiek sam podniósł rękę na siebie.

— Ale z winy Herhora.

— W pułkach, które tak umiejętnie zgromadziłeś pod Pi-Bailos, trzydziestu ludzi umarło ze zmęczenia, a kilkuset jest chorych.

Książę opuścił głowę.

— Ramzesie — ciągnął faraon — przez usta twoje nie przemawia dostojnik państwa, który dba o całość kanałów i życie robotników, ale człowiek rozgniewany. Gniew zaś nie godzi się ze sprawiedliwością, jak jastrząb z gołębiem.

— O mój ojcze — wybuchnął następca — jeżeli gniew mnie unosi, to dlatego, że widzę niechęć dla mnie Herhora i kapłanów...

— Przecież sam jesteś wnukiem arcykapłana, kapłani uczyli cię... Poznałeś więcej ich tajemnic, aniżeli którykolwiek inny książę...

— Poznałem ich nienasyconą dumę i chęć władzy. A że ukrócę to... więc już dziś są moimi wrogami... Herhor nie chce mi dać nawet korpusu, gdyż woli rządzić całą armją...

Wyrzuciwszy te niebaczne słowa, następca struchlał. Ale władca podniósł na niego jasne spojrzenie i odparł spokojnie:

— Armją i państwem rządzę ja. Ze mnie płyną wszelkie rozkazy i wyroki. Na tym świecie jestem

wagą Ozirisa i sam ważę sprawy moich sług: następcy, ministra czy ludu. Nieroztropnym byłby ten, ktoby sądził, że nie są mi znane wszystkie gwichty.

— Jednak, gdybyś ojcze patrzał na bieg manewrów własnemi oczyma...

— Może zobaczyłbym wodza — przerwał faraon — który w stanowczej chwili ugania się po krzakach za izraelską dziewczyną. Ale ja o takich błahostkach nie chcę wiedzieć.

Książę upadł do nóg ojcu, szepcąc:

— Tutmozis powiedział ci o tem, panie?...

— Tutmozis jest dzieciakiem, jak i ty. On już robi długi, jako szef sztabu w korpusie Menfi, i myśli w swem sercu, że oko faraona nie dosięgnie jego spraw w pustyni.

ROZDZIAŁ VII.

W kilka dni później książę Ramzes został wezwany przed oblicze najczcigodniejszej matki swojej, Nikotris, która była drugą żoną faraona, ale dziś największą panią w Egipcie.

Bogowie nie omylili się, powołując ją na rodzicielkę króla. Była to osoba wysoka, dość pełna i, pomimo czterdziestu lat, jeszcze piękna. Nadewszystko w oczach, twarzy i całej postaci jej był taki majestat, że nawet gdy szła samotna w skromnej szacie kapłanki, ludzie schylali przed nią głowy.

Dostojna pani przyjęła syna w gabinecie, wyłożonym fajansowemi płytami. Siedziała na inkru

stowanem krześle, pod palmą. U jej nóg, na stołeczku, leżał mały piesek; z drugiej strony klęczała czarna niewolnica z wachlarzem. Królewska małżonka miała na sobie muślinowy płaszcz, haftowany złotem, a na peruce obrączkę, ozdobioną klejnotami w formie lotosu.

Kiedy książę nisko ukłonił się, piesek obwąchał go i znowu położył się, a pani skinąwszy głową, zapytała:

— Z jakiegoż to powodu, Ramzesie, żądałeś ode mnie posłuchania?

— Jeszcze przed dwoma dniami, matko...

— Wiedziałam, że jesteś zajęty. Ale dziś oboje mamy czas, i mogę cię wysłuchać.

— Tak mówisz do mnie, matko, że jakby owionął mnie mocny wiatr pustyni, i już nie mam odwagi przedstawić ci mojej prośby.

— Więc zapewne chodzi o pieniądze?...

Ramzes zmieszany spuścił głowę.

— Dużo ci też potrzeba?..

— Piętnaście talentów...

— O, bogowie! — zawołała pani — wszak parę dni temu wypłacono ci dziesięć talentów ze skarbu. Przejdź się, moja dziewczynko, po ogrodzie, musisz być zmęczona — rzekła monarchini do czarnej niewolnicy, a gdy zostali oboje z synem, zapytała księcia:

— Więc twoja żydówka jest aż tak wymagająca?

Ramzes zarumienił się, ale podniósł głowę.

— Wiesz, matko, że tak nie jest — odparł. —

Ale obiecałem nagrodę wojsku i... nie mogę jej wypłacić!...

Królowa przypatrywała mu się ze spokojną dumą.

— Jak to niedobrze — odezwała się po chwili — kiedy syn robi postanowienia, nie naradziwszy się z matką. Właśnie, pamiętając o twoim wieku, chciałam ci dać niewolnicę fenicką, którą przysłał mi Tyr, z dziesięciu talentami posagu. Ale ty wolałeś żydówkę.

— Podobała mi się. Tak pięknej niema między twemi służebnicami, matko, ani nawet między kobietami jego świątobliwości...

— Ależ to żydówka!...

— Nie uprzedzaj się, matko, błagam cię... To jest fałsz, że żydzi jedzą wieprzowinę i zabijają koty...

Dostojna pani uśmiechnęła się.

— Mówisz, jak chłopiec z najniższej szkoły kapłańskiej — odparła, wzruszając ramionami — a zapominasz o tem, co powiedział Ramzes Wielki: „Lud żółty jest liczniejszym i bogatszym od nas; działajmyż przeciw niemu, lecz ostrożnie, aby nie stał się jeszcze silniejszym“... Nie sądzę więc, ażeby dziewczyna z tego ludu była właściwa na pierwszą kochankę następcy faraona.

— Czyliż słowa Ramzesa mogą stosować się do córki nędznego dzierżawcy!... — zawołał książę. Gdzie wreszcie są ci żydzi u nas?... Trzy wieki temu jak opuścili Egipt, a dzisiaj tworzą śmieszne państwo, rządzone przez kapłanów...

— Widzę — odpowiedziała dostojna pani,

zlekka marszcząc brwi — że twoja kochanka nie traci czasu... Bądź ostrożny, Ramzesie!... Pamiętaj, że wódz ich, Messu, jest to kapłan zdrajca, którego w naszych świątyniach po dziś dzień przeklinają... Pamiętaj, że żydzi wynieśli więcej skarbów z Egiptu, aniżeli była warta praca ich kilku pokoleń: zabrali nam nietylko złoto, ale i wiarę w Jedynego i nasze święte prawa, które dziś ogłaszają za własne. Nareszcie wiedz o tem — dodała z mocą — że córki tego ludu wolą śmierć, aniżeli łoże obcego człowieka. A jeżeli oddają się, nawet nieprzyjacielskim wodzom, to chyba w tym celu, ażeby albo zjednać ich dla swojej polityki, albo zabić...

— Wierz mi, matko, że wszystkie te wieści rozgłaszają kapłani. Nie chcą oni dopuścić do podnóżka tronu ludzi innej wiary, którzy mogliby służyć faraonowi przeciw nim....

Monarchini podniosła się z krzesła i, założywszy ręce na piersiach, ze zdumieniem przypatrywała się synowi.

— Więc to prawda, co mi mówiono, że jesteś wrogiem kapłanów! — rzekła. — Ty, ich ukochany uczeń?...

— Jeszcze muszę mieć ślady ich kijów na plecach!... — odparł książę.

— Ależ twój dziad, a mój ojciec, mieszkający z bogami, Amenhotep, był arcykapłanem i posiadał rozległą władzę w kraju...

— Właśnie dlatego, że mój dziad był władcą i ojciec jest nim, ja nie mogę znieść władzy Herhora...

— Na to stanowisko wprowadził go twój dziad, święty Amenhotep...

— A ja go strącę.

Matka wzruszyła ramionami.

— I to ty — odezwała się ze smutkiem — chcesz dowodzić korpusem?... Ależ ty jesteś rozpieszczona dziewczyna, nie mąż i wódz...

— Jak to?... — przerwał książę, z trudnością powstrzymując się od wybuchu.

— Nie poznaję syna mego... Nie widzę w tobie przyszłego pana Egiptu!... Dynastja w twojej osobie będzie jak nilowe czółno bez steru... Wypędzisz z dworu kapłanów, a któż ci zostanie?... Kto będzie twojem okiem w Dolnym i Górnym kraju, kto za granicą?... A przecie faraon musi widzieć wszystko, na cokolwiek pada boski promień Ozirisa...

— Kapłani będą moimi sługami, nie ministrami...

— Oni też są sługami najwierniejszymi. Dzięki ich modłom, ojciec twój panuje trzydzieści trzy lata i unika wojen, które mogłyby być zgubnemi...

— Dla kapłanów...

— Dla faraona, dla państwa!...—przerwała.— Czy ty wiesz, co się dzieje z naszym skarbem, z którego w jednym dniu bierzesz dziesięć talentów, a żądasz jeszcze piętnastu?... Czy wiesz, że gdyby nie ofiarność kapłanów, którzy dla skarbu nawet bogom zabierają prawdziwe klejnoty, a podsuwają sztuczne, czy wiesz, że dobra królewskie byłyby już w rękach Fenicjan?...

— Jedna szczęśliwa wojna zaleje nasze kasy, jak przybór Nilu nasze pola.

Wielka pani roześmiała się.

— Nie — rzekła — ty, Ramzesie, jesteś jeszcze takiem dzieckiem, że nawet nie można poczytywać za grzech twoich słów bezbożnych. Proszę cię, zajmij się greckiemi pułkami i jak najprędzej pozbądź się żydowskiej dziewczyny, a politykę zostaw... nam.

— Dlaczego mam pozbyć się Sary?

— Bo gdybyś miał z nią syna, mogłyby powstać zawikłania w państwie, które i tak ma dość kłopotów. Na kapłanów — dodała — możesz gniewać się, byleś ich publicznie nie obrażał. Oni wiedzą, że trzeba wiele wybaczyć następcy tronu, osobliwie jeżeli ma tak burzliwy charakter. Ale czas uspokoi wszystko, na chwałę dynastji i pożytek państwu.

Książę rozmyślał. Nagle odezwał się:

— Więc nie mogę rachować na pieniądze ze skarbu?

— W żadnym razie. Wielki pisarz już dzisiaj musiałby wstrzymać wypłaty, gdybym mu nie dała czterdziestu talentów, które mi Tyr przysłał.

— I co ja zrobię z wojskiem!... — mówił książę, niecierpliwie trąc czoło.

— Oddal żydówkę i poproś kapłanów... Może ci pożyczą.

— Nigdy!... Wolę wziąć od Fenicjan.

Pani wstrząsnęła głową.

— Jesteś erpatrem, rób jak chcesz... Ale ostrzegam cię, że musisz dać duży zastaw, a Feni-

cjanin, gdy raz stanie się twoim wierzycielem, już ciebie nie puści. Oni są podstępniejsi od żydów.

— Na pokrycie takich długów wystarczy cząstka mego dochodu.

— Zobaczymy... Szczerze chciałabym ci pomóc, ale nie mam... — mówiła pani ze smutkiem, rozkładając ręce. — Czyń więc, jak ci wypada, ale pamiętaj, że Fenicjanie w naszych majątkach są jak szczury w śpichlerzach, gdy jeden wciśnie się przez szczelinę, inne przyjdą za nim.

Ramzes ociągał się z wyjściem.

— Czy jeszcze powiesz mi co? — zapytała.

— Chciałbym tylko zapytać... Moje serce domyśla się, że ty, matko, masz jakieś plany względem mnie. Jakie?

Monarchini pogłaskała go po twarzy.

— Jeszcze nie teraz... jeszcze nie teraz!... Dziś jesteś swobodnym, jak każdy młody szlachcic w tym kraju, więc korzystaj... Ale Ramzesie, przyjdzie czas, że będziesz musiał pojąć małżonkę, której dzieci będą książętami krwi królewskiej, a syn twoim następcą. O tych czasach ja myślę...

— I co?...

— Jeszcze nic określonego. W każdym razie mądrość polityczna mówi mi, że twoją małżonka powinna być córka kapłana...

— Może Herhora?... — zawołał książę ze śmiechem.

— Cóżby w tem było nagannego? Herhor bardzo prędko zostanie arcykapłanem w Tebach, a jego córka ma dopiero lat czternaście.

— I zgodziłaby się zająć przy mnie miejsce żydówki?... — z ironją zapytał Ramzes.

— Musiałbyś się postarać, ażeby ci zapomniano dzisiejszy błąd.

— Całuję stopy twoje, matko, i odchodzę — rzekł Ramzes, chwytając się za głowę. — Tyle tu słyszałem dziwnych rzeczy, że zaczynam się bać, ażeby Nil nie popłynął w stronę katarakt, albo piramidy nie przeszły na pustynię wschodnią!

— Nie bluźnij, dziecko moje — szepnęła pani, z trwogą patrząc na syna. — W tym kraju widywano dziwniejsze cuda.

— Czy nie te — spytał z gorzkiem uśmiechem syn, — że ściany królewskiego pałacu podsłuchiwały swoich panów?

— Widywano śmierć faraonów po kilkumiesięcznem panowaniu i upadki dynastji, które rządziły dziewięciu narodami!

— Bo ci faraonowie dla kadzielnicy zapomnieli o mieczu!... — odparł książę.

Ukłonił się i wyszedł.

W miarę, jak kroki następcy cichły w ogromnym przysionku, twarz dostojnej pani mieniła się: miejsce majestatu zajęła boleść i trwoga, a w wielkich oczach błysnęły łzy.

Pobiegła pod posąg bogini, klękła i, nasypawszy indyjskiego kadzidła na węgle, zaczęła mówić:

— O Izis, Izis, Izis! — po trzykroć wymawiam imię twoje. O Izis, która rodzisz węże, krokodyle i strusie, po trzykroć niech będzie pochwalone imię

twoje... O Izis, która chronisz ziarno zbożowe od zabójczych wichrów, a ciała ojców naszych od niszczącej pracy czasu, o Izis, ulituj się i chroń mojego syna!... Po trzykroć niech będzie wymawiane imię twoje i tu... i tam... i tam... I dziś, i zawsze, i na wieki wieków, dopóki świątynie naszych bogów będą przeglądały się w wodzie Nilu.

Modląc się tak i łkając, monarchini pochyliła się i dotknęła czołem ziemi. A w tej chwili rozległ się nad nią cichy szept:

— Głos sprawiedliwego zawsze jest wysłuchany...

Dostojna pani zerwała się i pełna zdumienia zaczęła oglądać się dokoła. Ale w pokoju nie było nikogo. Tylko ze ścian patrzyły na nią malowane kwiaty, a z nad ołtarza posąg bogini, pełen nadziemskiego spokoju.

ROZDZIAŁ VIII.

Książę wrócił do swej willi stroskany i wezwał Tutmozisa.

— Musisz mnie — rzekł Ramzes — nauczyć, jak dostaje się pieniądze...

— Aha!... — roześmiał się elegant. — Oto jest mądrość, której nie uczą w najwyższych szkołach kapłańskich, ale w której ja mógłbym zostać prorokiem...

— Tam wykładają, ażeby nie pożyczać pieniędzy — wtrącił książę.

— Gdybym nie lękał się, ażeby warg moich nie splamiła bezbożność, powiedziałbym, że niektórzy kapłani marnują czas... Biedni ludzie, chociaż święci!... Nie jedzą mięsa, poprzestają na jednej żonie, albo całkiem unikają kobiet — i nie wiedzą co to jest pożyczać... Jestem kontent, Ramzesie — prawił Tutmozis — że ten rodzaj mądrości poznasz przy moich radach. Już dziś rozumiesz, jakich cierpień staje się źródłem brak pieniędzy. Człowiek, potrzebujący pieniędzy, nie ma apetytu, zrywa się przez sen, na kobiety patrzy ze zdziwieniem, jakby pytał: „Na co one są?“ W najchłodniejszej świątyni biją mu ognie do twarzy, a w największy upał wśród pustyni czuje dreszcz chłodu. Patrzy przed siebie jak obłąkany, nie słyszy co do niego mówią, najczęściej chodzi w przekręconej peruce, której zapomniał napoić wonnościami, a uspokaja się tylko przy dzbanie mocnego wina, i to na krótko. Bo ledwie nieborak odzyska zmysły, znowu zaczyna czuć, jakby mu się ziemia rozstępowała pod nogami...

— Widzę to — ciągnął elegant,—po twoim niespokojnym chodzie i bezładnem wyrzucaniu rękoma, że w tej chwili doznajesz rozpaczy z powodu braku pieniędzy. Wkrótce jednak doznasz innych uczuć, jakgdyby ci zdjęto z persi wielkiego sfinksa. Później ulegniesz słodkiemu stanowi zapomnienia o swych poprzednich kłopotach i teraźniejszych wierzycielach, a potem... Ach, szczęśliwy Ramzesie, czekają cię nadzwyczajne niespodzianki!... Bo gdy upłynie termin, a wierzyciele zaczną odwie-

dzać cię pod pozorem składania hołdu, będziesz jak jeleń, ścigany przez psy, albo jak dziewczyna egipska, która, czerpiąc wodę z rzeki, zobaczy sękaty grzbiet krokodyla...

— Wszystko to wygląda bardzo wesoło — przerwał, śmiejąc się Ramzes, — ale nie przynosi ani jednej drachmy...

— Nie kończ! — przerwał Tutmozis. — W tej chwili idę po fenickiego bankiera Dagona, a wieczorem, choćby ci jeszcze nie dał pieniędzy, odzyskasz spokój.

— Wybiegł, wsiadł do małej lektyki i, otoczony służbą, tudzież takimi jak sam letkiewiczami, zniknął w alejach parku.

Przed zachodem słońca do domu następcy tronu przyjechał Fenicjanin Dagon, najznakomitszy bankier w Memfis. Był to człowiek w sile wieku, żółty, suchy, ale dobrze zbudowany. Miał niebieską tunikę, na niej biały płaszcz z cienkiej tkaniny, ogromne włosy własne, ściśnięte złotą obrączką, i dużą czarną brodę, również własną. Bujny ten zarost imponująco wyglądał obok peruk i przyprawnych bródek egipskich elegantów.

Mieszkanie następcy roiło się arystokratyczną młodzieżą. Jedni na dole kąpali się i namaszczali, inni grali w szachy i warcaby na piętrze, inni w towarzystwie kilku tancerek pili pod namiotami na tarasie. Następca nie pił, nie grał, nie rozmawiał z kobietami, tylko chodził po jednej stronie tarasu, niecierpliwie wypatrując Fenicjanina. Gdy go zobaczył wyjeżdżającego z alei w lektyce na

dwu osłach, zeszedł na pierwsze piętro, gdzie był niczajęty pokój.

Po chwili we drzwiach ukazał się Dagon. Przyklęknął na progu i zawołał:

— Pozdrawiam cię, nowe słońce Egiptu!... Obyś żył wiecznie, a twoja sława oby dosięgła tych dalekich brzegów, kędy dobijają fenickie statki...

Na rozkaz księcia podniósł się i mówił z gwałtowną gestykulacją:

— Kiedy dostojny Tutmozis wysiadł przed moją lepianką (lepianką jest mój dom wobec twoich pałaców, erpatre!), taki bił blask z jego twarzy, że zaraz krzyknąłem do żony: Tamaro, dostojny Tutmozis nie od siebie przychodzi, ale od kogoś wyższego niż on sam, jak Liban jest wyższym od nadmorskich piasków... A żona pyta się: — Skąd wiesz, panie mój, że dostojny Tutmozis nie przychodzi od siebie?... — Stąd, że nie mógł przyjść z pieniędzmi, bo ich nie ma, i nie przyszedł po pieniądze, bo ja ich nie mam... — W tej chwili ukłoniliśmy się oboje dostojnemu Tutmozisowi. A gdy nam powiedział, że to ty, najdostojniejszy panie, chcesz piętnastu talentów od swego niewolnika, ja zapytałem mojej żony: Tamaro, czy źle nauczyło mnie moje serce? — Dagonie, jesteś tak mądry, że powinieneś być doradcą następcy tronu... — odpowiedziała moja żona.

Ramzes kipiał z niecierpliwości, ale słuchał bankiera... On, który burzył się wobec własnej matki i faraona!

— Kiedyśmy — prawił Fenicjanin — zasta-

nowili się i zrozumieli, że ty panie chcesz moich usług, taka w nasz dom wstąpiła radość, że kazałem dać służbie dziesięć dzbanów piwa, a moja żona, Tamar, kazała, ażebym ja jej kupił nowe zausznice. Wesele moje tak się wzmogło, że, kiedym tu jechał, nie pozwoliłem oślarzowi bić osłów. A kiedy niegodne moje stopy dotknęły waszej posadzki, książę, wydobyłem złoty pierścień (większy niż ten, który dostojny Herhor dał Eunanie!) i podarowałem ten złoty pierścień waszemu niewolnikowi, który mi nalał wody na ręce. Za pozwoleniem waszej dostojności, skąd pochodzi ten dzban srebrny, z którego polali mi ręce?...

— Sprzedał mi go Azarjasz, syn Gabera, za dwa talenty.

— Żyd?... Wasza dostojność z żydami handluje? A co na to powiedzą bogowie?...

— Azarjasz jest kupcem, jak wy, — odparł następca.

Usłyszawszy to, Dagon oburącz schwycił się za głowę, zaczął pluć i jęczeć:

— O Baal Tammuz!... o Baalet!... o Astoreth!... Azarjasz, syn Gabera, żyd, ma być takim kupcem, jak ja!... O nogi moje, pocoście mnie tu przyniosły?... O serce, za co cierpisz taki ból i naigrawanie?... Najdostojniejszy książę — krzyczał Fenicjanin — zbij mnie, utnij mi rękę, jeżeli będę fałszował złoto, ale nie mów, że żyd może być kupcem. Prędzej upadnie Tyr, prędzej miejsce Sydonu zajmie piasek, aniżeli żyd zostanie kupcem. Oni mogą doić swoje chude kozy, albo pod egipskim

batem mieszać glinę ze słomą, ale nigdy handlować. Tfu!... tfu!... nieczysty naród niewolników!... Rabuśniki, złodzieje!...

W księciu, niewiadomo dlaczego, gniew zawrzał, lecz wnet uspokoił się. Co wydało się dziwnem samemu Ramzesowi, który dotychczas wobec nikogo nie uważał za potrzebne hamować się.

— A więc — odezwał się nagle następca — czy pożyczysz mi, zacny Dagonie, piętnaście talentów?

— O Astoreth!... piętnaście talentów?... To jest tak wielki ciężar, że ja musiałbym usiąść, ażeby o nim dobrze pomyśleć.

— Więc siadaj.

— Za talent — mówił Fenicjanin, wygodnie siadając na krześle — można mieć dwadzieścia złotych łańcuchów, albo sześćdziesiąt pięknych krów dojnych, albo dziesięciu niewolników do roboty, albo jednego niewolnika, który potrafi czy to grać na flecie, czy malować, a może nawet leczyć. Talent to straszny majątek!...

Księciu błysnęły oczy.

— Więc jeżeli nie masz piętnastu talentów...— przerwał książę.

Przestraszony Fenicjanin nagle zsunął się z krzesła na podłogę.

— Kto w tem mieście — zawołał — nie ma pieniędzy na twój rozkaz, synu słońca?... Prawda, że ja jestem nędzarz, którego złoto, klejnoty i wszystkie dzierżawy niewarte twojego spojrzenia, książę. Ale gdy obejdę naszych kupców i powiem, kto

mnie wysłał, do jutra wydobędziemy piętnaście talentów choćby z pod ziemi. Gdybyś ty, erpatre, stanął przed uschłą figą i powiedział: „Dawaj pieniędzy!...“ figa zapłaciłaby okup... Tylko nie patrz tak na mnie, synu Horusa, bo czuję ból w dołku sercowym i miesza mi się umysł — mówił błagającym tonem Fenicjanin.

— No, usiądź, usiądź... — rzekł książę z uśmiechem.

Dagon podniósł się z podłogi i jeszcze wygodniej rozparł się na krześle.

— Na jak długo książę chce piętnastu talentów? — zapytał.

— Zapewne na rok.

— Powiedzmy odrazu: na trzy lata. Tylko jego świątobliwość mógłby oddać w ciągu roku piętnaście talentów, ale nie młody książę, który codzień musi przyjmować wesołych szlachciców i piękne kobiety... Ach, te kobiety!... Czy prawda, za pozwoleniem waszego dostojeństwa, że książę wziąłeś do siebie Sarę, córkę Gedeona?

— A ile chcesz procentu? — przerwał książę.

— Drobiazg, o którym nie mają potrzeby mówić wasze święte usta. Za piętnaście talentów da książę pięć talentów na rok, a w ciągu trzech lat ja wszystko odbiorę sam, tak, że wasza dostojność nawet nie będzie wiedział...

— Dasz mi dzisiaj piętnaście talentów, a za trzy lata odbierzesz trzydzieści?...

— Prawo egipskie dozwala, ażeby suma pro-

centów wyrównywała pożyczce — odparł zmieszany Fenicjanin.

— Ale czy to nie za dużo?

— Za dużo?... — krzyknął Dagon. — Każdy wielki pan ma wielki dwór, wielki majątek i płaci tylko wielkie procenta. Ja wtydziłbym się wziąć mniej od następcy tronu; a i sam książę mógłby kazać mnie zbić kijami i wypędzić, gdybym ośmielił się wziąć mniej...

— Kiedy przyniesiesz pieniądze?

— Przynieść?... O bogowie! tego jeden człowiek nie potrafi. Ja zrobię lepiej: ja załatwię wszystkie wypłaty księcia, ażebyś wasza dostojność nie potrzebował myśleć o takich nędznych sprawach.

— Alboż ty znasz moje wypłaty?

— Trochę znam — odparł niedbale Fenicjanin. — Książę chce posłać sześć talentów dla armji wschodniej, co zrobią nasi bankierzy w Chetem i Migdolu. Trzy talenty .dostojnemu Nitagerowi i trzy dostojnemu Patroklesowi, to załatwi się na miejscu... A Sarze i jej ojcu Gedeonowi ja mogę wypłacić, przez tego parcha Azarjasza... Tak nawet będzie lepiej, bo oni oszukaliby księcia w rachunkach.

Ramzes niecierpliwie zaczął chodzić po pokoju.

— Więc mam ci dać rewers na trzydzieści talentów? — zapytał.

— Jaki rewers?... poco rewers?... Co jabym miał z rewersu?... Mnie książę odda w dzierżawę na trzy lata swoje folwarki w nomesach: Takens, Ses, Neha-Ment, Neha-Pechu, Sebt-Het w Habu.

— Dzierżawa?... — rzekł książę. — Nie podoba mi się to...

— Więc z czego ja odbiorę moje pieniądze, moje trzydzieści talentów?...

— Zaczekaj. Muszę najpierw zapytać dozorcy stodół, ile przynoszą mi rocznie te majątki.

— Poco wasza dostojność ma zadawać sobie tyle pracy?... Co wie dozorca?... On nic nie wie, jakem uczciwy Fenicjanin. Każdego roku jest inny urodzaj i inny dochód... Ja mogę stracić na tym interesie, a wtedy dozorca nie zwróci mi...

— Ale widzisz, Dagonie, mnie się zdaje, że te majątki przynoszą daleko więcej, aniżeli dziesięć talentów rocznie...

— Nie chce książę zaufać mi? dobrze! Ja, na wasz rozkaz, mogę opuścić folwarki w Ses... Nie jest książę jeszcze pewny mego serca?... No, więc ja jeszcze ustąpię Sebt-Het... Ale poco tu dozorca? On księcia będzie uczył mądrości?... O Astoreth! jabym stracił sen i apetyt, gdyby jaki dozorca, poddany i niewolnik, śmiał poprawiać mojego miłościwego pana. Tu potrzebny tylko pisarz, który napisze, że wy, najdostojniejszy panie, oddajecie mi w dzierżawę na trzy lata folwarki w tym, tym i tym nomesie. I potrzeba szesnastu świadków, że mnie spotkał taki honor od księcia. Ale poco służba ma wiedzieć, że ich pan pożycza ode mnie pieniądze?...

Znudzony następca wzruszył ramionami.

— Jutro — rzekł — przynieś pieniądze i spro-

wadź sobie pisarza i świadków. Ja o tem myśleć nie chcę.

— Ach, jakie mądre słowa! — zawołał Fenicjanin. — Obyś, najdostojniejszy panie, żył wiecznie!...

ROZDZIAŁ IX.

Po lewej stronie Nilu, na brzegu północnym przedmieścia Memfis, znajdował się folwark, który następca tronu oddał na mieszkanie Sarze, córce żyda Gedeona.

Była to posiadłość na 35 morgów rozległa, tworząca niewielki kwadrat, który ze szczytu domu ogarniało się wzrokiem, jak na dłoni. Grunta folwarku leżały na wzgórzu i dzieliły się na cztery kondygnacje. Dwie najniższe i najobszerniejsze, które Nil zawsze zalewał, były przeznaczone pod uprawę zbóż i jarzyn. Na trzeciej kondygnacji, która czasami nie ulegała wylewom, rosły palmy, figi i inne drzewa owocowe. Na czwartej, najwyższej, był ogród zasadzony drzewami oliwnemi, winem, orzechami i kasztanami słodkiemi, wśród których znajdował się dom.

Dom był drewniany, jednopiętrowy, jak zwykle z tarasem, nad którym wznosił się płócienny namiot. Na dole mieszkał czarny niewolnik Ramzesa, na górze Sara ze swoją krewną i służącą Tafet. Dom był otoczony murem z niedopalonej cegły, za którym w pewnej odległości znajdowały się budynki dla bydła, parobków i dozorców.

Pokoje Sary nie były duże, ale wykwintne. Na podłogach leżały dywany, we drzwiach i oknach zwieszały się zasłony w różnokolorowe pasy. Były tu rzeźbione łóżka i krzesła, inkrustowane skrzynie na odzież, trójnożne i jednonożne stoliki, na których stały wazony z kwiatami, wysmukłe dzbany do wina, szkatułki z flaszeczkami perfum, złote i srebrne czarki i kielichy, fajansowe wazy i misy, bronzowe kagańce. Każdy, choćby najdrobniejszy sprzęt, czy naczynie, było ozdobione rzeźbą lub kolorowym rysunkiem, każda sztuka odzieży — haftem i frendzlami.

Już dziesięć dni mieszkała w tem ustroniu Sara, z obawy i wstydu kryjąc się przed ludźmi, tak, że ze służby folwarcznej prawie nikt jej nie widział. W zasłonionym buduarze szyła, tkała płótno na małym warsztacie lub zwijała wieńce z żywych kwiatów dla Ramzesa. Niekiedy wymykała się na taras i, ostrożnie rozchyliwszy ściany namiotu, wyglądała na Nil pełen łodzi, których wioślarze śpiewali wesołe pieśni. Albo, podniósłszy oczy, patrzała z trwogą na szare pylony królewskiego zamku, który, milczący i posępny, górował nad drugim brzegiem rzeki. Wówczas znowu uciekała do swoich robót i wołała Tafet.

— Siedź tu, matko—mówiła—co ty tam robisz na dole?...

— Ogrodnik przyniósł owoce, a z miasta przysłali chleby, wino i ptaszki; musiałam to odebrać.

— Siedź tu i rozmawiaj, bo mnie strach ogarnia.

— Głupiutka z ciebie dziecina! — odparła, śmiejąc się, Tafet. — Do mnie także pierwszego dnia strach wyglądał z każdego kąta; ale jak wyszłam za mur, wszystko się skończyło. Kogo ja się tu mam bać, gdzie wszyscy padają przede mną na kolana? Przed tobą chybaby stawali na głowach!... Wyjdź do ogrodu, jest piękny jak raj... Wyjrzyj w pole, gdzie zbierają pszenicę... Siądź w łódkę rzeźbioną, której przewoźnicy usychają z tęsknoty, ażeby cię zobaczyć i przewieźć po Nilu...

— Boję się...

— Czego?

— Albo ja wiem?... Dopóki szyję, myślę, że jestem w naszej dolinie i że zaraz przyjdzie ojciec. Ale kiedy wiatr uchyli zasłonę okna i spojrzę z góry na ten wielki... wielki kraj, zdaje mi się... wiesz co?... Że mnie porwał sęp i zaniósł do swego gniazda na skale, skąd zejść nie można...

— Ach, ty... ty! Gdybyś widziała, jaką dziś wannę przysłał książę, miedzianą wannę!... A jaki trójnóg na ognisko, jakie garnki i rożny! A gdybyś wiedziała, że ja dziś dwie kury posadziłam, i niedługo będziemy mieli pisklęta...

Po zachodzie słońca, gdy nikt nie mógł jej widzieć, Sara bywała śmielszą. Wówczas wychodziła na taras i patrzyła na rzekę. A gdy zdaleka ukazała się łódź, oświetlona pochodniami, które na czarnej wodzie rzeźbiły krwawe i ogniste smugi, Sara obu rękami przyciskała swoje biedne serce, które drżało, jak złapany ptak. Tam, płynął do niej Ramzes, a ona nie umiałaby powiedzieć, co

się z nią dzieje: czy radość, że zbliża się ten piękny, którego poznała w dolinie, czy trwoga, że znowu zobaczy wielkiego władcę i pana, który ją onieśmielał?

Jednego dnia, w wigilję szabasu, przyszedł na folwark ojciec, pierwszy raz od jej osiedlenia się w tem miejscu. Sara z płaczem rzuciła się do niego; sama umyła mu nogi, a na głowę wylała wonności, okrywając go pocałunkami. Gedeon był to człowiek już szpakowaty, o surowych rysach. Miał na sobie długą do kostek koszulę, u dołu obszytą kolorowym haftem, a na niej żółty kaftan bez rękawów, rodzaj kapy, spadającej na piersi i plecy. Głowę nakrywał niewielką czapką, zwężającą się u góry.

— Jesteś?... jesteś! — wołała Sara i znowu zaczęła całować jego ręce i głowę.

— Ja sam dziwię się, że tu jestem! — odparł smutnie Gedeon. — Skradałem się do ogrodu, jak złodziej; przez całą drogę z Memfis zdawało mi się, że wszyscy Egipcjanie pokazują mnie palcami, a każdy żyd pluje...

— Przecież, ojcze, sam mnie oddałeś księciu?... — szepnęła Sara.

— Oddałem, bo cóż miałem robić? Zresztą mnie się tylko tak zdaje, że mnie pokazują i opluwają. Z Egipcjan, kto mnie zna, kłania mi się tem niżej, im sam jest wyższy. Przez czas, kiedy tu jesteś, nasz pan, Sezofris, mówił, że trzeba mi dom powiększyć; pan Chaires darował mi stągiew nai-

lepszego wina, a sam najdostojniejszy nasz nomarcha przysłał do mnie zaufanego sługę pytać: czy ty jesteś zdrowa i czy ja nie zostałbym u niego rządcą?

— A żydzi? — spytała Sara.

— Co żydzi!... Oni wiedzą, że ja nie ustąpiłem z dobrej woli. No, a każdy chciałby, żeby jemu tylko taki gwałt robili. Niechaj nas wszystkich Pan Bóg sądzi. Lepiej powiedz: jak ty się masz?

— Na łonie Abrahama nie będzie jej lepiej — odezwała się Tafet. — Cały dzień znoszą nam owoce, wina, chleby i mięso, czego dusza zapragnie. A jaką wannę mamy!... cała miedziana. A jakie naczynia kuchenne!...

— Trzy dni temu — przerwała Sara — był u mnie Fenicjanin Dagon. Nie chciałam go widzieć, ale tak się napierał...

— Dał mi złoty pierścionek — wtrąciła Tafet.

— Powiedział mi — mówiła Sara — że jest dzierżawcą u mego pana, darował mi dwie bransolety na nogi, zausznicę z pereł i szkatułkę wonności z kraju Punt.

— Za co on ci to darował? — zapytał ojciec.

— Za nic. Tylko prosił, ażebym o nim dobrze myślała i niekiedy powiedziała mojemu panu, że Dagon jest najwierniejszym sługą.

— Ty bardzo prędko zbierzesz całą skrzynię zausznic i bransolet — odparł z uśmiechem Gedeon. — Ach — dodał po chwili — zbierz prędko wielki majątek i uciekajmy do naszej ziemi, bo tu

nam zawsze bieda! Bieda, kiedy jest źle, a jeszcze większa bieda, kiedy jest dobrze.

— A coby powiedział pan mój? — zapytała Sara ze smutkiem.

Ojciec potrząsnął głową.

— Nim rok minie, pan twój porzuci cię, a inni mu dopomogą. Gdybyś była Egipcjanką, wziąłby cię do swego domu, ale żydówkę...

— Porzuci? — powtórzyła Sara z westchnieniem.

— Co martwić się przyszłemi dniami, które są w ręku Boga! Przyszedłem spędzić u ciebie szabas...

— A ja mam doskonałe ryby, mięso, placki i wino koszerne — szybko wtrąciła Tafet. — Kupiłam też w Memfis siedmioramienny świecznik i świece woskowe... Będzie kolacja, lepsza, niż u samego pana Chairesa.

Gedeon wyszedł z córką na taras. Gdy zostali we dwoje, rzekł:

— Mówiła mi Tafet, że ciągle siedzisz w domu. Dlaczego? Trzeba wyjrzeć przynajmniej do ogrodu.

Sara wstrząsnęła się.

— Boję się — szepnęła.

— Dlaczego ty się masz bać swego ogrodu?... Przecież ty tu jesteś pani, wielka pani...

— Raz wyszłam do ogrodu w dzień... Zobaczyli mnie jacyś ludzie i zaczęli mówić między sobą: „Patrzcie, to ta żydówka następcy tronu, przez którą opóźnia się przybór!...“

— Głupi oni są — wtrącił Gedeon. — Alboż

to raz Nil o cały tydzień spóźnił się z wylewem? Więc tymczasem wychodź sobie wieczorami.

Sara wstrząsnęła się jeszcze gwałtowniej.

— Nie chcę... nie chcę!... — zawołała. — Innego dnia wyszłam w wieczór, tam, między oliwne drzewa. Nagle z bocznej ścieżki wysunęły się, jak cienie, dwie kobiety... Przestraszona, chciałam uciekać... Wtedy jedna z nich, młodsza i niższa, schwyciła mnie za rękę, mówiąc: „Nie uciekaj, musimy ci się przypatrzyć...“ A druga, starsza i wyższa, stanęła o kilka kroków przede mną i spojrzała mi w oczy... Ach, ojcze, myślałam, że się w kamień obrócę... Co to była za kobieta... co za spojrzenie...

— Kto to mógł być? — spytał Gedeon.

— Ta starsza wyglądała na kapłankę.

— I nic do ciebie nie mówiła?

— Nic. Tylko kiedy odchodząc, skryły się za drzewami, słyszałam, zapewne, głos starszej, która powiedziała tylko te wyrazy: „Zaprawdę, jest ładna...“

Gedeon zamyślił się.

— Może to były — rzekł — jakieś wielkie panie ze dworu?...

Słońce zachodziło, a na obu brzegach Nilu zbierały się gęste tłumy ludzi, niecierpliwie czekających na sygnał o przyborze, który istotnie opóźnił się. Już od dwu dni wiał wiatr z morza i rzeka pozieleniała; już słońce minęło gwiazdę Sotis, ale w studni kapłańskiej w Memfisie woda nie podniosła się nawet na grubość palca. Ludzie byli zaniepokojeni, tem bardziej, że w Górnym Egipcie, według

sygnałów, wylew szedł prawidłowo, a nawet zapowiadał się doskonale.

— Cóż więc zatrzymuje go pod Memfisem?— pytali stroskani rolnicy, z utęsknieniem czekając na sygnał.

Gdy na niebie ukazały się gwiazdy, Tafet w jadalnym pokoju nakryła stół białym obrusem, postawiła świecznik z siedmiu zapalonemi świecami, przysunęła trzy krzesła i oświadczyła, że zaraz poda szabasową kolację.

Wtedy Gedeon nakrył głowę i, wzniósłszy nad stołem obie ręce, mówił zapatrzony w niebo:

— Boże Abrahama, Izaaka, Jakóba, który wyprowadziłeś lud nasz z ziemi egipskiej, który niewolnikom i wygnańcom dałeś ojczyznę, który z synami Judy zawarłeś wieczne przymierze... Boże Jehowa, Boże Adonai, pozwól nam spożywać bez grzechu płody wrogiej ziemi, wydobądź nas ze smutku i strachu, w jakim jesteśmy pogrążeni, i powróć nad brzegi Jordanu, który opuściliśmy dla twojej chwały...

W tej chwili z za muru odezwał się głos:

— Jego dostojność Tutmozis, najwierniejszy sługa jego świątobliwości i następcy tronu...

— Oby żył wiecznie!... — odezwało się kilka głosów z ogrodu.

— Jego dostojność — mówił znowu głos pojedyńczy — zasyła pozdrowienia najpiękniejszej róży z pod Libanu!

Gdy umilkł, rozległ się dźwięk arfy i fletu.

— To muzyka!... — zawołała Tafet, klaszcząc

w ręce. — Będziemy obchodzili szabas przy muzyce...

Sara i jej ojciec, z początku przerażeni, zaczęli się śmiać i zasiedli do stołu.

— Niech sobie grają — rzekł Gedeon — nie zepsuje nam apetytu ich muzyka.

Flet i arfa odegrały zwrotkę, po której odezwał się głos tenorowy, śpiewając:

— Jesteś piękniejsza od wszystkich dziewcząt, jakie przeglądają się w wodach Nilu. Włosy twoje czarniejsze od piór kruka, oczy spoglądają łagodniej od oczu łani, która tęskni po swoim koziołku. Wzrost twój jest jako wzrost palmy, a lotus zazdrości tobie wdzięku. Piersi twoje są jak winne grona, których sokiem upajają się królowie...

Znowu odezwał się flet i arfa, a po nich pieśń:

„Przyjdź i spocznij w ogrodzie. Służba, która do ciebie należy, przyniesie liczne naczynia i piwa wszelkich gatunków. Przyjdź, uświęcimy noc dzisiejszą i świt, który po niej nastąpi. W moim cieniu, w cieniu figi, rodzącej słodkie owoce, twój kochanek spocznie po twojej prawicy; a ty go upoisz i powolną będziesz wszelkim jego żądaniom..."

Flet i arfa — po nich znowu śpiew:

„Ja jestem milczącego umysłu, nigdy nie mówię co widzę i słodyczy moich owoców nie psuję czczem paplaniem..." *).

---

*) Autentyczne.

ROZDZIAŁ X.

Wtem śpiew umilkł, zagłuszony wrzawą i szelestem, jakby wielu biegnących.

— Poganie!... wrogowie Egiptu!... — wołał ktoś. — Śpiewacie, kiedy wszyscy nurzamy się w strapieniu, i chwalicie żydówkę, która czarami swemi zatrzymała bieg Nilu...

— Biada wam! — wołał inny. — Depczecie ziemię następcy tronu... Śmierć spadnie na was i dzieci wasze!...

— Ustąpimy, ale niech wyjdzie do nas żydówka, abyśmy jej przedstawili nasze krzywdy...

— Uciekajmy!... — krzyknęła Tafet.

— Dokąd? — spytał Gedeon.

— Nigdy! — odparła Sara, na której twarz łagodną wystąpił rumieniec gniewu. — Czyliż nie należę do następcy tronu, przed którym ci ludzie padają na twarz?

I nim ojciec i służąca opamiętali się, wybiegła na taras cała w bieli, wołając do tłumu za murem:

— Oto jestem!... Czego chcecie ode mnie?...

Gwar na chwilę ucichł, lecz znowu odezwały się groźne głosy:

— Bądź przeklęta, cudzoziemko, której grzech zatrzymuje wody Nilu!...

W powietrzu świsnęło kilka kamieni, rzuconych na oślep; jeden uderzył w czoło Sarę.

— Ojcze!... — zawołała, chwytając się za głowę.

Gedeon porwał ją na ręce i zniósł z tarasu.

Wśród nocy widać było nagich ludzi w białych czepkach i fartuszkach, którzy przełazili mur.

Na dole Tafet krzyczała w niebogłosy, a niewolnik murzyn, schwyciwszy topór, stanął w jednych drzwiach domu, zapowiadając, że rozwali łeb każdemu, kto ośmieli się wejść.

— Dajcie-no kamieni na tego psa nubijskiego! — wołali do gromady ludzie z muru.

Lecz gromada nagle ucichła, gdyż z głębi ogrodu wyszedł człowiek z ogoloną głową, odziany w skórę pantery.

— Prorok!... ojciec święty!... — zaszemrano w tłumie.

Siedzący na murze poczęli zeskakiwać.

— Ludu egipski — rzekł kapłan spokojnym głosem — jakiem prawem podnosisz rękę na własność następcy tronu?

— Tam mieszka nieczysta żydówka, która powstrzymuje przybór Nilu... Biada nam!... nędza i głód wisi nad Dolnym Egiptem.

— Ludzie złej wiary, czy słabego rozumu — mówił kapłan — gdzieżeście słyszeli, ażeby jedna kobieta mogła powstrzymać wolę bogów? Co rok, w miesiącu Tot, Nil zaczyna przybierać i do miesiąca Choiak rośnie. Czy działo się kiedy inaczej, choć nasz kraj zawsze był pełen cudzoziemców, niekiedy obcych kapłanów i książąt, którzy, jęcząc w niewoli i ciężkiej pracy, z żalu i gniewu mogli rzucać najstraszliwsze przekleństwa?... Ci z pewnością pragnęli na nasze głowy zwalić wszelakie nieszczęścia, a niejeden oddałby życie, ażeby albo

słońce nie wzeszło nad Egiptem o porannej godzinie, albo Nil nie przybrał w początkach roku. I co z ich modlitw?... Albo nie były wysłuchane w niebiosach, albo obcy bogowie nie mieli siły wobec naszych. Jakim więc sposobem, kobieta, której między nami jest dobrze, mogłaby ściągnąć klęskę, jakiej najpotężniejsi wrogowie nasi sprowadzić nie potrafili?...

— Ojciec święty mówi prawdę!... Mądre są słowa proroka!... — odezwano się w tłumie.

— A jednak Messu, wódz żydowski, zrobił ciemność i pomór w Egipcie!... — zaoponował jeden głos.

— Który to powiedział, niech wystąpi naprzód!... — zawołał kapłan. — Wzywam go, niech wystąpi, jeżeli nie jest wrogiem egipskiego ludu...

Tłum zaszemrał, jak wicher zdaleka płynący między drzewami; ale naprzód nie wystąpił nikt.

— Zaprawdę mówię — ciągnął kapłan — że między wami krążą źli ludzie, niby hieny w owczarni. Nie litują się oni nad waszą nędzą, ale chcą was popchnąć do zniszczenia domu następcy tronu i buntu przeciw faraonowi. Gdyby zaś udał się ich nikczemny zamiar, a z waszych piersi gdyby zaczęła płynąć krew, ludzie ci ukryliby się przed włóczniami, jak w tej chwili przed mojem wezwaniem...

— Słuchajcie proroka!... Chwała ci mężu boży!... — wołał tłum, pochylając głowy.

Pobożniejsi upadali na ziemię.

— Słuchaj mnie, ludu egipski... Za twoją wiarę w słowa kapłana, za posłuszeństwo faraonowi i na-

stępcy, za cześć, jaką oddajecie słudze bożemu, spełni się nad wami łaska. Idźcie do domów waszych w pokoju, a może nim zejdziecie z tego pagórka, Nil zacznie przybierać...

— Oby się tak stało!...

— Idźcie!... Im większą będzie wiara i pobożność wasza, tem prędzej ujrzycie znak łaski...

— Idźmy!... idźmy!... Bądź błogosławiony proroku, synu proroków...

Zaczęli rozchodzić się, całując szaty kapłana. Wtem ktoś krzyknął:

— Cud!... spełnia się cud...

— Na wieży w Memfis zapalono światło... Nil przybiera!... Patrzcie, coraz więcej świateł!... Zaprawdę, przemawiał do nas wielki święty... Żyj wiecznie!...

Zwrócono się do kapłana, ale ten zniknął wśród cieniów.

Tłum, niedawno rozjątrzony, a przed chwilą zdumiony i przejęty wdzięcznością, zapomniał o swoim gniewie i o kapłanie cudotwórcy. Opanowała go szalona radość i zaczęli biec pędem ku brzegowi rzeki, nad którym już zapłonęły liczne ogniska i rozległ się wielki śpiew zebranego ludu:

„Bądź pozdrowiony, o Nilu, o święta rzeko, która objawiłaś się na tej ziemi! Przychodzisz w pokoju, aby dać życie Egiptowi. O Boże ukryty, który rozpraszasz ciemności, który skrapiasz łąki, aby przynieść pokarm niemym zwierzętom! O drogo, schodząca z niebios, ażeby napoić ziemię, o przyjacielu chleba, który rozweselasz chaty!... Ty jesteś

władcą ryb, a gdy zstąpisz na nasze pola, żaden ptak nie ośmieli się dotknąć zbiorów. Ty jesteś twórcą zboża i rodzicielem jęczmienia; ty dajesz odpoczynek rękom miljonów nieszczęśliwych i na wieki utrwalasz świątynie“ *).

W tym czasie oświetlona łódź następcy tronu przypłynęła od tamtego brzegu, wśród okrzyków i śpiewów. Ci sami, którzy pół godziny temu chcieli wedrzeć się do willi księcia, teraz padali przed nim na twarz, albo rzucali się w wodę, aby całować wiosła i boki statku, który przywoził syna władcy.

Wesoły, otoczony pochodniami, Ramzes, w towarzystwie Tutmozisa, wszedł do domu Sary. Na jego widok Gedeon rzekł do Tafet:

— Boję się bardzo o moją córkę, ale jeszcze bardziej nie chcę spotykać się z jej panem...

Przeskoczył mur i, wśród ciemności, przez ogród i pola, poszedł w stronę Memfisu.

Na dziedzińcu wołał Tutmozis:

— Witaj, piękna Saro!... Spodziewam się, że nas dobrze podejmiesz za muzykę, którą ci przysłałem...

W progu ukazała się Sara z obwiązaną głową, wsparta na murzynie i służebnicy.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony książę.

— Straszne rzeczy!... — zawołała Tafet.—Poganie napadli twój dom, a jeden uderzył kamieniem Sarę...

— Jacy poganie?...

---

*) Autentyczne.

— A ci... Egipcjanie! — objaśniła Tafet.

Książę rzucił jej spojrzenie pełne wzgardy. Lecz wnet opanowała go wściekłość.

— Kto uderzył Sarę? kto rzucił kamień?... — krzyknął, chwytając za ramię murzyna.

— Tamci z nad rzeki... — odparł niewolnik.

— Hej, dozorcy!... — wołał zapieniony książę — uzbroić mi wszystkich ludzi na folwarku i dalej na tę zgraję!...

Murzyn znowu pochwycił swój topór, dozorcy zaczęli wywoływać parobków z zabudowań, a kilku żołnierzy ze świty księcia machinalnie poprawili miecze.

— Na miłość boską, co chcesz uczynić?... — szepnęła Sara, wieszając się na szyi księcia.

— Chcę pomścić cię... — odparł — Kto uderza w moją własność, we mnie uderza...

Tutmozis pobladł i kręcił głową.

— Słuchaj, panie — odezwał się — a jakże po nocy i w tłumie poznasz ludzi, którzy dopuścili się zbrodni?

— Wszystko mi jedno... Motłoch to zrobił i motłoch będzie odpowiadał...

— Tak nie powie żaden sędzia—reflektował Tutmozis. — A przecie ty masz być najwyższym sędzią...

Książę zamyślił się, jego towarzysz mówił dalej.

— Zastanów się, coby jutro powiedział nasz pan, faraon?... A jaka radość zapanowałaby między wrogami Egiptu, ze wschodu i zachodu, gdyby usłyszeli, że następca tronu, prawie pod królewskim pałacem, napada w nocy swój lud?...

— O, gdyby mi ojciec dał choć połowę armji, umilkliby na wieki wrogowie nasi we wszystkich stronach świata!... — szepnął książę, uderzając nogą w ziemię.

— Wreszcie... przypomnij sobie tego chłopa, który się powiesił... Żałowałeś go, gdyż umarł człowiek niewinny, a dzisiaj... Czy podobna, ażebyś sam chciał zabijać niewinnych?...

— Dość już! — przerwał głucho następca. — Gniew mój jest jak dzban pełen wody... Biada temu, na kogo się wyleje... Wejdźmy do domu...

Wylękniony Tutmozis cofnął się. Książę wziął Sarę za rękę i wszedł z nią na pierwsze piętro. Posadził ją obok stołu, na którym stała niedokończona kolacja i, zbliżywszy świecznik, zerwał jej opaskę z głowy.

— Ach — zawołał — to nawet nie jest rana, tylko siniak?...

Przypatrywał się Sarze z uwagą.

— Nigdy nie myślałem — rzekł — że możesz mieć siniaka... To bardzo zmienia twarz...

— Więc już ci się nie podobam?... — cicho zapytała Sara, podnosząc na niego wielkie oczy, pełne trwogi.

— Och, nie!... wreszcie to przejdzie...

Potem zawołał Tutmozisa i murzyna i kazał opowiedzieć wypadki wieczorne.

— On nas obronił — rzekła Sara. — Stanął z toporem we drzwiach...

— Zrobiłeś tak?...—spytał książę niewolnika, bystro patrząc mu w oczy.

— Czyliż miałem pozwolić, ażeby do twego domu, panie, wdzierali się obcy ludzie?

Książę poklepał go po kędzierzawej głowie.

— Postąpiłeś — rzekł — jak człowiek mężny. Daję ci wolność. Jutro dostaniesz wynagrodzenie i możesz wracać do swoich.

Murzyn zachwiał się i przetarł oczy, których białka połyskiwały. Nagle upadł na kolana i, uderzając czołem w posadzkę, zawołał:

— Nie odpędzaj mnie od siebie, panie!...

— Dobrze — odparł następca. — Zostań przy mnie, ale jako wolny żołnierz. Takich właśnie mi potrzeba — dodał, patrząc na Tutmozisa. — Ten nie umie mówić, jak dozorca domu ksiąg, ale gotów walczyć...

I znowu zaczął wypytywać o szczegóły najścia, a gdy murzyn opowiedział mu o zjawieniu się kapłana i jego cudzie, książę schwycił się za głowę, wołając:

— Jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem w Egipcie!... Niezadługo nawet w mojem łóżku będę znajdował kapłanów... Skąd on?... Co on za jeden?

Tego murzyn nie umiał objaśnić. Powiedział jednak, że zachowanie się kapłana było bardzo życzliwe dla księcia i dla Sary; że napadem kierowali nie Egipcjanie, ale ludzie, których kapłan nazwał wrogami Egiptu i bezskutecznie wzywał ich, aby wystąpili naprzód.

— Dziwy!... dziwy!... — mówił w zamyśleniu książę, rzuciwszy się na łóżko. — Mój czarny nie-

wolnik jest dzielnym żołnierzem i pełnym rozsądku człowiekiem... Kapłan broni żydówki, dlatego, że jest moją... Co to za osobliwy kapłan?... Lud egipski, który klęka przed psami faraona, napada na dom następcy tronu, pod dowództwem jakichś wrogów Egiptu?... Muszę ja to sam zbadać...

ROZDZIAŁ XI.

Skończył się miesiąc Tot i zaczynał miesiąc Paofi, druga połowa lipca. Woda Nilu z zielonawej zrobiła się białą, a potem czerwoną i wciąż przybierała. Królewski wodowskaz w Memfisie był zapełniony prawie na wysokość dwu ludzi, a Nil rósł codzień na dwie piędzie. Najniższe grunta były zalane, z wyższych śpiesznie zbierano len, winogrona i pewien rodzaj bawełny. Gdzie z rana było jeszcze sucho, tam ku wieczorowi pluskały fale.

Zdawało się, że gwałtowny, choć niewidzialny wicher dmie w głębi rzeki. Orze na niej szerokie zagony, wypełnia pianą brózdy, potem na chwilę wygładza powierzchnię wody, a po chwili skręca ją w przepaściste wiry.

Znowu orze, znowu wygładza, skręca, napędza nowe góry wody, nowe smugi pian i wciąż podnosi szeleszczącą rzekę, wciąż zdobywa nowe płaty ziemi. Niekiedy woda, dosięgnąwszy pewnej granicy, przekracza ją w okamgnieniu, wlewa się w nizinę i tworzy błyszczące jeziorko, tam, gdzie przed chwilą rozsypywały się w proch zwiędłe trawy.

Choć przybór dosięgnął ledwie trzeciej części swej miary, już całe wybrzeże było zalane. Co godzina jakiś folwarczek na wzgórzu robił się podobnym do wyspy, z początku odgraniczonej od innych tylko wąskim kanałem, który stopniowo rozszerzał się i coraz bardziej odcinał domostwo od sąsiadów. Nieraz, kto wyszedł do pracy piechotą, wracał czółnem.

Łódek i tratew ukazywało się na Nilu coraz więcej. Z jednych łapano ryby w sieci, na innych przewożono zbiory do stodół, albo ryczące bydło do obór, na innych odwiedzano znajomych, ażeby wśród śmiechu i krzyków zawiadomić ich (na co patrzyli wszyscy), że Nil przybiera. Niekiedy łodzie, skupione jak stado kaczek, rozbiegały się na wszystkie strony przed szeroką tratwą, która z Górnego Egiptu niosła wdół olbrzymie bryły kamienne, wyrąbane w nadbrzeżnych kopalniach.

W powietrzu, jak ucho sięgło, rozlegał się szelest przybierającej wody, krzyk spłoszonego ptactwa i wesołe śpiewy ludzkie. Nil przybiera, będzie dużo chleba!

Przez cały ten miesiąc toczyło się śledztwo w sprawie napadu na dom następcy tronu. Każdego ranka łódź z urzędnikami i milicją przybijała do jakiegoś folwarku. Odrywano ludzi od pracy, zasypywano ich podstępnemi pytaniami, bito kijem, ku wieczorowi zaś wracały do Memfisu dwie łódki: jedna niosła urzędników, druga więźniów.

Tym sposobem wyłowiono kilkuset przestępców, z których połowa nie wiedziała o niczem,

połowie zaś groziło więzienie lub kilka lat pracy w kamieniołomach. Niczego jednak nie dowiedziano się ani o przywódcach napadu, ani o owym kapłanie, który skłonił lud do rozejścia.

W księciu Ramzesie kojarzyły się niezwykle sprzeczne przymioty. Był on gwałtowny jak lew i uparty jak wół. Ale obok tego miał wielki rozum i głębokie poczucie sprawiedliwości.

Widząc, że śledztwo, prowadzone przez urzędników, nie wydaje rezultatu, książę pewnego dnia sam popłynął do Memfisu i kazał sobie otworzyć więzienie.

Było ono zbudowane na wzgórzu, otoczone wysokim murem i składało się z wielkiej liczby budynków kamiennych, ceglanych i drewnianych. Budowle te po większej części były tylko wejściami lub mieszkaniami dozorców. Więźniowie zaś mieścili się w podziemnych jaskiniach, wykutych w wapiennej skale.

Kiedy następca przekroczył bramę, spostrzegł gromadkę kobiet, które myły i karmiły jakiegoś więźnia. Nagi ten człowiek, podobny do szkieletu, siedział na ziemi, trzymając ręce i nogi w czterech otworach kwadratowej deski, która zastępowała kajdany.

— Dawno ten człowiek tak cierpi? — zapytał książę.

— Dwa miesiące — odparł nadzorca.

— A długo ma jeszcze siedzieć?

— Miesiąc.

— Cóż on zrobił?

— Zelżył urzędnika, zbierającego podatki.

Książę odwrócił się i ujrzał drugą gromadkę, złożoną z kobiet i dzieci. Między nimi był stary człowiek.

— Czy to są więźniowie?

— Nie, najdostojniejszy panie. To jest rodzina, oczekująca na zwłoki przestępcy, który ma być uduszony... O, już prowadzą go do izby... — mówi nadzorca.

Potem, zwróciwszy się do gromadki, rzekł:

— Bądźcie jeszcze chwilkę cierpliwi, kochani ludzie, zaraz dostaniecie ciało.

— Bardzo dziękujemy ci, zacny panie — odparł stary człowiek, zapewne ojciec delikwenta. — Wyszliśmy z domu wczoraj wieczorem, len został nam w polu, a tu rzeka przybiera!...

Książę pobladł i zatrzymał się.

— Wiesz — zwrócił się do nadzorcy, — że mam prawo łaski?

— Tak, erpatre — odpowiedział nadzorca, kłaniając się, a potem dodał: — Według praw, na pamiątkę twojej bytności w tem miejscu, synu słońca, dobrze prowadzący się a skazani za obrazę religji lub państwa, powinni otrzymać ulgi. Spis tych ludzi będzie złożony u stóp waszych w ciągu miesiąca.

— A ten, którego mają w tej chwili dusić, czy nie ma prawa korzystać z mojej łaski?

Nadzorca rozłożył ręce i pochylił się w milczeniu.

Ruszyli z miejsca i przeszli kilką dziedzińców,

W drewnianych klatkach, na gołej ziemi, roili się w ciasnocie przestępcy, skazani na więzienie. W jednym budynku rozlegały się straszne krzyki: bito dla wydobycia zeznań.

— Chcę zobaczyć oskarżonych o napad na mój dom — rzekł głęboko wzruszony następca.

— Jest ich z górą trzystu — odparł nadzorca.

— Wybierzcie, zdaniem waszem, najwinniejszych i wypytajcie ich w mojej obecności. Nie chcę jednak, ażeby mnie poznali.

Otworzono następcy tronu izbę, w której prowadził czynności urzędnik śledczy. Książę kazał mu zająć zwykłe miejsce, a sam usiadł za słupem.

Niebawem zaczęli ukazywać się pojedyńczo oskarżeni. Wszyscy byli chudzi; porosły im duże włosy i brody, a oczy miały wyraz spokojnego obłąkania.

— Dutmoze — rzekł urzędnik — opowiedz, jak to napadliście na dom najdostojniejszego erpatra?

— Powiem prawdę, jak na sądzie Ozirisa. Było to wieczorem tego dnia, kiedy Nil miał zacząć przybór. Moja żona mówi do mnie: „Chodź, ojcze, pójdziemy na górę, skąd prędzej można zobaczyć sygnał w Memfisie". Więc poszliśmy na górę, skąd łatwiej można zobaczyć sygnał w Memfisie. Wtedy do mojej żony zbliżył się jakiś żołnierz i mówi: „Pójdź ze mną w ten ogród, to znajdziemy winogron, albo i co jeszcze". Więc moja żona poszła w ogród z owym żołnierzem, a ja wpadłem w wielki gniew i zaglądałem do

nich przez mur. Czy jednak rzucali kamienie do domu księcia? powiedzieć nie mogę, gdyż z powodu drzew i ciemności nic nie widziałem.

— A jakże mogłeś puścić żonę z żołnierzem?— spytał urzędnik.

— Za pozwoleniem waszej dostojności, a cóż ja miałem zrobić? Przeciem ja tylko chłop, a on wojownik i żołnierz jego świątobliwości...

— A kapłana widziałeś, który do was przemawiał?

— To nie był kapłan — odparł chłop z przekonaniem. — To musiał być sam bóg Num, bo wyszedł z pnia figowego i miał baranią głowę.

— A widziałeś, że miał baranią głowę?

— Za pozwoleniem, dobrze nie pamiętam, czy ja sam widziałem, czy tak mówili ludzie. Oczy zasłaniała mi troska o moją żonę.

— Kamienie rzucałeś do ogrodu?

— Pocóżbym rzucał, panie życia i śmierci? Gdybym trafił żonę, sobie zrobiłbym niepokój na cały tydzień, a gdyby żołnierza, dostałbym pięścią w brzuch, ażby mi język wylazł. Przeciem ja tylko chłop, a on wojownik wiecznie żyjącego pana naszego.

Następca wychylił się z poza kolumny. Odprowadzono Dutmoze, a wprowadzono Anupa. Był to chłop niski, na plecach miał jeszcze blizny od kijów.

— Powiedz, Anupa — zaczął znowu urzędnik, — jak to było z tym napadem na ogród następcy tronu?

— Oko słońca, — odparł chłop — naczynie mądrości, ty wiesz najlepiej, że ja napadu nie robiłem. Tylko przyszedł do mnie sąsiad i mówi: „Anupa, chodź na górę, bo Nil przybiera". A ja mówię: Czy aby przybiera? A on mówi: „Jesteś głupszy od osła, bo przecież osieł usłyszałby muzykę na górze, a ty nie słyszysz". Ja zaś odpowiadam: Głupi jestem, bom się pisać nie uczył; ale za pozwoleniem, co innego jest muzyka, a co innego przybór. A on na to: „Gdyby nie było przyboru, ludzie nie mieliby z czego cieszyć się, grać i śpiewać". Więc poszliśmy, mówię waszej sprawiedliwości, na górę, a tam już muzykę rozpędzili i ciskają w ogród kamienie...

— Kto ciskał?

— Nie mogłem zmiarkować. Ludzie ci nie wyglądali na chłopów; prędzej na nieczystych paraszytów, którzy rozpruwają zmarłych do balsamowania.

— A kapłana widziałeś?

— Za pozwoleniem waszej czujności, to nie był kapłan, ale chyba jakiś duch, który pilnuje domu księcia następcy... oby żył wiecznie!...

— Dlaczego duch?

— Bo czasami tom go widział, a czasem gdzieś mi się podziewał.

— Może go ludzie zasłaniali?

— Z pewnością, że go czasem ludzie zasłaniali. Ale zato raz był wyższy, a inny raz niższy.

— Może właził na pagórek i złaził z niego?

— Bez zawodu musiał włazić i złazić, ale może wydłużał się i skracał, gdyż był to wielki cudo-

twórca. Ledwie rzekł: „Zaraz Nil przybierze“ — i wnet Nil zaczął przybierać.

— A kamienie rzucałeś, Anupa?

— Gdzieżbym śmiał rzucać kamienie w ogród następcy tronu?... Przecie ja prosty chłop, i ręka uschłaby mi po łokieć za takie świętokradztwo.

Książę kazał przerwać śledztwo. A gdy wyprowadzono oskarżonych, odezwał się do urzędnika:

— Więc ci ludzie należą do najwinniejszych?

— Rzekłeś, panie — odparł urzędnik.

— W takim razie jeszcze dzisiaj trzeba uwolnić wszystkch. Ludzie nie mogą być więzieni zato, że chcieli przekonać się, czy święty Nil przybiera, lub że słuchali muzyki.

— Najwyższa mądrość mówi przez twoje usta, erpatre — rzekł urzędnik. — Kazano mi znaleźć najwinniejszych, więc wybrałem tych, jakich znalazłem. Ale nie w mojej mocy jest powrócić im wolność.

— Dlaczego?

— Spojrzyj, najdostojniejszy, na tę skrzynię. Jest ona pełna papirusów, na których spisano akta sprawy. Sędzia z Memfisu codzień otrzymuje raporty o jej przebiegu i donosi jego świątobliwości. W cóż obróciłaby się praca tylu uczonych pisarzów i wielkich mężów, gdyby oskarżonych uwolnić?

— Ależ oni są niewinni! — zawołał książę.

— Napad był, a więc było przestępstwo. Gdzie jest przestępstwo, muszą być przestępcy, a kto raz dostał się w ręce władzy i jest opisany w aktach,

nie może odejść bez jakiegoś rezultatu. W szynku człowiek pije i płaci; na jarmarku coś sprzedaje i otrzymuje; w polu sieje i zbiera; w grobach dostaje błogosławieństwa od zmarłych przodków. Jakimże więc sposobem, ktoś, przyszedłszy do sądu, wróciłby z niczem, jak podróżny, który zatrzymuje się w połowie swej drogi i zwraca stopy do domu, nie osiągnąwszy celu?

— Mądrze mówisz — odparł następca. — Powiedz mi jednak, czy jego świątobliwość nie miałby prawa uwolnić tych ludzi?

Urzędnik złożył ręce nakrzyż i schylił głowę.

— On, równy bogom, wszystko co chce, uczynić może: uwolnić oskarżonych, nawet skazanych, a nawet zniszczyć akta sprawy, co, spełnione przez zwykłego człowieka, byłoby świętokradztwem.

Książę pożegnał urzędnika i polecił nadzorcy, ażeby na jego koszt lepiej karmiono oskarżonych o napad. Następnie, rozdrażniony, popłynął na drugą stronę ciągle rozszerzającej się rzeki, do pałacu, ażeby prosić faraona o umorzenie nieszczęsnej sprawy.

Tego jednak dnia jego świątobliwość miał dużo ceremonij religijnych i naradę z ministrami, więc następca nie mógł się z nim widzieć. Wówczas książę udał się do wielkiego pisarza, który po ministrze wojny najbardziej znaczył na dworze. Stary ten urzędnik, kapłan jednej ze świątyń w Memfis, przyjął księcia grzecznie, ale zimno, a wysłuchawszy go, odparł:

— Dziwno mi, że wasza dostojność podobnemi

sprawami chcesz niepokoić naszego pana. Jest to to samo, co gdybyś prosił o nietępienie szarańczy, która spadła na pole...

— Ależ to są ludzie niewinni!

— My, dostojny panie, wiedzieć o tem nie możemy, gdyż o winie i niewinności rozstrzyga prawo i sąd. Jedno dla mnie jest pewnem, że państwo nie może ścierpieć, ażeby wpadano do czyjegoś ogrodu, a tem bardziej, ażeby podnoszono rękę na własność następcy tronu.

— Sprawiedliwie mówisz, ale — gdzie są winni?... — spytał książę.

— Gdzie niema winnych, muszą być przynajmniej ukarani. Nie wina, ale kara, następująca po zbrodni, uczy innych, że tego spełniać nie wolno.

— Widzę — przerwał następca, — że wasza dostojność nie poprzesz mojej prośby u jego świątobliwości.

— Mądrość płynie z ust twoich, erpatre — odpowiedział dygnitarz. — Nigdy nie potrafię udzielać panu memu rady, która powagę władzy naraziłaby na szwank.

Książę wrócił do siebie zbolały i zdumiony. Czuł, że kilkaset ludziom dzieje się krzywda, i widział, że ratować ich nie może, jak nie potrafiłby wydobyć człowieka, na którego upadł obelisk, albo kolumna świątyni.

„Za słabe są moje ręce do podniesienia tego gmachu“ — myślał książę z uciskiem w duszy.

Pierwszy raz uczuł, że od jego woli jest jakaś nieskończenie większa siła: interes państwa, który

uznaje nawet wszechmocny faraon, a przed którym ugiąć się musi on, następca!

Zapadła noc. Ramzes nie kazał służbie nikogo przyjmować i samotny chodził po tarasie swojej willi, dumając:

„Straszna rzecz!... Tam roztąpiły się przede mną niezwyciężone pułki Nitagera, a tu — nadzorca więzienia, urzędnik śledczy i wielki pisarz zabiegają mi drogę... Czemże oni są?... Nędznymi sługami mojego ojca (oby żył wiecznie!), który każdej chwili może ich strącić do rzędu niewolników i zesłać w kamieniołomy. Ale dlaczego ojciec mój nie miałby ułaskawić niewinnych?... Państwo tak chce?... I cóż to jest państwo?.... Co ono jada, gdzie sypia, gdzie jego ręce i miecz, którego się wszyscy boją?...

Spojrzał w ogród i między drzewami, na szczycie wzgórza, zobaczył dwie olbrzymie sylwetki pylonów, na których płonęły kagańce straży. Przyszło mu na myśl, że ta straż nigdy nie śpi i że pylony nigdy nie jedzą, a jednak są. Odwieczne pylony, potężne jak mocarz, który je wznosił, Ramzes Wielki.

Poruszyć te gmachy i setki im podobnych: zmylić tę straż i tysiące innych, które czuwają nad bezpieczeństwem Egiptu; okazać nieposłuszeństwo prawom, które pozostawił Ramzes Wielki i inni, jeszcze więksi przed nim mocarze, a które dwadzieścia dynastyj uświęciło swojem poszanowaniem...

W duszy księcia, pierwszy raz w życiu, poczęło

zarysowywać się jakieś niejasne, ale olbrzymie pojęcie — państwa. Państwo jest to coś wspanialszego od świątyni w Tebach, coś większego od piramidy Cheopsa, coś dawniejszego od podziemi Sfinksa, coś trwalszego od granitu... W tym niezmiernym, choć niewidzialnym gmachu, ludzie są jako mrówki w szczelinie skalnej, a faraon jak podróżny architekt, który ledwie zdąży osadzić jeden głaz w ścianie i już odchodzi. A ściany rosną od pokolenia do pokolenia i budowa trwa dalej.

Jeszcze nigdy, on, syn królewski, nie czuł tak swojej małości, jak w tej chwili, kiedy jego wzrok wśród nocy błądził ponad Nilem, między pylonami zamku faraona i niewyraźnemi, lecz przepotężnemi sylwetkami memfijskich świątyń.

Wtem, z pomiędzy drzew, których konary dotykały tarasu, odezwał się głos:

— Znam twoją troskę i błogosławię cię. Sąd nie uwolni oskarżonych chłopów. Ale sprawa ich może upaść i wrócą w pokoju do swych domów, jeżeli dozorca twojego folwarku nie będzie popierał skargi o napad.

— Więc to mój dozorca podał skargę?... — spytał zdziwiony książę.

— Prawdę rzekłeś. On ją podał w twojem imieniu. Ale jeżeli nie przyjdzie na sąd, nie będzie pokrzywdzonego; a gdzie niema pokrzywdzonego, niema przestępstwa.

Krzaki zaszeleściły.

— Stójże! — zawołał Ramzes — kto jesteś?...

Nikt nie odpowiedział. Tylko zdawało się księciu, że w smudze światła pochodni, palącej się na pierwszem piętrze, mignęła naga głowa i skóra pantery.

— Kapłan?... — szepnął następca. — Dlaczego on kryje się?...

Lecz w tej chwili przyszło mu na myśl, że ów kapłan mógłby ciężko odpowiadać za udzielanie rad, tamujących wymiar sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ XII.

Większą część nocy Ramzes przepędził w gorączkowych marzeniach. Raz ukazywało mu się widmo państwa, jako niezmierzony labirynt o potężnych ścianach, których nie można przebić. To znowu widział cień kapłana, którego jedno mądre zdanie wskazywało mu sposób wydobycia się z labiryntu. I otóż najniespodziewaniej wystąpiły przed nim dwie potęgi: interes państwowy, którego dotychczas nie odczuwał, choć był następcą tronu, i — kapłaństwo, które chciał zetrzeć i uczynić swoim sługą.

Była ciężka noc. Książę przewracał się na łożu i zadawał sobie pytanie: czy on nie był ślepym i czy dopiero dzisiaj nie odzyskał wzroku, ażeby przekonać się o swym nierozsądku i niceństwie? Jakże inaczej przedstawiały mu się w tych godzinach przestrogi matki, powściągliwość ojca

w wypowiadaniu najwyższej woli, a nawet surowe postępowanie ministra Herhora?

„Państwo i kapłaństwo!...“ — w półśnie powtarzał książę, oblany zimnym potem.

Tylko bogowie niebiescy wiedzą, coby nastąpiło, gdyby miały czas rozwinąć się i dojrzeć myśli, jakie tej nocy zakiełkowały w duszy księcia. Może, zostawszy faraonem, należałby do najszczęśliwszych i najdłużej panujących władców? Może imię jego, ryte w podziemnych i nadziemnych świątyniach, przeszłoby do potomności, otoczone najwyższą chwałą? Może on i jego dynastja nie straciliby tronu, a Egipt uniknął wielkiego wstrząśnienia w najgorszych dla siebie czasach?

Ale jasność dzienna rozproszyła mary, krążące nad rozpaloną głową księcia, a dni następne bardzo zmieniły jego pojęcia o nieugiętości państwowych interesów.

Pobyt księcia w więzieniu nie pozostał bez następstw dla oskarżonych. Urzędnik śledczy natychmiast zdał raport najwyższemu sędziemu, sędzia powtórnie przejrzał sprawę, sam zbadał kilku obwinionych i w ciągu kilku dni uwolnił większą ich część, a resztę jak najprędzej oddał pod sąd.

Gdy zaś, w imieniu poszkodowanego na własności księcia nie zjawił się oskarżyciel, pomimo wywoływań go w sali sądowej i na rynku, sprawa o napad upadła i resztę oskarżonych wypuszczono.

Wprawdzie jeden z sędziów zrobił uwagę, że wedle prawa, dozorca książęcego folwarku powinien mieć proces o fałszywą skargę i, w razie do-

wiedzenia mu, ponieść taką karę, jaka groziła oskarżonym. Kwestję tę jednak pominięto milczeniem.

Dozorca folwarku usunął się z oczu sądowi, wysłany przez następcę do nomesu Takens, a niebawem znikła gdzieś cała skrzynia aktów sprawy o napad.

Dowiedziawszy się o tem, książę Ramzes poszedł do wielkiego pisarza i z uśmiechem zapytał:

— Cóż, dostojny panie, niewinnych uwolniono, akta ich w świętokradzki sposób zniszczono i, mimo to, powaga władzy nie naraziła się na szwank?

— Mój książę—odparł, ze zwykłym chłodem, wielki pisarz — nie rozumiałem, że jedną ręką podajesz skargi, a drugą chcesz je usunąć. Wasza dostojność byłeś obrażonym przez motłoch, więc naszą rzeczą było ukarać go. Jeżeli jednak ty przebaczyłeś, państwo nie ma nic do dodania.

— Państwo!... państwo!... — powtarzał książę. — Państwo to my — dodał, przymrużając oczy.

— Tak, państwo to faraon i... jego najwierniejsi słudzy — odpowiedział pisarz.

Dosyć było tej rozmowy z tak wysokim dostojnikiem, ażeby w duszy następcy zatrzeć budzące się, a potężne, choć jeszcze niejasne pojęcie o znaczeniu „państwa". Więc państwo nie jest odwiecznym i niewzruszonym gmachem, do którego po jednym kamieniu chwały dodawać powinni faraonowie, ale jest raczej kupą piasku, którą każdy władca przesypuje, jak mu się podoba. W państwie niema tych ciasnych drzwi, zwanych prawami, w których przejściu każdy musi uchylić głowę, kim-

kolwiek jest: chłopem czy następcą tronu. W tym gmachu są rozmaite wejścia i wyjścia: wąskie dla małych i słabych, bardzo obszerne a nawet wygodne dla silnych.

„Jeżeli tak jest — zakiełkowała nowa myśl w księciu — to ja zrobię porządek, jaki mnie się podoba!“

W tej samej chwili przypomniał sobie dwu ludzi: oswobodzonego murzyna, który, nie czekając na rozkaz, był gotów oddać życie za własność księcia i — nieznajomego kapłana.

„Gdybym miał więcej podobnych im, wola moja znaczyłaby w Egipcie i za Egiptem!...“—rzekł do siebie i poczuł niepokonaną chęć odnalezienia owego kapłana.

Był od prawdopodobnie tym samym, który powstrzymał tłum od napadu na dom księcia. Z jednej strony doskonale znał prawo, z drugiej — umiał kierować tłumami.

— Nieoceniony człowiek!... Muszę go mieć...

Od tej pory książę, w czółenku, prowadzonem przez jednego wioślarza, zaczął zwiedzać chaty w bliskości swego folwarku. Ubrany w tunikę i wielką perukę, z kijem w ręku, na którym była wycięta miara, książę wyglądał jak inżynier, śledzący przybór Nilu.

Chłopi chętnie udzielali mu wszelkich objaśnień, dotyczących zmian kształtu gruntów skutkiem wylewu, a zarazem prosili, aby rząd wymyślił jakieś łatwiejsze sposoby czerpania wody, aniżeli żóraw i wiadrem. Opowiadali też o napadzie na folwark

następcy tronu i o tem, że nie znają ludzi, którzy rzucali kamienie. Wreszcie, przypominali sobie kapłana, co tak szczęśliwie usunął zbiegowisko; ale kto on był? nie wiedzieli.

— Jest tu — mówił pewny chłop — w naszej okolicy kapłan, który kuruje na oczy, jest taki co goi rany i składa złamane ręce i nogi. Jest kilku kapłanów, którzy uczą pisać i czytać; jest co gra na podwójnym flecie, i nawet ładnie gra. Ale tamten, który objawił się w ogrodzie następcy tronu, nie jest żadnym z nich, i oni sami nic o tem nie wiedzą. Z pewnością musiał to być bożek Num, albo jakiś duch, czuwający nad księciem, który oby żył wiecznie i zawsze miał apetyt!

„A może to naprawdę jaki duch!“ — pomyślał Ramzes.

W Egipcie zawsze było ławiej o złe czy dobre duchy, aniżeli o deszcz.

Woda Nilu z czerwonej zrobiła się brunatną, a w sierpniu, w miesiącu Hator, dosięgnęła połowy swej wysokości. W nadbrzeżnych tamach otworzono śluzy, i woda gwałtownie zaczęła wypełniać kanały, tudzież olbrzymie jezioro sztuczne, Moeris, w prowincji Fayum, słynącej z pięknych róż. Egipt Dolny przeciwstawiał, jakby odnogę morską, gęstą zasianą pagórkami, na nich ogrodami i domami. Komunikacja lądowa całkiem ustała, a łódek na wodzie krążyło takie mnóstwo białych, żółtych, czerwonych i ciemnych, że wyglądały jak liście w jesieni. Na najwyższych punktach kraju kończono zbierać pewien rodzaj bawełny i po raz drugi kosić koni-

czynę, a zaczynano zrywać owoce tamaryndowe i oliwki.

Pewnego dnia, płynąc wzdłuż zalanych folwarków, książę spostrzegł ruch niezwykły. Na jednej z czasowych wysepek rozlegał się, między drzewami, głośny krzyk kobiet.

„Zapewne ktoś umarł..." — pomyślał książę.

Od drugiej wyspy, na czółenkach odpływały zapasy zboża i kilka sztuk bydła, a ludzie stojący pod gospodarskiemi budynkami grozili i złorzeczyli ludziom w łódkach.

Jakiś spór sąsiedzki... — rzekł do siebie następca.

W kilku dalszych folwarkach było spokojnie, a mieszkańcy, zamiast pracować albo śpiewać, siedzieli na ziemi, milcząc.

„Musieli już skończyć robotę i odpoczywają".

Zato od innej wysepki odbiło czółno z kilkorgiem płaczących dzieci, a jakaś kobieta, wszedłszy po pas w wodę, wygrażała pięściami.

„Wiozą dzieci do szkoły" — myślał Ramzes.

Wypadki te jednak poczęły go interesować...

Na sąsiedniej wyspie znowu rozlegał się krzyk. Książę przysłonił ręką oczy i zobaczył leżącego na ziemi człowieka, którego bił kijem murzyn.

— Cóż się tu dzieje?... — zapytał Ramzes wioślarza.

— Czyliż nie widzicie, panie, że biją nędznego chłopa?... — odparł przewoźnik, śmiejąc się. — Musiał coś zbroić, więc chodzi mu ból po kościach.

— A cóż ty jesteś?

— Ja?... — odparł z pychą wioślarz. — Ja jestem wolny rybak. I bylem oddał, co należy z połowu do jego świątobliwości, mogę pływać po całym Nilu, od pierwszej katarakty do morza. Rybak jest jak ryba, albo dzika gęś, a chłop jak drzewo: karmi panów swoich owocami i nigdzie nie może uciec, tylko skrzypi, gdy na nim dozorcy psują korę.

O ho! ho!... spojrzyjcie no tam... — zawołał znowu zadowolony rybak. — Hej!... ojciec!... a nie wypijaj wszystkiej wody, bo będzie nieurodzaj...

Wesoły ten wykrzyknik odnosił się do grupy osób, spełniających bardzo oryginalną czynność. Kilku ludzi gołych trzymało za nogi innego człowieka i nurzali mu w wodzie głowę po szyję, po piersi, wreszcie po pas. Obok stał jegomość z laską, ubrany w poplamioną tunikę i perukę z baraniej skóry.

Nieco dalej krzyczała w niebogłosy kobieta, którą za ręce trzymali ludzie.

Bicie kijem było tak upowszechnione w szczęśliwem państwie faraonów, jak jedzenie i spanie. Bito dzieci i dorosłych, chłopów, rzemieślników, żołnierzy, oficerów i urzędników. Kto żył, dostawał kije, z wyjątkiem kapłanów i najwyższych dostojników, bo tych już nie miał kto bić. Książę więc dość spokojnie patrzał na chłopa, bitego kijem; ale zastanowił go chłop nurzany w wodzie.

— Ho! ho!...—śmiał się tymczasem wioślarz— a to go pojął!... Zgrubieje tak, że żona będzie musiała nadsztukować mu opaskę.

Książę kazał przybić do brzegu. Tymczasem

chłopa wydobyto z rzeki, pozwolono mu wykaszlać wodę i znowu schwycono go za nogi, pomimo nieludzkich wrzasków żony, która zaczęła kąsać ludzi, trzymających ją.

— Stój! — krzyknął książę do oprawców, którzy ciągnęli chłopa.

— Czyńcie waszą powinność!—zawołał przez nos jegomość w baraniej peruce. — Któż jesteś, zuchwalcze, który ośmie....

W tej chwili książę zwalił go przez łeb swoją miarą, która na szczęście była lekka. Mimo to, właściciel poplamionej tuniki aż usiadł na ziemi, a obmacawszy perukę i głowę, spojrzał na napastnika zamglonemi oczyma.

— Odgaduję — rzekł naturalnym głosem — że mam honor rozmawiać ze znakomitą osobą. Oby ci, mój panie, zawsze towarzyszył dobry humor, a żółć nigdy nie rozlewała się po kościach...

— Co wy robicie z tym człowiekiem?... — przerwał książę.

— Pytasz, mój panie — odparł jegomość, znowu przez nos — jak cudzoziemiec, nie znający miejscowych zwyczajów, ani ludzi, do których odzywa się zbyt poufale. Wiedz przeto, że jestem poborcą jego dostojności Dagona, pierwszego bankiera w Memfisie. A jeżeli jeszcze nie zbladłeś, dowiedz się, że dostojny Dagon jest dzierżawcą, pełnomocnikiem i przyjacielem następcy tronu (oby żył wiecznie!), i że ty dopuściłeś się gwałtu, o czem zaświadczą moi ludzie, na gruntach księcia Ramzesa...

— Więc to... — przerwał książę, lecz nagle zatrzymał się. — Więc jakiem prawem katujecie w podobny sposób książęcego chłopa?

— Bo nie chce łotr płacić podatków, a skarb następcy jest w potrzebie...

Pomocnicy urzędnika, wobec katastrofy, jaka spotkała ich pana, wypuścili swoje ofiary i stali bezradni, niby członki ciała, któremu ucięto głowę. Uwolniony chłop znowu zaczął pluć i wytrząsać wodę z uszu, ale zato żona jego przypadła do wybawcy.

— Ktokolwiek jesteś — jęczała, składając ręce przed księciem — czy bogiem, czy nawet posłańcem faraona, posłuchaj o naszej nędzy. Jesteśmy chłopami następcy tronu (oby żył wiecznie!) i zapłaciliśmy wszystkie podatki: w prosie, pszenicy, kwiatach i skórach bydlęcych. Tymczasem ostatniej dekady przyszedł do nas ten oto człowiek i każe sobie znowu dać siedm mierzyc pszenicy... „Jakiem prawem? — pyta mój mąż: — przecie podatki już zapłacone?“ A on mego męża wali na ziemię, kopie nogami i mówi: „Takiem prawem, że dostojny Dagon kazał“. — Skądże wezmę? — odpowiada mój chłop — kiedy nie mamy żadnego zboża i już miesiąc karmimy się ziarnami, albo korzonkami lotosu, o które także coraz trudniej, bo wielcy panowie lubią bawić się kwiatami lotosu?...“

Zatchnęła się i zaczęła płakać. Książę czekał cierpliwie, aż się uspokoi, ale nurzany chłop mruczał:

— Ta baba swojem gadaniem nieszczęście na

nas sprowadzi... — A mówiłem, że nie lubię, jak mi się baby mieszają do interesów!

Tymczasem urzędnik, podsunąwszy się do wioślarza, spytał go pocichu, wskazując Ramzesa:

— Kto jest ten chłystek?...

— Bodaj ci język usechł! — odparł wioślarz.— Czy nie widzisz, że to musi być wielki pan: dobrze płaci i tęgo wali.

— Ja zaraz poznałem — szeptał urzędnik — że to musi być ktoś wielki. Młodość zeszła mi na ucztach ze znakomitymi panami.

— Aha! jeszcze ci nawet po tych ucztach zostały sosy na odzieniu... — odburknął wioślarz.

Kobieta, wypłakawszy się, prawiła dalej:

— Dzisiaj zaś przyszedł ten pisarz ze swoimi ludźmi i mówił do mego chłopa: „Kiedy nie masz pszenicy, oddaj mi dwu synków, a dostojny Dagon nietylko daruje ci ten podatek, ale jeszcze za każdego chłopca co rok zapłaci po drachmie...“

— Biada mi z tobą! — wrzasnął topiony chłop. — Zgubisz nas wszystkich gadulstwem... Nie słuchaj jej, dobry panie! — zwrócił się do Ramzesa. — Jak krowa myśli, że ogonem odstraszy muchy, tak babie zdaje się, że językiem odpędzi poborców... A nie wiedzą, że obie są głupie...

— Tyś głupi! — przerwała baba. — Słoneczny panie, który masz postać królewską.

— Biorę was na świadków, że ta kobieta bluźni... — rzekł półgłosem urzędnik do swoich ludzi.

— Kwiecie pachnący, którego głos jest jak dźwięk fletu, wysłuchaj mnie!... — błagała kobieta

Ramzesa. — Więc mój mąż powiedział temu urzędnikowi: Wolałbym stracić dwa byczki, gdybym je miał, aniżeli oddać moich chłopców, choćbyście mi za każdego płacili po cztery drachmy na rok. Bo jak dziecko wyjdzie z domu na służbę, nikt go już nie zobaczy...

— Bodajbym się udusił!... bodaj ryby jadły ciało moje na dnie Nilu!... — jęczał chłop. — Przecie ty cały folwark zmarnujesz swojemi skargami... kobieto...

Urzędnik, widząc, że ma poparcie strony głównie zainteresowanej, wystąpił naprzód i zaczął znowu przez nos:

— Od czasu jak słońce wschodzi za pałacem królewskim, a zachodzi nad piramidami, działy się w tym kraju różne dziwowiska... Za faraona Semempsesa ukazywały się około piramidy Kochom zjawiska cudowne i dżuma spadła na Egipt. Za Boetosa rozwarła się ziemia pod Bubastis i pochłonęła wielu ludzi... Za panowania Neferchesa wody Nilu przez jedenaście dni były słodkie, jak miód. To widziano i wiele innych rzeczy, o których wiem, bo jestem pełen mądrości. Ale nigdy nie widziano, ażeby z wody wyszedł jakiś nieznajomy człowiek i w majątkach najdostojniejszego następcy tronu bronił zbierania podatków.

— Milcz! — krzyknął Ramzes — i wynoś się stąd. Nikt wam nie zabierze dzieci — dodał do kobiety.

— Łatwo mi wynieść się — odparł poborca — bo mam lotne czółno i pięciu wioślarzy. Ale dajże

mi wasza dostojność jakiś znak do pana mego, Dagona?...

— Zdejmij perukę i pokaż mu znak na twoim łbie — rzekł książę. — A Dagonowi powiedz, że mu takie same znaki porobię na całem ciele...

— Słyszycie bluźnierstwo?... — szepnął poborca do swoich ludzi, cofając się ku brzegowi, wśród niskich ukłonów.

Wsiadł w czółno, a gdy jego pomocnicy odbili i odsunęli się na kilkadziesiąt kroków, wyciągnąwszy rękę, począł wołać:

— Oby was kurcz złapał za wnętrzności, buntownicy, bluźniercy!... Stąd prosto jadę do następcy tronu i opowiem mu, co się dzieje w jego dobrach...

Potem wziął kij i zaczął okładać swoich ludzi zato, że nie ujęli się za nim.

— Tak będzie z tobą!... — wołał, grożąc Ramzesowi.

Książę dopadł swego czółna i, wściekły, kazał wioślarzowi gonić za zuchwałym urzędnikiem lichwiarza. Ale jegomość w baraniej peruce rzucił kij i sam wziął się do wioseł; jego zaś ludzie pomagali mu tak gorliwie, że pościg stał się niepodobnym.

— Prędzej sowa dogoni jaskółkę, aniżeli my ich, mój piękny panie — rzekł, śmiejąc się, wioślarz Ramzesa. — Ale co wy, to nie musicie być miernikiem, tylko oficerem, może nawet z gwardji jego świątobliwości. Zaraz walicie w łeb! Znam się na tem: sam przez pięć lat byłem w wojsku. Zawsze waliłem w łeb albo w brzuch, i nie najgorzej działo

mi się na świecie. A jak mnie kto zwalił, zaraz zrozumiałem, że musi być wielki... W naszym Egipcie (oby go nigdy nie opuszczali bogowie!) strasznie ciasno: miasto przy mieście, dom przy domu, człowiek przy człowieku. Kto chce jako tako obracać się w tej ciżbie, musi walić w łeb.

— Jesteś żonaty? — spytał książę.

— Phy! jak mam kobietę i miejsce na półtorej osoby, tom żonaty, ale zresztą kawaler. Byłem przecie w wojsku i wiem, że kobieta jest dobra raz na dzień, i to niezawsze. Zawadza.

— A możebyś ty poszedł do mnie w służbę? Kto wie, czybyś żałował tego...

— Za pozwoleniem waszej dostojności, ja zaraz zmiarkowałem, że wy moglibyście dowodzić pułkiem, pomimo młodej twarzy. Ale w służbę do nikogo nie pójdę. Jestem wolny rybak; dziad mój był (za przeproszeniem) pastuchem w Dolnym Egipcie, zaś nasz ród pochodzi od Hyksosów. Prawda że wytrząsa się z nas głupie chłopstwo egipskie, ale mnie na to śmiech bierze. Chłop i Hyksos, mówię waszej dostojności, to niby wół i byk. Chłop może chodzić za pługiem czy przed pługiem, ale Hyksos nikomu nie będzie służył. Chyba w wojsku jego świątobliwości, bo to wojsko.

Rozochocony wioślarz ciągle mówił, ale książę już go nie słuchał. W jego duszy coraz głośniej odzywały się pytania bardzo bolesne, gdyż zupełnie nowe. Więc te wysepki, około których przepływał, należały do jego majętności?... Dziwna rzecz, on wcale nie wiedział, gdzie są i jak wyglądają jego

folwarki. Więc w jego imieniu Dagon obłożył chłopów nowemi opłatami, a ten szczególny ruch, na który patrzył, jadąc wzdłuż brzegów, to było zbieranie podatków?... Chłop, którego bito na brzegu, widać nie miał czem płacić. Dzieci, które rzewnie płakały w łodzi, były sprzedane, po drachmie za głowę, na cały rok. A ta kobieta, która po pas weszła w wodę i klęła, to ich matka...

— Kobiety są bardzo niespokojne — mówił do siebie książę. — Sara jest najspokojniejsza z kobiet, inne jednak lubią dużo gadać, płakać i wrzeszczeć.

Przyszedł mu na myśl chłop, który łagodził uniesienia swojej żony. Jego topili — i nie gniewał się, jej nic nie robili — i pomimo to wrzeszczała.

— Kobiety są bardzo niespokojne!... — powtarzał. — Tak, nawet moja czcigodna matka... Cóż to za różnica pomiędzy ojcem i matką! Jego świątobliwość wcale nie chce wiedzieć, że opuściłem armję dla dziewczyny, ale królowa lubi zajmować się nawet tem, że wziąłem do domu żydówkę... Sara jest najspokojniejszą kobietą, jaką znam; zato Tafet gada, płacze i wrzeszczy za cztery...

Potem przypomniał sobie książę słowa żony chłopa, że już miesiąc nie jedzą zboża, tylko ziarna i korzonki lotosu. Ziarno jego jest jak mak; korzenie — ot tak sobie. On nie jadłby tego nawet przez trzy dni z rzędu. Wreszcie kapłani, zajmujący się leczeniem, radzą zmieniać pokarm. Jeszcze w szkole mówiono mu, że trzeba jadać mięso obok ryb, daktyle obok pszenicy, figi obok jęczmienia. Ale przez

cały miesiąc żywić się ziarnami lotosu!... No, a koń, krowa?... Koń i krowa lubią siano, a jęczmienne kluski trzeba im gwałtem pchać w gardło. Zapewne więc i chłopi wolą karmić się ziarnami lotosu, a pszenne lub jęczmienne placki, ryby i mięso jedzą bez smaku. Zresztą najpobożniejsi kapłani, cudotwórcy, nigdy nie dotykają mięsa ani ryb. Widocznie magnaci i synowie królewscy potrzebują mięsa, jak lwy i orły, a chłopi — trawy, jak wół.

Tylko... to nurzanie w wodzie za podatki?... Eh, alboż to on raz, kąpiąc się z towarzyszami, pakował ich pod wodę, a nawet sam się nurzał?... Co przytem było śmiechu!... Nurzanie — zabawa. A co się tyczy bicia kijem, ileż razy jego w szkole bito kijem?... Jest to bolesne, ale widać nie dla wszelkiego stworzenia. Bity pies wyje i gryzie: bity wół nawet nie obejrzy się. Tak samo wielkiego pana bicie może boleć, ale chłop krzyczy tylko dlatego, ażeby wykrzyczeć się przy okazji. Nawet nie wszyscy krzyczą, a żołnierze i oficerowie śpiewają pod kijami.

Mądre te uwagi nie potrafiły jednak zagłuszyć drobnego, ale dokuczliwego niepokoju w sercu następcy. Oto, jego dzierżawca Dagon nałożył niesłuszny podatek, którego chłopi już płacić nie mogli!

W tej chwili księciu nie chodziło o chłopów, ale — o matkę. Jego matka musi wiedzieć o gospodarce Fenicjanina. Co ona powie na to synowi? jak spojrzy na niego? jak szyderczo uśmiechnie się?... A nie byłaby kobietą, gdyby mu nie przypomniała:

— Wszak mówiłam, Ramzesie, że ten Fenicjanin zrujnuje twoje majątki?...

„Gdyby zdrajcy kapłani — myślał książę — ofiarowali mi dziś dwadzieścia talentów, jutro wypędziłbym Dagona, moi chłopi nie dostawaliby kijów i nie byliby nurzani w wodzie, a matka nie żartowałaby ze mnie... Dziesiąta... setna część tych bogactw, jakie leżą w świątyniach i pasą chciwe oczy gołych łbów, na całe lata zrobiłaby mnie człowiekiem niezależnym od Fenicjan...“

W tej chwili błysnęło w duszy Ramzesa dosyć dziwne pojęcie, że — między chłopami a kapłanami istnieje jakiś głęboki antagonizm.

„Przez Herhora — myślał — powiesił się tamten chłop na granicy pustyni... Na utrzymanie kapłanów i świątyń ciężko pracują ze dwa miljony ludu egipskiego... Gdyby majątki kapłańskie należały do skarbu faraona, ja nie musiałbym pożyczać piętnastu talentów i moi chłopi nie byliby tak strasznie uciskani... Oto gdzie jest źródło nieszczęść Egiptu i słabości jego królów!...“

Książę czuł, że chłopom dzieje się krzywda, więc doznał niemałej ulgi, odkrywszy, że sprawcami złego są — kapłani. Nie przyszło mu do głowy, że jego sąd może być mylny i niesprawiedliwy.

Zresztą on nie sądził, tylko oburzał się. Gniew zaś człowieka nigdy nie zwraca się przeciw niemu samemu; jak głodna pantera nie żre własnego ciała, lecz kręcąc ogonem i tuląc uszy, dokoła siebie wypatruje ofiary.

ROZDZIAŁ XIII.

Wycieczki następcy tronu, podjęte w celu odkrycia kapłana, który ocalił Sarę a księciu udzielił porady prawnej, miały nieoczekiwany rezultat.

Kapłan nie znalazł się, natomiast między egipskiem chłopstwem zaczęły o Ramzesie krążyć legendy.

Jakiś człowiek pływał wieczorami ode wsi do wsi w drobnem czółenku i opowiadał chłopom, że następca tronu uwolnił ludzi, którym za napad na jego dom groziły kopalnie. Oprócz tego następca zbił urzędnika, który od chłopów chciał wydobyć niesprawiedliwy podatek. Dodawał wkońcu nieznany człowiek, że książę Ramzes znajduje się pod szczególną opieką boga Amona z pustyni zachodniej, który jest jego ojcem.

Prosty lud chciwie słuchał wieści, raz dlatego, że zgadzały się z faktami, powtóre, że opowiadający je człowiek sam wyglądał na ducha: przybywał niewiadomo skąd i znikał.

Książę Ramzes wcale o swoich chłopach nie mówił z Dagonem, nawet nie wzywał go do siebie. Czuł wstyd wobec Fenicjanina, od którego wziął pieniądze i jeszcze niejednokrotnie mógł ich potrzebować.

Ale w kilka dni po awanturze z pisarzem Dagona, bankier sam odwiedził następcę tronu, trzymając coś zasłoniętego w ręku. A gdy wszedł do pokoju księcia, ukląkł, rozwiązał białą chustkę i wyjął z niej prześliczny złoty kielich. Kielich był wy-

sadzany różnokolorowemi kamieniami i pokryty płaskorzeźbą, która na podstawie przedstawiała zbieranie i tłoczenie winogron, a na czaszy — ucztę.

— Przyjmij ten kielich, dostojny panie, od niewolnika twego — mówił bankier — i używaj go sto... tysiąc lat... do skończenia wieków.

Ale książę zrozumiał, o co chodzi Fenicjaninowi.

Nie dotykając przeto złotego daru, rzekł z twarzą surową:

— Czy widzisz, Dagonie, te purpurowe odblaski wewnątrz kielicha?...

— Zaprawdę — odparł bankier — jakżebym nie miał widzieć tej purpury, która dowodzi, że kielich jest z najczystszego złota.

— A ja ci mówię, że to jest krew dzieci, zabieranych rodzicom — odpowiedział gniewnie następca tronu.

Odwrócił się i wyszedł do dalszych pokojów.

— O Astaroth!... — jęknął Fenicjanin.

Usta mu posiniały, a ręce zaczęły drżeć tak, że ledwie zdążył owinąć swój kielich w białą chustę.

W parę dni później Dagon popłynął ze swoim kielichem do folwarku Sary. Ubrał się w szaty, przetykane złotem, w gęstej brodzie miał szklaną kulkę, z której ciekły wonności, a do głowy przypiął dwa pióra.

— Piękna Saro — zaczął — oby Jehowa zlał na twoją rodzinę tyle błogosławieństwa, ile dziś płynie wody w Nilu! My, Fenicjanie, i wy, żydzi, jesteśmy przecie sąsiadami i braćmi. Ja zaś takim

żarem miłosnym płonę do ciebie, że gdybyś nie należała do najdostojniejszego pana naszego, dałbym za ciebie Gedeonowi (oby zdrów był!) dziesięć talentów i pojąłbym cię za prawą małżonkę. Taki jestem namiętny!...

— Niech mnie Bóg zachowa — odparła Sara— ażebym potrzebowała mieć innego pana, aniżeli ten mój, który jest. Ale skądże to, zacny Dagonie, przyszła ci ochota nawiedzić dzisiaj służebnicę pańską?

— Powiem ci prawdę, jakbyś była Tamarą, żoną moją, która, choć rodowita córka Sydonu, choć wniosła mi duży posag, jest już stara i niewarta zdejmować ci sandałów...

— W miodzie, płynącym z ust waszych, jest dużo piołunu — wtrąciła Sara.

— Miód — prawił Dagon, siadając — niech będzie dla ciebie, a piołun niech moje zatruwa serce. Pan nasz, książę Ramzes (oby żył wiecznie!), ma lwie usta i sępią przebiegłość. Raczył mi wypuścić w dzierżawę swoje majątki, co żołądek mój napełniło radością; ale nie ufa mi tak, że ja ze zgryzoty po całych nocach nie sypiam, tylko wzdycham i łzami oblewam łoże moje, w którem obyś ty wespół ze mną spoczywała, Saro! zamiast mojej małżonki Tamary, która pożądliwości już we mnie rozbudzić nie może.

— Nie to chcieliście mówić — przerwała zarumieniona Sara.

— Ja już nie wiem, co chcę mówić od czasu, gdym ujrzał ciebie, i gdy nasz pan, śledząc moje czynności na folwarkach, pobił kijem i odebrał zdro-

wie mojemu pisarzowi, który zbierał od chłopów podatek. Przecie ten podatek nie dla mnie, Saro, tylko dla naszego pana... Przecie nie ja będę jadł figi i pszenne chleby z tych dóbr, tylko ty, Saro, i nasz pan... Przecie ja dałem pieniądze panu, a tobie klejnoty, więc dlaczego podłe chamstwo egipskie ma zubożać naszego pana i ciebie, Saro?... Abyś zaś zrozumiała, jak mocno wzburzasz moją krew dla siebie, i ażebyś dowiedziała się, że z tych pańskich majątków ja nic mieć nie chcę, tylko wam wszystko oddaję, weźmij, Saro, ten kielich szczerozłoty, wysadzany kamieniami, okryty rzeźbą, której dziwiliby się sami bogowie...

To mówiąc, Dagon wydobył z białej chusty kielich, nieprzyjęty przez księcia.

— Ja nawet nie chcę, Saro — mówił — ażebyś ty ten złoty kielich miała w domu i dawała z niego pić naszemu panu. Ty oddaj ten szczerozłoty kielich twojemu ojcu, Gedeonowi, którego kocham, jak brata. I ty, Saro, powiedz ojcu twemu takie słowa: „Dagon, twój bliźnięcy brat, nieszczęśliwy dzierżawca majątków następcy tronu, jest zrujnowany. Więc pij, mój ojcze, z tego kielicha, i myśl o twoim bliźniaczym bracie Dagonie i proś Jehowy, ażeby nasz pan, książę Ramzes, nie rozbijał mu pisarzów i nie buntował chłopów, którzy już i tak nie chcą płacić". Ty zaś, Saro, wiedz o tem, że gdybyś kiedy dopuściła mnie do poufałości z sobą, dałbym tobie dwa talenty, a twemu ojcu talent, i jeszcze wstydziłbym się, że daję ci tak mało, boś ty warta, ażeby pieścił cię sam fa-

raon, i następca tronu, i dostojny minister Herhor, i najwaleczniejszy Nitager, i najbogatsi bankierowie feniccy. W tobie jest taki smak, że ja, gdy widzę cię — omdlewam, a gdy cię nie widzę, zamykam oczy i oblizuję się. Ty jesteś słodsza od fig, bardziej pachnąca od róż... Jabym dał tobie pięć talentów... Weź ten kielich, Saro.

Sara usunęła się, ze spuszczonemi oczyma.

— Nie wezmę kielicha—odparła—bo pan mój zabronił mi od kogokolwiek przyjmować darów.

Dagon osłupiał i patrzył na nią zdziwionemi oczyma.

— Ty chyba nie wiesz, Saro, co jest wart ten kielich?... Wreszcie ja daję go twojemu ojcu, memu bratu...

— Nie mogę przyjąć... — szepnęła Sara.

— Gwałtu!... — krzyknął Dagon. — Więc ty, Saro, zapłacisz mi za ten kielich innym sposobem, nie mówiąc twojemu panu... Przecie taka piękna, jak ty, kobieta, musi posiadać złoto i klejnoty i powinna mieć swego bankiera, któryby jej dostarczał pieniędzy, kiedy jej się podoba, nie zaś tylko wówczas, gdy jej pan zechce?...

— Nie mogę!... — szepnęła Sara, nie ukrywając wstrętu dla Dagona.

Fenicjanin w okamgnieniu zmienił ton i rzekł, śmiejąc się:

— Bardzo dobrze, Saro!... Ja tylko chciałem przekonać się, czy ty jesteś wierna naszemu panu. I widzę, że jesteś wierna, chociaż głupi ludzie gadają...

— Co?... — wybuchnęła Sara, rzucając się ku Dagonowi z zaciśniętemi pięściami.

— A cha! cha!... — śmiał się Fenicjanin. — Jaka szkoda, że tego nie słyszał i nie widział nasz pan... Ale ja jemu kiedy opowiem, gdy będzie dobrze usposobiony, że ty nietylko jesteś mu wierna, jak pies, ale nawet nie chciałaś przyjąć złotego kielicha, ponieważ on nie kazał ci przyjmować prezentów... A ten kielich, wierz mi Saro, skusił już niejedną kobietę... i niemałą kobietę...

Dagon posiedział jeszcze chwilę, podziwiając cnotę i posłuszeństwo Sary, wreszcie pożegnał się z nią bardzo czule, wsiadł w swoją łódź z namiotem i odpłynął do Memfis. Im czółno dalej odsuwało się od folwarku, z twarzy Fenicjanina znikał uśmiech a występował wyraz gniewu. A gdy dom Sary ukrył się za drzewami, Dagon powstał i, podniósłszy ręce do góry, począł wołać:

— O Baal Sydon, o Astoreth!... pomścijcie moją zniewagę nad przeklętą córką Judy... Niech przepadnie jej zdradziecka piękność, jak kropla deszczu w pustyni!... Niechaj choroby stoczą jej ciało, a szaleństwo opęta duszę!... Niech jej pan wygna ją z domu, jak parszywą świnię!... A jak dzisiaj odtrąciła mój kielich, tak niech przyjdzie czas, ażeby ludzie odtrącali jej wyschłą rękę, gdy będzie żebrała, spragniona, o kubek mętnej wody...

Potem pluł i mruczał niezrozumiałe a straszne wyrazy, aż na chwilę czarny obłok zakrył słońce, a woda wpobliżu łodzi poczęła mącić się i wydymać w duże fale. Gdy skończył, słońce znowu

zajaśniało; ale rzeka jeszcze niepokoiła się, jakby poruszył ją nowy przybór.

Wioślarze Dagona zlękli się i przestali śpiewać; lecz, oddzieleni od swego pana ścianą namiotu, nie spostrzegli jego praktyk.

Od tej pory Fenicjanin nie pokazywał się następcy tronu. Lecz, gdy pewnego dnia książę przyszedł do swojej willi, zastał w pokoju sypialnym piękną szesnastoletnią tancerkę fenicką, która za cały strój miała złotą obrączkę na głowie i delikatny jak pajęczyna szal na ramionach.

— Któż ty jesteś? — zapytał książę.

— Jestem kapłanką i twoją służebnicą, a przysłał mnie pan Dagon, ażebym wypłoszyła twój gniew na niego.

— Jakże potrafisz to zrobić?

— O tak... siądź tutaj — mówiła, sadowiąc go na fotelu — ja stanę na palcach, ażeby zrobić się wyższą, aniżeli twój gniew i tym szalem, który jest poświęcany, będę odpędzała od ciebie złe duchy... — A kysz!... a kysz!... — szeptała, tańcząc wkoło Ramzesa. — Niech moje ręce zdejmą ponurość z włosów twoich... niech moje pocałunki przywrócą jasne spojrzenie oczom twym... niech bicie mego serca napełni muzyką uszy twoje, panie Egiptu. A kysz!... a kysz!... on nie wasz, ale mój... Miłość potrzebuje takiej ciszy, że wobec niej nawet gniew musi umilknąć...

Tańcząc, bawiła się włosami Ramzesa, obejmowała go za szyję, całowała w oczy. Wreszcie zmęczona siadła u nóg księcia i, oparłszy głowę na

jego kolanach, bystro przypatrywała mu się, dysząc rozchylonemi ustami.

— Już nie gniewasz się na twego sługę Dagona?... — szeptała, głaszcząc twarz księcia.

Ramzes chciał ją pocałować w usta, lecz zerwała się z jego kolan i uciekła, wołając:

— O nie, nie można!...

— Dlaczego?

— Jestem dziewicą i kapłanką wielkiej bogini Astarty... Musiałbyś bardzo kochać i czcić moją opiekunkę, nim byłoby ci wolno pocałować mnie.

— A tobie wolno...

— Mnie wszystko wolno, bo ja jestem kapłanką i przysięgłam zachować czystość.

— Więc pocóżeś tu przyszła?

— Rozpędzić gniew twój. Zrobiłam to i odchodzę. Bądź zdrów i zawsze dobry!... — dodała z przejmującem wejrzeniem.

— Gdzie mieszkasz?... jak się nazywasz?... — pytał książę.

— Nazywam się Pieszczota, a mieszkam... Eh, poco mam mówić? Jeszcze nieprędko przyjdziesz do mnie.

Skinęła ręką i znikła, a książę, jakby odurzony, nie ruszył się z fotelu. Gdy zaś po chwili wyjrzał oknem, zobaczył bogatą lektykę, którą czterej Nubijczycy szybko nieśli w stronę Nilu.

Ramzes nie żałował odchodzącej: zdziwiła go, ale nie porwała.

„Sara jest spokojniejsza od niej — myślał —

i ładniejsza. Zresztą... zdaje mi się, że ta Fenicjanka musi być zimna, a jej pieszczoty wyuczone".

Lecz od tej chwili książę przestał gniewać się na Dagona, tem bardziej, że gdy raz był u Sary, przyszli do niego chłopi i, dziękując za opiekę, oświadczyli, że Fenicjanin już nie zmusza ich do płacenia nowego podatku.

Tak było pod Memfisem. Zato w innych folwarkach książęcy dzierżawca wetował sobie straty.

ROZDZIAŁ XIV.

W miesiącu Choiak, od połowy września do połowy października, wody Nilu stanęły najwyżej, i zaczął się nieznaczny opad. W ogrodach zbierano owoce tamaryndowe, daktyle i oliwki, a drzewa zakwitły po raz drugi.

W tym czasie jego świątobliwość, Ramzes XII, opuścił swój słoneczny pałac pod Memfisem i z wielką świtą, na kilkudziesięciu strojnych statkach popłynął do Teb, dziękować tamtejszym bogom za dobry wylew, a zarazem złożyć ofiary w grobach wiecznie żyjących przodków...

Najdostojniejszy władca bardzo łaskawie pożegnał syna swego i następcę; ale kierunek spraw państwowych, na czas nieobecności, powierzył Herhorowi.

Książę Ramzes tak mocno odczuł ten dowód monarszej nieufności, że przez trzy dni nie wychodził ze swojej willi i nie przyjmował pokarmów

tylko płakał. Później przestał się golić i przeniósł się na folwark Sary, ażeby uniknąć stykania się z Herhorem i dokuczyć matce, którą uważał za przyczynę swoich nieszczęść.

Zaraz na drugi dzień w tem ustroniu odwiedził go Tutmozis, ciągnąc za sobą dwie łodzie muzyków i tancerek, a trzecią napełnioną koszami jadła i kwiatów, tudzież dzbanami wina. Ale książę kazał odjechać precz muzyce i tancerkom, a wziąwszy do ogrodu Tutmozisa, rzekł:

— Zapewne wysłała cię tu moja matka (oby żyła wiecznie!) w celu oderwania mnie od żydówki?... Otóż powiedz jej dostojności, że choćby Herhor został nietylko namiestnikiem, ale nawet synem mego ojca, ja robić będę to, co mi się podoba... Znam się na tem... Dziś chcą mnie pozbawić Sary, a jutro władzy... Przekonam ich, że ja nie wyrzeknę się niczego.

Książę był rozdrażniony, Tutmozis wzruszył ramionami, wreszcie odparł:

— Jak wicher odnosi ptaka na pustynię, tak gniew wyrzuca człowieka na brzegi niesprawiedliwości. Czyż możesz dziwić się kapłanom, że nie cieszą się, iż następca tronu związał swoje życie z kobietami innej ziemi i wiary? Prawda, że nie podoba im się Sara, tem więcej, że masz ją jedną; gdybyś posiadał kilka kobiet rozmaitych, jak wszyscy młodzi szlachcice, nie zwracanoby uwagi na żydówkę. Lecz cóż oni zrobili jej złego?... Nic. Owszem, nawet jakiś kapłan bronił jej przed roz-

juszonym tłumem napastników, których tobie podobało się wydobyć z więzienia...

— A moja matka?... — wtrącił następca.

Tutmozis roześmiał się.

— Twoja czcigodna matka — prawił — kocha cię, jak własne oczy i serce. Jużci i jej nie podoba się Sara, ale wiesz, co mi raz powiedziała jej dostojność?... Oto, ażebym odbił ci Sarę!... Widzisz jaki zrobiła sobie żart?... Na co ja odpowiedziałem równie żartem: Ramzes darował mi sforę gończych psów i dwa konie syryjskie, gdy mu się sprzykrzyły; może więc kiedyś odda mi i swoją kochankę, którą będę musiał przyjąć zapewne z dodatkiem.

— Ani myśl o tem. Nikomu dziś nie oddałbym Sary, właśnie dlatego, że z jej powodu mój ojciec nie mianował mnie namiestnikiem.

Tutmozis kręcił głową.

— Bardzo się mylisz — odparł. — Tak się mylisz, że aż mnie to przestrasza. Czyliżbyś naprawdę nie rozumiał powodów niełaski, które zna każdy oświecony człowiek w Egipcie?...

— Nic nie wiem...

— Tem gorzej — mówił zakłopotany Tutmozis. Nie wiesz więc, że od czasu manewrów, żołnierze, osobliwie greccy, w każdym szynku piją za twoje zdrowie...

— Nato przecież dostali pieniądze.

— Tak, ale nie nato, ażeby wołać na cały głos, że gdy nastąpisz po jego świątobliwości (oby żył wiecznie!), rozpoczniesz wielką wojnę, po któ-

rej zajdą zmiany w Egipcie... Jakie zmiany?... I kto, za życia faraona, ośmieli się mówić o planach jego następcy?...

Teraz książę sposępniał.

— To jedno, ale powiem ci i drugie — prawił Tutmozis — bo złe, jak hiena, nigdy nie chodzi w pojedynkę. Czy wiesz, że między chłopstwem śpiewają o tobie pieśni, jak uwolniłeś napastników z więzienia, a co gorsza, znowu mówią, że gdy nastąpisz po jego świątobliwości, będą zniesione podatki?... Trzeba zaś dodać, że ile razy między chłopstwem zaczynają gadać o niesprawiedliwości i podatkach, zawsze następowały rozruchy. I albo zewnętrzny nieprzyjaciel wpadał do osłabionego państwa, albo Egipt dzielił się na tyle części, ilu było nomarchów... Sam wreszcie osądź: czy jest rzeczą stosowną, ażeby w Egipcie jakiekolwiek imię częściej było wymawiane, aniżeli faraona?... I ażeby ktokolwiek stawał między ludem a naszym panem? Gdybyś zaś pozwolił, odpowiedziałbym ci, jak na tę sprawę zapatrują się kapłani...

— Ależ, rozumie się, mów...

— Otóż, jeden wielce mądry kapłan, który ze szczytu świątyni Ammona zajmuje się dostrzeganiem niebieskich obrotów, wymyślił taką przypowieść:

Faraon jest słońcem, a następca tronu księżycem. Gdy za świetlanym bogiem zdaleka posuwa się księżyc, mamy jasność we dnie i jasność w nocy. Gdy księżyc chce być zanadto blisko słońca, wówczas znika sam i noce są ciemne. Ale jeżeli zda-

rzy się tak, że księżyc stanie przed słońcem, wówczas robi się zaćmienie, wielki popłoch dla świata...

— I te wszystkie paplaniny — przerwał Ramzes — dochodzą do uszu jego świątobliwości?.... Biada głowie mojej!... Bodajbym nigdy nie był synem królewskim!...

— Faraon, jako bóg ziemski, wie o wszystkiem; ale zanadto jest potężny, aby miał zważać na pijackie okrzyki żołnierstwa, albo na szepty chłopów. On rozumie, że każdy Egipcjanin odda za niego życie, a ty najpierwej.

— Prawdę rzekłeś!...—odparł stroskany książę. — W tem wszystkiem jednak widzę nową nikczemność i obłudę kapłanów — dodał, ożywiając się. — Więc to ja zasłaniam majestat pana naszego, bo uwalniam niewinnych z więzienia, albo nie pozwalam memu dzierżawcy dręczyć chłopów niesprawiedliwym podatkiem?... Ale kiedy jego dostojność Herhor rządzi armją, mianuje dowódców, układa się z obcymi książęty, a memu ojcu każe spędzać dni na modlitwach...

Tutmozis zasłonił uszy i, tupiąc nogami, zawołał:

— Milcz już, milcz!... każde twoje słowo jest bluźnierstwem... Państwem... rządzi tylko jego świątobliwość, i cokolwiek dzieje się na ziemi, pochodzi z jego woli. Herhor zaś jest sługą faraona i robi to, co mu pan każe.... Kiedyś sam przekonasz się.... Oby słowa moje nie były źle zrozumiane!...

Książę tak sposępniał, że Tutmozis przerwał

rozmowę i czem prędzej pożegnał przyjaciela. Gdy wsiadł do swej łódki, opatrzonej baldachimem i firankami, głęboko odetchnął i, wypiwszy spory kielich wina, począł rozmyślać.

„Brr!... dziękuję bogom, że nie dali mi takiego charakteru, jaki ma Ramzes. Jest to najnieszczęśliwszy człowiek w najszczęśliwszych warunkach... Mógłby mieć najpiękniejsze kobiety z Memfisu, a pilnuje się jednej, aby dokuczyć matce! Tymczasem on nie matce dokucza, ale tym wszystkim cnotliwym dziewicom i wiernym żonom, które usychają z tęsknoty, że następca tronu, a w dodatku prześliczny chłopak, nie odbiera im cnoty, albo nie zmusza ich do niewierności. Mógłby nietylko pić, ale nawet kąpać się w najlepszem winie, a tymczasem woli nędzne piwo żołnierskie i suchy placek, natarty czosnkiem. Skąd te chłopskie upodobania? Nie rozumiem. Chyba czcigodna pani Nikotris w najniebezpieczniejszym czasie zapatrzyła się na jedzących robotników?...

„Mógłby też od świtu do nocy nic nie robić. Gdyby chciał, nawet karmiliby go najznakomitsi panowie, ich żony, siostry i córki. Lecz on nietylko sam wyciąga rękę po jadło, ale jeszcze na utrapienie szlachetnej młodzieży sam się myje, sam się ubiera, a jego fryzjer po całych dniach łapie ptaki w sidła i marnuje zdolności.

„O Ramzesie! Ramzesie!... — westchnął elegant. — Czy podobna, aby przy takim księciu rozwinęła się moda?... My przecie od roku nosimy takie same fartuszki, a peruki utrzymują się tylko

dzięki dworskim dygnitarzom; bo Ramzes wcale peruk nie chce nosić, co jest wielkiem poniżeniem dla szlacheckiego stanu.

„A wszystko to... brr... robi przeklęta polityka... O, jak szczęśliwy jestem, że nie potrzebuję zgadywać: co myślą w Tyrze, albo Niniwie, troszczyć się o żołd dla wojska, rachować: ilu ludzi przybyło czy ubyło Egiptowi i jakie można wybrać podatki? Straszna rzecz powiedzieć sobie, że mój chłop nietyle mi płaci, ile ja potrzebuję i wydaję, lecz — na ile pozwala przybór Nilu. Ojciec Nil przecie nie pyta moich wierzycieli: co ja im jestem winien?...

Tak rozmyślał wykwintny Tutmozis i złotem winem krzepił stroskanego ducha. A nim czółno przypłynęło do Memfis, zmógł go taki ciężki sen, że niewolnicy musieli swego pana przenieść do lektyki na rękach.

Po odejściu Tutmozisa, które wyglądało na ucieczkę, następca tronu głęboko zamyślił się, nawet uczuł trwogę.

Książę był sceptykiem, jako wychowaniec wyższych szkół kapłańskich i członek najwyższej arystokracji. Wiedział, że gdy jedni kapłani przez wielomiesięczne posty i umartwienia sposobią się do wywoływania duchów, inni — nazywają duchy przywidzeniem albo oszustwem. Widywał też, że święty wół, Apis, przed którym padał na twarz cały Egipt, dostawał nieraz tęgie kije od najniższych kapłanów, którzy mu podawali paszę i podstawiali krowy.

Rozumiał wreszcie, że jego ojciec, Ramzes XII, który dla pospólstwa był wiecznie żyjącym bogiem i wszechwładnym panem świata, jest naprawdę takim, jak inni, człowiekiem, tylko trochę więcej schorowanym, niż inni starcy, i bardzo ograniczonym przez kapłanów.

Wszystko to widział książę i z wielu rzeczy drwił w duchu, a nawet publicznie. Lecz cały jego libertynizm upadał wobec faktycznej prawdy, że— z tytułów faraona żartować nie wolno nikomu!...

Ramzes znał historję swego kraju i pamiętał, że w Egipcie wiele rzeczy przebaczano wielkim. Wielki pan mógł zepsuć kanał, zabić ukradkiem człowieka, drwić pocichu z bogów, brać prezenta od posłów obcych mocarstw.... Ale dwa grzechy były niedopuszczalne: zdrada kapłańskich tajemnic i zdrada faraona. Człowiek, który popełnił jedno lub drugie, znikał, czasami po upływie roku, z pośród sług i przyjaciół. Ale gdzie się podziewał i co się z nim działo? O tem nawet mówić nie śmiano.

Otóż Ramzes czuł, że znajduje się na podobnej pochyłości, od czasu gdy wojsko i chłopi zaczęli wymawiać jego imię i rozprawiać o jakowychś jego planach, zmianach w państwie i przyszłych wojnach. Myśląc o tem, książę doznawał wrażenia, że jego, następcę tronu, bezimienny tłum nędzarzy i buntowników gwałtem pcha na szczyt najwyższego obeliska, skąd można tylko zlecieć i rozbić się na miazgę.

Później, gdy po najdłuższem życiu ojca zosta-

nie faraonem, będzie miał prawo i środki dokonać wielu takich czynów, o których nikt w Egipcie nie pomyślałby bez zgrozy. Ale dziś musi naprawdę strzec się, aby go nie uznano za zdrajcę i buntownika przeciw zasadniczym ustawom państwa.

W Egipcie był jeden jawny władca: faraon. On rządził, on chciał, on myślał za wszystkich, i biada temu, kto ośmieliłby się wątpić głośno o wszechpotędze faraona, albo mówić o jakichś swoich zamiarach, czy choćby o zmianach wogóle.

Plany robiły się tylko w jednem miejscu: w sali, gdzie faraon słuchał zdań członków rady przybocznej i wypowiadał swoje opinje. Wszystkie też zmiany mogły wyjść tylko stamtąd. Tam płonęła jedyna widoczna lampa mądrości państwowej, której blask oświetlał cały Egipt. Ale i o tem bezpieczniej było milczeć.

Wszystkie te uwagi z szybkością wichru przelatywały przez głowę następcy, gdy siedział na kamiennej ławce ogrodu Sary, pod kasztanem, i patrzał na otaczający go krajobraz.

Woda Nilu już odrobinę opadła i poczęła robić się przezroczystą, jak kryształ. Ale jeszcze cały kraj wyglądał niby zatoka morska, gęsto usiana wyspami, na których wznosiły się budynki, ogrody warzywne i owocowe, a gdzie niegdzie kępy drzew wielkich, służących do ozdoby.

Dokoła wszystkich tych wysp widać było żórawie z kubłami, zapomocą których nadzy ludzie miedzianej barwy, w brudnych przepaskach i czep-

kach, czerpali wodę z Nilu i kolejno wlewali ją do coraz wyżej położonych studni.

Szczególnie jedna taka miejscowość odbiła się w pamięci Ramzesa. Był to stromy pagórek, na którego zboczu pracowały trzy żórawie: jeden wlewał wodę z rzeki do studni najniższej, drugi czerpał z najniższej i podnosił o parę łokci wyżej, do studni średniej, trzeci ze średniej przelewał wodę w studnię najwyższą, położoną już na szczycie pagórka. Tam zaś, kilku równie nagich ludzi czerpało wodę konwiami i polewali zagony jarzyn, albo zapomocą ręcznych sikawek skrapiali drzewa.

Ruchy żórawi, zniżających się i podnoszących, nachylenia kubłów, wytryski sikawek były tak rytmiczne, że ludzi, którzy je wywoływali, można było uważać za automaty. Żaden z nich nie przemówił do swego sąsiada, nie zmienił miejsca, nie obejrzał się, tylko pochylał się i wyprostowywał zawsze w ten sam sposób od rana do wieczora, od miesiąca do miesiąca, a zapewne od dzieciństwa do śmierci.

„I to takie twory — myślał książę, patrząc na pracę rolników — takie twory chcą zrobić mnie wykonawcą swoich przywidzeń!... Jakich zmian mogą oni żądać w państwie? Chyba, ażeby ten, kto czerpie wodę od niższej studni, przeszedł do wyższej, albo zamiast polewać grzędy kubłem, skrapiał drzewa sikawą?...“

Gniew bił mu do głowy, a upokorzenie przygniatało go na myśl, że on, następca tronu, dzięki bajkom takich oto istot, całe życie kiwających się

nad studniami mętnej wody, nie został namiestnikiem!

W tej chwili usłyszał między drzewami cichy szelest — i delikatne ręce oparły się na jego ramionach.

— Cóż, Saro? — spytał książę, nie odwracając głowy.

— Smutny jesteś, panie mój?... — odparła. — Nietyle ucieszył się Mojżesz widokiem ziemi obiecanej, ile ja, gdyś powiedział, że sprowadzasz się tu, aby ze mną mieszkać. Lecz już dobę jesteśmy razem, a jeszcze nie widziałam twego uśmiechu. Nawet nie mówisz do mnie, ale chodzisz ponury, a w nocy nie pieścisz mnie, tylko wzdychasz.

— Mam zmartwienie.

— Powiedz mi je. Zgryzota jest jak skarb dany do przechowania. Póki strzeżemy jej sami, nawet sen ucieka od nas i dopiero wtedy robi się lżej, gdy znajdziemy drugiego stróża.

Ramzes objął ją i posadził przy sobie na ławce.

— Kiedy chłop — rzekł z uśmiechem — nie zdąży przed wylewem zebrać z pola, żona mu pomaga. Ona pomaga mu też doić krowy, nosi mu jadło za dom, myje go, gdy wróci od pracy. Stąd urosła wiara, że kobieta może ulżyć kłopotów mężczyźnie.

— Ty w to nie wierzysz, panie?...

— Książęcym troskom — odparł Ramzes — nie poradzi kobieta, nawet tak mądra i władna, jak... moja matka...

— Przebóg! jakież one są, powiedz mi? — na-

legała Sara, tuląc się do ramienia następcy. — Według naszych podań, Adam opuścił raj dla Ewy; a przecie on był chyba największym królem najpiękniejszego królestwa...

Książę zamyślił się, po chwili zaczął:

— I nasi mędrcy uczą, że niejeden mężczyzna wyrzekł się dostojeństw dla kobiety. Ale nie słychać, ażeby który zyskał co wielkiego przez kobietę; chyba jaki wódz, któremu faraon oddał córkę razem z dużym posagiem i urzędem.

Ale pomóc do wydźwignięcia się czy to na wyższe stanowisko, czy choćby tylko z kłopotów, kobieta nie potrafi.

— Bo może nie kocha, jak ja ciebie, panie... — szepnęła Sara.

— Wiem, że mnie kochasz na podziw... Nigdy nie żądałaś ode mnie darów, ani opiekowałaś się takimi, którzy nie wahają się szukać karjery nawet pod łóżkami kochanek książęcych. Jesteś łagodniejsza od jagnięcia i cicha, jak noc nad Nilem. Pocałunki twoje są, jak wonności z kraju Punt, a uścisk twój słodki, jak sen strudzonego. Nie mam miary na twoją piękność, ani słów na zalety. Jesteś dziwowiskiem między kobietami, których wargi są pełne niepokoju, a miłość kosztuje drogo. Lecz przy całej doskonałości swojej w czem ty możesz ulżyć mym troskom? Czy sprawisz, aby jego świątobliwość zrobił wielką wyprawę na wschód, a mnie mianował wodzem? Czy dasz mi choć aby korpus Menfi, o który prosiłem, albo uczynisz mnie w imieniu faraona rządcą nad Dolnym Egiptem? A czy

sprawisz, aby wszyscy poddani jego świątobliwości myśleli i czuli jak ja, jego najwierniejszy?...

Sara spuściła ręce na kolana i smutnie szeptała:

— To prawda, że nie mogę... Nic nie mogę!...

— Owszem, wiele możesz!... Możesz mnie rozweselić — odparł, uśmiechając się, Ramzes. — Wiem, że uczyłaś się tańczyć i grać. Zdejm więc te powłóczyste szaty, które przystoją kapłankom, pilnującym ognia, i ubierz się w przejrzysty muślin, jak... tancerki fenickie.... I tak tańcz i tak mnie pieść, jak one...

Sara schwyciła go za ręce i z płomieniami w oczach krzyknęła:

— Ty wdajesz się z takiemi wszetecznicami?... Powiedz... niech się dowiem o mojej nędzy.... A potem odeślij mnie do ojca, w naszą dolinę pustynną, w której obym cię nie była ujrzała!...

— No, no... uspokój się — mówił książę, bawiąc się jej włosami. — Muszę przecież widywać tancerki, jeśli nie przy ucztach, to na uroczystościach królewskich, albo podczas nabożeństw w świątyniach. Ale one wszystkie razem nie obchodzą mnie tyle, co ty jedna, wreszcie.... któraż z nich mogłaby dorównać tobie? Ty masz ciało jak posąg Izydy, rzeźbiony z kości słoniowej, a z tamtych każda ma jakąś skazę. Jedne są zbyt tłuste, inne mają chude nogi, albo brzydkie ręce, a jeszcze inne noszą przyprawne włosy. Któraż z nich jest jak ty?... Gdybyś była Egipcjanką, wszystkie świątynie ubiegałyby się, aby posiadać cię za przodow-

nicę swych chórów. Co mówię, gdybyś teraz ukazała się w Memfisie w przejrzystej sukni, kapłani pogodziliby się z tobą, byleś chciała brać udział w procesjach.

— Nam, córkom Judy, nie wolno nosić nieskromnych sukien...

— Ani tańczyć, ani śpiewać?... Pocóżeś się tego uczyła?

— Tańczą nasze kobiety i dziewczęta same z sobą, na chwałę Panu, nie zaś poto, aby w męskich sercach zasiewać ogniste ziarna pożądliwości. A śpiewamy... Zaczekaj, panie mój, ja ci zaśpiewam...

Podniosła się z ławki i odeszła w stronę domu. Wkrótce ukazała się zpowrotem. Za nią młoda dziewczyna, o wylęknionych czarnych oczach, niosła arfę.

— Co to za dziewczyna? — spytał książę. — Czekajno, ja gdzieś widziałem to spojrzenie?... Aha, kiedym tu był ostatnim razem, ta wystraszona dziewczyna przypatrywała mi się z krzaków...

— To moja krewna i służebnica, Ester — odparła Sara. — Mieszka u mnie już miesiąc, ale boi się was, więc zawsze ucieka. Może być, że kiedy przypatrywała się wam z pomiędzy krzaków.

— Możesz odejść, moje dziecko — rzekł książę do skamieniałej dziewczyny, a gdy skryła się za drzewami dodał: — Ona także żydówka?... A tenże stróż twego domu, który również patrzy na mnie, jak baran na krokodyla?

— To jest Samuel syn Ezdreasza, także mój krewny. Wzięłam go na miejsce murzyna, które-

muś, panie, dał wolność. Wszak pozwoliłeś mi wybierać sługi?...

— Ależ tak! To już chyba i dozorca parobków jest żydem, bo ma żółtą cerę i również patrzy tak pokornie, jakby żaden Egipcjanin nie potrafił.

— Tamten — odpowiedziała Sara — jest Ezechjel, syn Rubena, krewny mego ojca. Czy nie podoba ci się, mój panie?... To są bardzo wierni słudzy twoi.

— Czy podoba mi się! — rzekł markotny książę, bębniąc palcami w ławkę. — On nie poto tu jest, ażeby mi się podobał, lecz aby pilnował twego dobra... Nic mnie zresztą nie obchodzą ci ludzie... Śpiewaj, Saro...

Sara klękła na murawie, u stóp księcia i, wziąwszy na arfie parę akordów, zaczęła:

— Gdzież jest ten, któryby nie miał troski? Gdzie ten, który zabierając się do snu, miałby prawo rzec: oto dzień, który spędziłem bez smutku? Gdzie człowiek, któryby kładąc się do grobu, powiedział: Życie moje upłynęło bez boleści i trwogi, jak pogodny wieczór nad Jordanem!

Lecz jakże wielu takich, którzy codzień chleb swój oblewają łzami, a ich dom jest pełen westchnień.

Płacz jest pierwszym głosem człowieka na tej ziemi, a jęk ostatniem pożegnaniem. Pełen strapienia wchodzi w życie, pełen żalu zstępuje na miejsce odpoczynku, a nikt go nie pyta: gdzieby chciał zostać?

Gdzież jest ten, który nie zaznał goryczy bytu? Azali jest nim dziecię, którego matkę śmierć porywa, albo niemowlę, któremu przynależną pierś głód wyssał pierwej, nim zdążyło przyłożyć usta swoje?

Gdzie jest człowiek pewny losu, który niezmrużonem okiem wyglądałby swego jutra? Czy ten, co pracując na roli, wie, że nie w jego mocy jest deszcz i nie on wskazuje drogę szarańczy? Czy kupiec, który bogactwo swe oddaje wiatrom, niewiadomo skąd przychodzącym, a życie powierza fali nad głębią, która wszystko pochłania i nic nie zwraca?

Gdzież jest człowiek bez niepokoju w duszy? Jestli nim myśliwiec, który goni prędką sarnę, a spotyka na swej drodze lwa, śmiejącego się ze strzały? Jestli nim żołnierz, który w utrudzeniu idzie do sławy, a znajduje las ostrych włóczni i miecze ze śpiżu, krwi łaknące? Jestli nim wielki król, który pod purpurą nosi ciężką zbroję, bezsennem okiem śledzi zastępy przemożnych sąsiadów, a uchem chwyta szmer kotary, aby we własnym namiocie nie powaliła go zdrada?

Przetoż serce ludzkie na każdem miejscu i o każdej porze jest przepełnione tęsknością. W pustyni grozi mu lew i skorpion, w jaskiniach smok, między kwiatami żmija jadowita. Przy słońcu chciwy sąsiad rozmyśla, jakby umniejszyć mu ziemi, w nocy przebiegły złodziej maca drzwi do jego komory. W dzieciństwie jest niedołężny, w starości pozbawiony mocy, w pełni sił okrążony niebezpieczeństwem, jak wieloryb przepaścią wodną.

Przetoż, o Panie, Stworzycielu mój, ku Tobie zwraca się umęczona dusza ludzka. Tyś ją wywiódł na ten świat, pełen zasadzek, Tyś w niej zaszczepił trwogę śmierci, Tyś zamknął wszelkie drogi spokoju, wyjąwszy tej, która do Ciebie prowadzi.

A jak dziecię, stąpać nie umiejące, chwyta się szat matki, ażeby nie upaść, tak mizerny człowiek wyciąga ręce do Twego miłosierdzia i wydobywa się z niepewności...

Sara umilkła, książę zamyślił się i rzekł po chwili:

— Wy, żydzi, jesteście naród posępny. Gdyby w Egipcie tak wierzono, jak uczy wasza pieśń, nikt nie śmiałby się nad brzegami Nilu. Możni ukryliby się ze strachu w podziemiach świątyń, a lud, zamiast pracować, uciekłby do jaskiń i stamtąd wyglądał zmiłowania, któreby zresztą nie nadeszło.

Nasz świat jest inny: wszystko w nim można mieć, ale wszystko trzeba zrobić samemu. I nasi bogowie nie pomagają mazgajom. Schodzą na ziemię dopiero wówczas, gdy bohater, który odważył się na czyn nadludzki, wyczerpie wszystkie siły.

Tak było z Ramzesem Wielkim, gdy rzucił się między dwa tysiące pięćset nieprzyjacielskich wozów, z których każdy dźwigał trzech wojowników. Dopiero wtedy nieśmiertelny ojciec Ammon podał mu rękę i dokończył pogromu. Lecz gdyby, zamiast walczyć, zaczął czekać na opiekę waszego boga, już dawno nad brzegami Nilu Egipcjanin chodziłby tylko z kubłem i cegłą, a nędzni Chetowie z papirusami i kijami!

Dlatego, Saro, prędzej twoje wdzięki, aniżeli twoja pieśń, rozproszą moją troskę. Gdybym tak poczynał sobie, jak uczą żydowscy mędrcy, i czekał na pomoc z nieba, wino uciekałoby od moich ust, a kobiety od moich domów.

Nadewszystko zaś nie mógłbym być następcą faraona, jak moi przyrodni bracia, z których jeden nie przejdzie pokoju bez oparcia się na dwóch niewolnikach, a drugi skacze po drzewach!...

ROZDZIAŁ XV.

Na następny dzień Ramzes wysłał swego murzyna z rozkazami do Memfis, a około południa, od strony miasta, do folwarku Sary przybiła duża łódź, napełniona greckiem żołnierstwem w wysokich hełmach i połyskliwych pancerzach.

Na komendę, szesnastu ludzi, uzbrojonych w tarcze i krótkie włócznie, wysiadło na brzeg, i uszykowali się we dwa szeregi. Już mieli maszerować do domu Sary, gdy zatrzymał ich drugi posłaniec księcia, który rozkazał żołnierzom zostać na brzegu, a tylko naczelnego ich wodza, Patroklesa, wezwał do następcy tronu.

Stanęli i stali bez ruchu, jak dwa rzędy kolumn, obitych błyszczącą blachą. Za posłańcem poszedł Patrokles, w hełmie z piórami i purpurowej tunice, na której miał złotą zbroję, ozdobioną na piersiach wizerunkiem głowy kobiecej, najeżonej wężami zamiast włosów.

Książę przyjął znakomitego generała w bramie ogrodu. Nie uśmiechnął się, jak zwykle, nawet nie odpowiedział na niski ukłon Patroklesa, lecz, z chłodną twarzą, rzekł:

— Powiedz wasza dostojność greckim żołnierzom z moich pułków, że nie będę z nimi odbywał

mustry, dopóki jego świątobliwość nasz pan nie zamianuje mnie po raz drugi ich wodzem. Zaszczyt ten utracili, wydając po szynkowniach godne pijaków okrzyki, które mnie obrażają. Zwracam też uwagę waszej dostojności, że greckie pułki są niedość karne. W miejscach publicznych żołnierze tego korpusu rozprawiają o polityce, a mianowicie o jakiejś możliwej wojnie, co wygląda na zdradę stanu. O tych rzeczach mówić może tylko jego świątobliwość faraon i członkowie rady najwyższej. My zaś, żołnierze i sługi pana naszego, jakiekolwiek zajmujemy stanowisko, możemy tylko wykonywać rozkazy najmiłościwszego władcy i — zawsze milczeć. Proszę, abyś wasza dostojność uwagi te zakomunikował moim pułkom, i życzę waszej dostojności wszelkiego powodzenia!

— Będzie tak, jak powiedziałeś, wasza dostojność — odparł Grek.

Obrócił się na pięcie i, wyprostowany, poszedł z chrzęstem do swojej łodzi.

Wiedział on o rozprawach żołnierzy w szynkowniach, a w tej chwili zrozumiał, że stała się jakaś przykrość następcy tronu, którego wojsko ubóstwiało. Gdy więc dosięgnął stojącej nad brzegiem garstki zbrojnych, przybrał minę bardzo zagniewaną i, wściekle machając rękoma, zawołał:

— Waleczni żołnierze greccy!... Parszywe psy, oby was trąd stoczył!... Jeżeli od tej pory, którykolwiek Grek wymówi w szynku imię następcy tronu, rozbiję mu dzban o łeb, a skorupy wpakuję do gardła i — won z pułku!... Będziesz jeden z dru-

gim świnie pasł u egipskiego chłopa, a w twoim hełmie kury będą składały jaja. Taki los czeka głupich żołdaków, którzy nie umieją powściągać swojego języka. A teraz — w lewo — wtył — zwrot! — i marsz na czółno, bodaj was mór pobił! Żołnierz jego świątobliwości powinien przedewszystkiem pić za zdrowie faraona i pomyślność dostojnego ministra wojny Herhora!... Oby żyli wiecznie!...

— Niech żyją wiecznie!... — powtórzyli żołnierze.

Wszyscy siedli na statek pochmurni. Ale około Memfisu Patrokles rozpogodził zmarszczone czoło i kazał zaśpiewać pieśń o córce kapłana, która tak lubiła wojsko, że do swego łóżka kładła lalkę, a sama całą noc przepędzała w budce szyldwachów.

W takt tej pieśni najlepiej maszerowało się i najraźniej uderzały wiosła.

Nad wieczorem do folwarku Sary przybiła druga łódź, z której wysiadł naczelny rządca dóbr Ramzesa.

Książę i tego dostojnika przyjął w bramie ogrodowej. Może przez surowość, a może — aby nie zmuszać go do zachodzenia w dom swojej nałożnicy żydówki.

— Chciałem — rzekł następca — zobaczyć się z tobą i powiedzieć, że między mojem chłopstwem krążą jakieś nieprzystojne gadaniny o zniżeniu podatków, czy o czemś takiem... Pragnę, ażeby dowiedzieli się chłopi, że ja im podatków nie zmniejszę. Jeżeli zaś który, mimo ostrzeżeń, uprze się

w swej głupocie i będzie rozprawiał o podatkach, dostanie kije...

— Może lepiej, aby zapłacił karę... utena, czy drachmę, jak rozkaże wasza dostojność — wtrącił naczelny rządca.

— Owszem; lecz można też dać niesforniejszym kije.

— Ośmielam się zrobić uwagę waszej dostojności — szeptał wciąż pochylony rządca — że chłopi przez pewien czas istotnie mówili o zniesieniu podatków, buntowani przez jakiegoś nieznanego człowieka. Ale od kilku dni nagle ucichli...

— No, więc w takim razie można im nie dawać kijów — zauważył Ramzes.

— Chyba w formie zapobiegawczej?...—wtrącił rządca.

— Czy nie szkoda kijów?

— Tego towaru nigdy nam nie zabraknie.

— W każdym razie... z umiarkowaniem — upominał go książę. — Nie chcę... nie chcę, ażeby do jego świątobliwości doszło, że bez potrzeby dręczę chłopów... Za buntownicze gawędy trzeba bić i ściągać kary pieniężne, ale gdy niema powodu, można okazać się wspaniałomyślnym.

— Rozumiem—odparł rządca, patrząc w oczy księciu. — Niech tyle krzyczą, ile potrzeba, ażeby nie szeptali bluźnierstw...

Obie te mowy, do Patroklesa i rządcy, obiegły Egipt.

Po odjeździe urzędnika książę ziewnął i, oglądając się znudzonym wzrokiem, rzekł do siebie:

— Zrobiłem, com mógł... A teraz nic nie będę robił, jeśli potrafię...

W tej chwili od strony budynków folwarcznych doleciał księcia cichy jęk i gęste uderzenia. Ramzes odwrócił głowę i zobaczył, że dozorca parobków, Ezechjel, syn Rubena, wali kijem jednego ze swoich podwładnych, uspokajając go przytem:

— A cicho!... a milcz, ty podłe bydlę!...

Bity zaś parobek, leżąc na ziemi, zatykał ręką usta, aby nie krzyczeć.

Książę, w pierwszej chwili, rzucił się jak pantera w stronę budynków. Nagle stanął.

— Cóż mu zrobię?... — szepnął. — Przecież to folwark Sary, a ten żyd jest jej krewnym...

Przygryzł usta i skrył się między drzewami, tem bardziej, że egzekucja była już skończona.

— Więc to tak gospodarują pokorni żydzi?... — myślał książę. — Więc to tak?... Na mnie patrzy jak wystraszony pies, a bije parobków? Czy oni wszyscy tacy?...

I pierwszy raz zbudziło się w duszy Ramzesa podejrzenie, że i Sara pod pozorami dobroci może ukrywać obłudę.

W Sarze istotnie zachodziły pewne zmiany, przedewszystkiem moralne.

Od pierwszej chwili, kiedy spotkała księcia w pustynnej dolinie, Ramzes podobał się jej. Lecz uczucie to naraz umilkło pod wpływem ogłuszającej wiadomości, że ten piękny chłopiec jest synem faraona i następcą tronu. Gdy zaś Tutmozis ułożył

się z Gedeonem o zabranie jej do domu księcia, Sara wpadła w stan oszołomienia.

Za żadne skarby, za cenę życia nie wyrzekłaby się Ramzesa, lecz nie można powiedzieć, ażeby go kochała w tej epoce. Miłość potrzebuje swobody i czasu do wydania najpiękniejszych kwiatów; jej zaś nie zostawiono ani czasu, ani swobody. Jednego dnia poznała księcia, nazajutrz porwano ją, prawie nie pytając o zdanie, i przeniesiono do willi za Memfisem. A w parę dni została kochanką, zdziwiona, przerażona, nie pojmująca co się z nią dzieje.

Nadto, nim zdążyła oswoić się z nowemi wrażeniami, zatrwożyła ją niechęć okolicznego ludu do niej, do żydówki, potem wizyta jakichś nieznajomych pań, wreszcie napad na folwark.

To, że Ramzes ujął się za nią i chciał rzucić się na napastników, przestraszyło ją jeszcze bardziej. Traciła przytomność na myśl, że znajduje się w ręku tak gwałtownego i potężnego człowieka, który, gdyby mu się podobało, miał prawo przelewać cudzą krew, zabijać...

Sara na chwilę wpadła w rozpacz, zdawało się jej, że oszaleje, słysząc groźne rozkazy księcia, który wezwał do broni służbę... Lecz w tym samym momencie zdarzył się drobny wypadek, jedno słówko, które otrzeźwiło Sarę i nowy kierunek nadało jej uczuciom.

Książę, myśląc, że jest raniona, zerwał jej z głowy opaskę, lecz, zobaczywszy stłuczenie, zawołał:

— To tylko siniak?... Jak ten siniak zmienia twarz!...

Wobec tego słówka, Sara zapomniała o bólu i trwodze. Ogarnął ją nowy niepokój: więc ona zmieniła się tak, aż to zdziwiło księcia?... A on tylko zdziwił się!...

Siniak zniknął w parę dni, ale w duszy Sary pozostały i rozrosły się nieznane dotychczas uczucia. Poczęła być zazdrosną o Ramzesa i bać się, aby jej nie porzucił.

I jeszcze jedna dręczyła ją troska: że ona czuje się wobec księcia sługą i niewolnicą. Ona była i chciała być jego najwierniejszą sługą, najbardziej oddaną niewolnicą, nieodstępną jak cień. Ale jednocześnie pragnęła, aby on jej, przynajmniej w chwili pieszczot, nie traktował jak pan i władca.

Przecież ona była jego, a on jej. Z jakiej więc racji on nie okazuje, że należy do niej choć trochę, lecz każdem słowem i ruchem daje poznać, że dzieli ich jakaś przepaść?.. Jaka?... Alboż nie ona trzymała go w swoich objęciach? Alboż nie on całował jej usta i piersi?...

Pewnego dnia przypłynął do niej książę z psem. Bawił tylko parę godzin, ale przez cały ten czas pies leżał u nóg księcia, na miejscu Sary, a gdy ona chciała tam usiąść, warknął na nią... A książę śmiał się i tak samo zatapiał palce w kudłach nieczystego zwierzęcia, jak i w jej włosach. I pies tak samo patrzał księciu w oczy, jak ona — z tą chyba różnicą, że patrzał śmielej, niż ona.

Nie mogła uspokoić się i znienawidziła mądre

zwierzę, które jej zabierało część pieszczot, wcale nie dbając o nie i zachowując się wobec pana z taką poufałością, na jaką ona zdobyć się nie śmiała. Nawet nie potrafiłaby mieć tak obojętnej miny, albo patrzeć w inną stronę, gdy na jej głowie leżała ręka następcy tronu.

Niedawno znowu książę wspomniał o tancerkach. Wówczas Sara wybuchła:

— Jakto! więc on pozwoliłby się pieścić tym nagim, bezwstydnym kobietom?... I Jehowa, widząc to z wysokiego nieba, na potworne kobiety nie rzucił gromu?...

Wprawdzie Ramzes powiedział, że ona mu jest droższą nad wszystkie. Ale słowa jego nie uspokoiły Sary; ten tylko wywarły skutek, że postanowiła nie myśleć już o niczem poza obrębem swojej miłości.

Co będzie jutro?... o to mniejsza. A kiedy u nóg księcia śpiewała pieśń o utrapieniach, od kolebki do grobu ścigających ród ludzi, wypowiedziała w niej stan własnej duszy, swoją ostatnią nadzieję — w Bogu.

Na dziś Ramzes był przy niej, więc ma dosyć wszystkie szczęścia, jakie jej mogło dać życie. Ale tu właśnie zaczęła się dla Sary najcięższa gorycz.

Książę mieszkał z nią pod jednym dachem, chodził z nią po ogrodzie, czasem brał do łódki i woził ją po Nilu. Ale ani na jeden włos nie stał się dla niej dostępniejszy, niż wówczas, gdy był po drugiej stronie rzeki, w obrębie królewskiego parku.

Był z nią, ale myślał o czem innem, a Sara

nawet odgadnąć nie mogła — o czem? Obejmował ją, albo bawił się jej włosami, ale patrzał w stronę Memfisu, na ogromne pylony zamku faraona, albo— niewiadomo gdzie.

Czasem nawet nie odpowiadał na jej pytania, albo nagle spojrzał na nią jak przebudzony, jakby dziwił się, że ją widzi obok siebie.

ROZDZIAŁ XVI.

Tak wyglądały, zresztą dość rzadkie, chwile największego zbliżenia między Sarą a jej książęcym kochankiem. Wydawszy bowiem rozkazy Patroklesowi i naczelnemu rządcy dóbr, następca tronu większą część dnia przepędzał za folwarkiem, zazwyczaj na czółnie. I albo płynąc po Nilu, chwytał siatką ryby, które tysiącami uwijały się w błogosławionej rzece, albo dostawał się na moczary i, ukryty między wysokiemi łodygami lotosów, strzelał z łuku do dzikiego ptactwa, którego krzykliwe stada krążyły gęsto jak muchy. Lecz i wówczas nie opuszczały go myśli ambitne; więc z polowania zrobił sobie rodzaj kabały, czy wróżby. Nieraz, widząc stado żółtych gęsi na wodzie, naciągał łuk i mówił:

— Jeżeli trafię, będę kiedyś jako Ramzes Wielki...

Pocisk cicho świsnął, i przeszyty ptak, trzepocząc skrzydłami, wydawał tak bolesne krzyki, że na całym moczarze robił się ruch. Chmury gęsi, kaczek i bocianów porywały się wgórę i, zato-

czywszy wielkie koło nad umierającym towarzyszem, spadały w inne miejsce.

Gdy ucichło, książę ostrożnie przesuwał łódkę dalej, kierując się chwianiem trzcin i urywanemi głosami ptaków. A gdy między zielonością spostrzegł płat czystej wody i nowe stado, znowu naciągał łuk i mówił:

— Jeżeli trafię, będę faraonem. Jeżeli nie trafię...

Strzała tym razem uderzyła w wodę i, odbiwszy się kilka razy od jej powierzchni, znikła między lotosami. A roznamiętniony książę wypuszczał coraz nowe pociski, zabijając ptaki, lub tylko płosząc stada. Z folwarku poznawano gdzie jest, po wrzeszczących chmurach ptactwa, które co chwila zrywało się i krążyło nad jego łodzią.

Kiedy pod wieczór zmęczony wracał do willi, Sara już czekała w progu z miednicą wody, dzbanem lekkiego wina i wieńcami róż. Książę uśmiechał się do niej, głaskał po twarzy, lecz, patrząc w jej pełne tkliwości oczy, myślał:

— Ciekawym, czy ona potrafiłaby bić egipskich chłopów, jak jej zawsze wylęknieni krewni?.. O, moja matka ma słuszność, nie ufając żydom choć — Sara może być inna!...

Raz, wróciwszy niespodzianie, zobaczył na dziedzińcu przed domem bardzo liczną gromadkę nagich dzieci, wesoło bawiących się. Wszystkie były żółte, i na jego widok rozbiegły się z krzykiem jak dzikie gęsi na moczarze. Nim wszedł na taras domu, znikły, że nawet śladu nie zostało.

— Cóż to za drobiazg — spytał Sary — który tak przede mną ucieka.

— To dzieci twoich sług — odparła.

— Żydów?

— Moich braci...

— Bogowie! jakże mnożnym jest ten naród!— roześmiał się książę. — A któż jest ten znowu?... — dodał, wskazując człowieka, który lękliwie wyglądał z za muru.

— To Aod, syn Baraka, mój krewny... On chce służyć tobie, panie. Czy mogę go przyjąć?...

Książę wzruszył ramionami.

— Twój jest folwark — odparł — możesz przyjmować wszystkich, kogo zechcesz. Tylko, jeżeli ci ludzie będą się tak mnożyli, niezadługo opanują Memfis...

— Nie cierpisz braci moich?...—szepnęła Sara, z trwogą patrząc na Ramzesa i osuwając mu się do nóg.

Książę zdziwiony spojrzał na nią.

— Ja o nich nawet nie myślę—odparł dumnie.

Drobne te zajścia, które ognistemi kroplami padały na duszę Sary, nie zmieniły dla niej Ramzesa. Zawsze był jednakowo życzliwy i pieścił ją jak zwykle, choć coraz częściej jego oczy biegały na drugą stronę Nilu i opierały się na potężnych pylonach zamku.

Wnet spostrzegł, że nietylko on tęskni na swojem dobrowolnem wygnaniu. Pewnego dnia bowiem od tamtego brzegu odbiła strojna barka królewska, przepłynęła Nil w stronę Memfisu, a po-

tem zaczęła krążyć tak blisko folwarku, że Ramzes mógł poznać osoby, siedzące w niej.

Jakoż poznał, pod purpurowym baldachimem, swoją matkę między dworskiemi damami, a naprzeciw niej, na niskiej ławce, namiestnika Herhora. Wprawdzie nie patrzyli na folwark, ale książę zgadł, że go widzą.

— Aha! — pomyślał, śmiejąc się. — Moja czcigodna matka i jego dostojność minister radziby wywabić mnie stąd przed powrotem jego świątobliwości.

Nadszedł miesiąc Tobi, koniec października i początek listopada. Nil opadł na wysokość półtora człowieka, codzień odsłaniając nowe płaty czarnej, grząskiej ziemi. Gdziekolwiek ustąpiła woda, zaraz w tem miejscu ukazywała się wąska socha, ciągniona przez dwa woły. Za sochą szedł nagi oracz, obok wołów poganiacz z krótkim batem, a za nim siewca, który, brnąc po kostki w mule, niósł w fartuchu pszenicę i rzucał ją pełnemi garściami.

Zaczynała się dla Egiptu najpiękniejsza pora roku — zima. Ciepło nie przechodziło 15 stopni, ziemia szybko pokrywała się szmaragdową zielonością, z pomiędzy której wytryskały narcyzy i fiołki. Woń ich coraz częściej odzywała się wśród surowego zapachu ziemi i wody.

Już kilka razy statek, niosący czcigodną panią Nikotris i namiestnika Herhora, ukazywał się wpobliżu mieszkania Sary. Za każdym razem książę widział matkę swoją, wesoło rozmawiającą z ministrem, i przekonywał się, że w ostentacyjny spo-

sób nie patrzą w jego stronę, jakby mu chcieli okazać lekceważenie.

— Poczekajcie! — szepnął rozgniewany następca — przekonam was, że i ja się nie nudzę...

Gdy więc jednego dnia, na krótko przed zachodem słońca, ukazała się na tamtym brzegu złocona łódź królewska, której purpurowy namiot zdobiły w rogach strusie pióra, Ramzes kazał przygotować czółno na dwie osoby i powiedział Sarze, że z nią popłynie.

— Jehowo! — zawołała, składając ręce. — Ależ tam jest wasza matka i namiestnik!

— A tu będzie następca tronu. Weź swoją arfę, Saro.

— Jeszcze i arfę?... — zapytała, drżąc. — A jeżeli wasza czcigodna matka zechce mówić z tobą?... Chyba rzucę się w wodę!...

— Nie bądź dzieckiem, Saro — odparł, śmiejąc się, książę.—Jego dostojność namiestnik i moja matka bardzo lubią śpiew. Możesz więc nawet zjednać ich, jeżeli zaśpiewasz jaką ładną pieśń żydowską. Niech tam będzie co o miłości.

— Nie umiem takiej — odpowiedziała Sara, w której słowa księcia zbudziły otuchę. Może naprawdę jej śpiew spodoba się potężnym władcom, a wówczas?...

Na dworskim statku spostrzeżono, że następca tronu siada do prostej łodzi i nawet sam wiosłuje.

— Czy widzisz, wasza dostojność — szepnęła królowa do ministra — że on wypływa naprzeciw nam ze swoją żydówką?...

— Następca znalazł się tak poprawnie w stosunku do swoich żołnierzy i chłopów i okazał tyle skruchy, usuwając się z granic pałacu, że wasza cześć możesz mu przebaczyć to drobne uchybienie — odparł minister.

— O gdyby nie on siedział w tej łupince, kazałabym ją rozbić! — rzekła z gniewem dostojna pani.

— Poco? — spytał minister. — Książę nie byłby potomkiem arcykapłanów i faraonów, gdyby nie szarpał tych wędzideł, jakie niestety! narzuca mu prawo, lub nasze, być może, błędne zwyczaje. W każdym razie dał dowód, że w ważnych wypadkach umie panować nad sobą. Nawet potrafi uznać własne uchybienia, co jest przymiotem rzadkim, a nieocenionym u następcy tronu.

To samo zaś, że książę chce nas drażnić swoją ulubienicą, dowodzi, że boli go niełaska, w jakiej znalazł się, zresztą z najszlachetniejszych pobudek.

— Ale ta żydówka!... — szeptała pani, machając wachlarz z piór.

— Już dziś jestem o nią spokojny — mówił minister. — Jest to ładne, ale głupiutkie stworzenie, które ani myśli, ani potrafiłoby wyzyskać wpływu nad księciem. Nie przyjmuje prezentów i nawet nie widuje nikogo, zamknięta w swojej niezbyt kosztownej klatce. Zczasem może nauczyłaby się korzystać ze stanowiska książęcej kochanki i choćby tylko zubożyła skarb następcy o kilkanaście talentów. Nim to jednak nastąpi, Ramzes znudzi się nią...

— Bodajby przez twoje usta przemawiał Amon wszystko wiedzący!

— Jestem tego pewny. Książę ani przez chwilę nie szalał za nią, jak to się trafia naszym paniczom, którym jedna zręczna intrygantka może odebrać majątek, zdrowie, a nawet zaprowadzić ich do sali sądowej. Książę bawi się nią, jak dojrzały człowiek niewolnicą. Że zaś Sara jest brzemienna...

— Czy tak?...—zawołała pani.—Skąd wiesz?...

— O czem nie wie ani jego dostojność następca, ani nawet Sara?... — uśmiechnął się Herhor. — My wszystko musimy wiedzieć. Ten zresztą sekret nie był trudny do zdobycia. Przy Sarze bowiem znajduje się jej krewna Tafet, kobieta niezrównanej gadatliwości.

— Czy już wzywali lekarza?...

— Powtarzam, że Sara nic nie wie o tem, zaś poczciwa Tafet, z obawy, aby książę nie zniechęcił się do jej wychowanicy, chętnie ukręciłaby głowę temu sekretowi. Ale my nie pozwolimy. Będzie to przecież dziecko książęce.

— A jeżeli syn?... Wiesz wasza cześć, że mógłby narobić kłopotu... — wtrąciła pani.

— Wszystko przewidziane — mówił kapłan.— Jeżeli będzie córka, damy jej posag i wychowanie, jakie przystoi panience wysokiego rodu. A jeżeli syn, wówczas zostanie żydem...

— Ach, mój wnuk żydem!...

— Nie trać pani do niego zbyt wcześnie serca. Posłowie nasi donoszą, że lud izraelski zaczyna pragnąć króla. Zanim więc dziecko urośnie, żąda-

nia ich dojrzeją, a wtedy... my im damy władcę i zaprawdę pięknej krwi...

— Jesteś jak orzeł, który jednem spojrzeniem obejmuje wschód i zachód... — odparła królowa, z podziwem patrząc na ministra. — Czuję, że mój wstręt do tej dziewczyny zaczyna słabnąć.

— Najmniejsza kropla krwi faraonów powinna wznosić się nad narodami, jak gwiazda nad ziemią — rzekł Herhor.

W tej chwili czółenko następcy tronu płynęło zaledwie o kilkadziesiąt kroków od dworskiego statku, a małżonka faraona, zasłoniwszy się wachlarzem, przez jego pióra spojrzała na Sarę.

— Zaprawdę, ona jest ładna!... — szepnęła.

— Już drugi raz mówisz to, czcigodna pani.

— Więc i o tem wiesz?... — uśmiechnęła się jej dostojność.

Herhor spuścił oczy.

Na czółenku odezwała się arfa i Sara drżącym głosem zaczęła pieśń:

— Jak wielkim jest Pan, jakże wielkim jest Pan, twój Bóg, Izraelu!...

— Prześliczny głos!... — szepnęła królowa.

Arcykapłan słuchał z uwagą.

— Dni Jego nie mają początku — śpiewała Sara — a dom Jego nie ma granic. Odwieczne niebiosa pod Jego okiem zmieniają się jak szaty, które człowiek wdziewa na siebie i odrzuca. Gwiazdy zapalają się i gasną, jak iskry z twardego drzewa, a ziemia jest jak cegła, której przechodzień raz dotknął nogą, idąc wciąż dalej.

Jakże wielkim jest twój Pan, Izraelu. Niemasz takiego, któryby Mu powiedział: „Zrób to!“ ani łona, któreby Go wydało. On uczynił niezmierne otchłanie, ponad któremi unosi się, kędy chce. On z ciemności wydobywa światło, a z prochu ziemi twory głos wydające.

On srogie lwy ma za szarańczę, ogromnego słonia waży za nic, a wieloryb jest przy Nim, jak niemowlę.

Jego trójbarwny łuk dzieli niebiosa na dwie części i opiera się na krańcach ziemi. Gdzież jest brama, któraby Mu dorównała wielkością? Na grzmot Jego wozu narody truchleją, i niemasz pod słońcem, kto ostałby się przed Jego migotliwemi strzałami.

Jego oddechem jest wiatr północny, który orzeźwia zemdlałe drzewa, a Jego dmuchnięciem jest chamzin, który pali ziemię.

Kiedy wyciągnie rękę Swoją nad wody, woda staje się kamieniem, On przelewa morza na nowe miejsca, jak niewiasta kwas do dzieży. On rozdziera ziemię niby zbutwiałe płótno, a łyse szczyty gór nakrywa srebrnym śniegiem.

On w pszenicznem ziarnie chowa sto innych ziarn i sprawia, że lęgną się ptaki. On z sennej poczwarki wydobywa złotego motyla, a ludzkim ciałom w grobach każe oczekiwać na zmartwychwstanie.

Zasłuchani w śpiew wioślarze podnieśli wiosła, i purpurowy statek królewski zwolna spłynął

sam z biegiem rzeki. Nagle Herhor podniósł się i zawołał:

— Skręcić do Memfis!...

Wiosła uderzyły, statek zawrócił w jednem miejscu i z szumem zaczął się wdzierać wgórę wody. Za nim goniła stopniowo milknąca pieśń Sary:

— On widzi ruch serca mszycy i ukryte ścieżki, po których chadza najsamotniejsza myśl ludzka. Lecz niemasz takiego, któryby Jemu spojrzał w serce i odgadł Jego zamiary.

Przed blaskiem Jego szat wielkie duchy zasłaniają swoje oblicze. Przed Jego spojrzeniem bogowie potężnych miast i narodów skręcają się i schną jako liść zwiędły.

On jest mocą, On jest życiem, On jest mądrością, On twój Pan, twój Bóg, Izraelu!...

— Dlaczego wasza dostojność kazałeś odsunąć nasz statek? — zapytała czcigodna Nikotris.

— Czy wiesz pani, co to jest za pieśń?... — odparł Herhor w języku zrozumiałym tylko dla kapłanów. — Przecież ta głupia dziewczyna, na środku Nilu, śpiewa modlitwę, którą wolno odmawiać tylko w najtajemniejszym przybytku naszych świątyń...

— Więc to jest bluźnierstwo?...

— Szczęście, że na tym statku znajduje się tylko jeden kapłan — mówił minister. — Ja tego nie słyszałem, a choćbym słyszał, zapomnę. Lękam się jednak, czy bogowie nie położą ręki na tej dziewczynie.

— Ale skądże ona zna tę straszną modlitwę?... Przecież Ramzes jej nie mógł nauczyć?...

— Książę nic niewinien. Ale nie zapominaj pani, że żydzi niejeden taki skarb wynieśli z naszego Egiptu. Dlatego między wszystkiemi narodami ziemi traktujemy ich jako świętokradców.

Królowa wzięła za rękę arcykapłana.

— Ale memu synowi — szeptała, patrząc mu w oczy, — nie stanie się nic złego.

— Ręczę pani, że nikomu nie stanie się nic złego, skoro ja nie słyszałem i nic nie wiem. Ale księcia trzeba rozdzielić z tą dziewczyną...

— Łagodnie rozdzielić!... prawda, namiestniku? — pytała matka.

— Jak najłagodniej, jak najnieznaczniej, ale trzeba.... Zdawało mi się — mówił arcykapłan, jakby do siebie — że wszystko przewidywałem... Wszystko, z wyjątkiem procesu o bluźnierstwo, który przy tej dziwnej kobiecie wisi nad następcą tronu!...

Herhor zamyślił się i dodał:

— Tak, czcigodna pani! Można śmiać się z wielu naszych przesądów: niemniej prawdą jest, że syn faraona nie powinien łączyć się z żydówką.

ROZDZIAŁ XVII.

Od owego wieczora, kiedy Sara śpiewała w łódce, statek dworski już nie ukazywał się na Nilu, a książę Ramzes począł nudzić się na dobre.

Nadchodził miesiąc Mehir, grudzień. Wody opadały niżej, ziemia rozlegała się coraz szerzej, trawa była codzień wyższa i gęstsza, a wśród niej, jak barwne iskry, zapalały się kwiaty przerozmaitych kolorów, niezrównanego zapachu. Niby wyspy na zielonem morzu, ukazywały się, w ciągu jednego dnia, kwieciste kępy: białe, niebieskie, żółte, różowe, albo pstre kobierce, z których dyszała woń upajająca.

Mimo to książę nudził się, a nawet czegoś lękał. Od wyjazdu ojca sam nie był w pałacu i nikt stamtąd u niego, nie wyłączając Tutmozisa, który po ostatniej rozmowie przepadł jak wąż w trawie. Czy szanowano jego samotność, czy chciano mu dokuczyć, czy wprost lękano się odwiedzać księcia, dotkniętego niełaską?... Ramzes nie wiedział.

— A może ojciec i mnie odsunie od tronu, jak starszych braci?... — myślał niekiedy następca, i pot występował mu na czoło, a nogi ziębły.

Co on począłby w takim razie?...

W dodatku — Sara była niezdrowa: chudła, bladła, wielkie oczy zapadały się, czasem z rana narzekała na mdłości.

— Pewnie kto czary rzucił na nieboge!... — jęczała chytra Tafet, której książę nie mógł znosić za jej gadulstwo i bardzo mizerne praktyki.

Parę razy naprzykład widział następca, że Tafet wieczorami wyprawiała do Memfis ogromne kosze z jadłem, bielizną, nawet z naczyniami. Na drugi zaś dzień w niebogłosy narzekała, że w domu brak mąki, wina lub garnków. Od czasu bowiem,

jak następca sprowadził się na folwark, wychodziło dziesięć razy więcej różnych produktów, niż dawniej.

„Jestem pewny — myślał Ramzes — że ta gadatliwa jędza okrada mnie dla swoich żydów, którzy w dzień znikają z Memfisu, ale w nocy roją się po najbrudniejszych zaułkach, jak szczury!...“

W tych czasach jedyną rozrywką księcia było przypatrywać się zbieraniu daktylów.

Nagi chłop stawał pod wysoką, bezgałęzistą palmą, otaczał pień i siebie sznurem, jak luźną obręczą, i wchodził na drzewo piętami, całem ciałem odsadzony wtył; sznur zaś utrzymywał go, przyciskając do drzewa. Potem sznurową obręcz posuwał na pniu o kilka cali wyżej, wspinał się, znowu posuwał sznur, i w ten sposób, ciągle narażając się na złamanie karku, właził niekiedy o parę piętr wysoko, na szczyt, gdzie rosła kępa dużych liści i daktyle.

Świadkiem tych ćwiczeń gimnastycznych był nietylko książę, ale i dzieci żydowskie. Z początku nie było ich. Potem między krzakami i z poza muru zaczęły wychylać się kędzierzawe główki i czarne, błyszczące oczy. Potem, spostrzegłszy, że książę nie płoszy ich, dzieci wyszły ze swoich ukryć i bardzo powoli zbliżyły się do obrywanego drzewa. Najśmielsza z pomiędzy dziewcząt podniosła z ziemi piękny daktyl i podała go Ramzesowi. Jeden z chłopców zjadł sam najmniejszy daktyl, a następnie dzieci poczęły już to same jeść, już to częstować księcia owocami. Z początku przynosiły

mu najlepsze, później gorsze, wkońcu całkiem zepsute.

Przyszły władca świata zamyślił się i rzekł w duchu:

— Oni wszędzie wlezą i zawsze tak mnie będą częstowali: dobrem na przynętę, zepsutem na podziękowanie!...

Wstał i odszedł pochmurny, a dziatwa Izraela, jak rój ptaków, rzuciła się na pracę egipskiego chłopa, który wysoko, nad ich głowami, nucił piosenkę, nie myśląc ani o swoich kościach, ani o tem, że zbiera nie dla siebie.

Niezrozumiała choroba Sary, częste jej łzy, zanikanie wdzięków, a nadewszystko żydzi, którzy, przestawszy się kryć, coraz głośniej gospodarowali na folwarku, do reszty obmierziły księciu ten piękny zakątek ziemi. Nie pływał już czółnem, nie polował, nie patrzył na zbieranie daktylów, lecz pochmurny błąkał się po ogrodzie, lub z tarasu śledził zamek królewski.

Niewezwany, nigdy nie wróciłby do dworu, ale już zaczął myśleć o wyjeździe do dóbr, położonych w Dolnym Egipcie, obok morza.

W takim nastroju ducha znalazł go Tutmozis, który pewnego dnia na paradnym dworskim statku przyjechał do następcy z wezwaniem od faraona.

Jego świątobliwość wracał dzisiaj z Tebów i pragnął, ażeby następca tronu wyjechał naprzeciw, powitać go.

Książę drżał, bladł i rumienił się, gdy czytał łaskawy list pana i władcy. Był tak wzruszony,

że nawet nie zauważył nowej kolosalnej peruki Tutmozisa, wydającej z siebie piętnaście różnych zapachów, nie spostrzegł jego tuniki i płaszcza, delikatniejszego od mgły, ani sandałów, zdobnych złotemi pierścionkami.

Po niejakim czasie Ramzes ochłonął i, nie patrząc na Tutmozisa, rzekł:

— Cóżeś tak dawno nie był u mnie? Czy przestraszyła cię niełaska, w jaką wpadłem?...

— Bogowie! — zawołał elegant. — A kiedyżeś ty był w niełasce i u kogo? Każdy goniec jego świątobliwości zapytywał, jak się miewasz; zaś czcigodna pani Nikotris i jego dostojność, Herhor, kilka razy podpływali do twego domu, licząc, że zrobisz ku nim choć sto kroków, gdy oni zrobili parę tysięcy... O wojsku już i nie wspominam. Żołnierze twoich pułków jak palmy milczą podczas mustry i nie wychodzą z koszar, a dostojny Patrokles ze zmartwienia całe dni pije i klnie...

A więc książę nie był w niełasce, a jeżeli i był, to już się skończyła!... Ta myśl podziałała na Ramzesa, jak puhar dobrego wina. Szybko wykąpał się i namaścił, włożył nową bieliznę, nowy kaftan i hełm z piórami i poszedł do Sary, która, blada, leżała pod opieką Tafet.

Sara aż krzyknęła, zobaczywszy księcia tak ubranego. Usiadła i, schwyciwszy go rękoma za szyję, poczęła szeptać:

— Ty odjeżdżasz, panie mój?... Ty już nie wrócisz!...

— A to dlaczego? — zdziwił się następca. — Czyliż raz odjeżdżałem i wracałem?...

— Pamiętam cię tak samo odzianym tam... w naszej dolinie... — mówiła Sara. — O, gdzież te czasy!... Tak prędko przeszły, a tak dawno minęły!

— Ależ wrócę i przywiozę ci najznakomitszego lekarza.

— Poco?... — wtrąciła Tafet. — Ona jest zdrowa, pawica moja... jej trzeba tylko odpocząć... A lekarze egipscy wpędzą ją w prawdziwą chorobę...

Książę nawet nie spojrzał na gadatliwą kobietę.

— To był mój najszczęśliwszy miesiąc z tobą — mówiła Sara, tuląc się do Ramzesa — ale nie przyniósł mi szczęścia.

Na statku królewskim zatrąbiono, powtarzając sygnał, dany wgórze rzeki.

Sara wstrząsnęła się.

— O, czy słyszysz, panie, te straszne głosy?... Słyszysz i uśmiechasz się i, biada mi, wyrywasz się z moich objęć!... Kiedy trąbki wołają, nic cię nie zatrzyma, a już najmniej twoja niewolnica...

— Chciałażbyś, ażebym zawsze słuchał gdakania kur folwarcznych?... — przerwał zniecierpliwiony książę. — Bądź zdrowa i wesoła czekaj na mnie...

Sara wypuściła go z objęć i spojrzała tak żałośnie, że następca złagodniał i pogłaskał ją.

— No, bądźże spokojna... Boisz się głosu naszych trąb... Alboż one wtedy złą były wróżbą?...

— Panie — odezwała się Sara — ja wiem, że oni cię tam zatrzymają... Więc zrób mi ostatnią łaskę... Dam ci — mówiła, szlochając — dam ci klatkę gołąbków... One tu urodziły się i wzrosły... Więc ile razy wspomnisz o słudze twej, otwórz klatkę i wypuść jednego ptaka... On mi wiadomość przyniesie od ciebie, a ja... ucałuję go... upieszczę, jak... jak... No, już idź!

Książę uścisnął ją i wyszedł do statku, polecając swemu murzynowi, aby zaczekał na gołębie Sary i dopędził go w lekkiem czółnie.

Na widok następcy odezwały się bębny i piszczałki, a osada podniosła wielki krzyk. Znalazłszy się między żołnierzami, książę głęboko odetchnął i przeciągnął ręce, jakby uwolnione z powrozów.

— No — rzekł do Tutmozisa — dokuczyły mi już i baby i żydzi... Ozyrysie!... lepiej każ mnie natychmiast upiec przy powolnym ogniu, ale nie osadzaj drugi raz na folwarku.

— Tak — potwierdził Tutmozis — miłość jest jak miód; ze smakiem można jej kosztować, ale niepodobna kąpać się w niej. Brr!... aż mnie ciarki przechodzą, kiedy pomyślę, żeś blisko dwa miesiące spędził, karmiony pocałunkami w wieczór, daktylami z rana, a oślem mlekiem w południe...

— Sara jest bardzo dobra dziewczyna—wtrącił książę.

— Ja też nie mówię o niej, tylko o tych żydach, którzy obsiedli folwark, jak papirus moczary.

Czy widzisz, że jeszcze wyglądają za tobą, a może nawet zasyłają ci pozdrowienia... — prawił pochlebca.

Książę z niechęcią odwrócił się w inną stronę, a Tutmozis wesoło mrugnął na oficerów, jakby chciał im dać do zrozumienia, że Ramzes nieprędko rzuci ich towarzystwo.

Im bardziej posuwali się wgórę rzeki, tem gęściej było ludu na obu brzegach i czółen na Nilu, tem więcej płynęło kwiatów, wieńców i bukietów, rzucanych pod statek faraona.

O milę za Memfisem stały ciżby z chorągwiami, bogami i muzyką, i rozlegał się wielki gwar, podobny do zgiełku burzy.

— Otóż i jego świątobliwość! — zawołał radośnie Tutmozis.

Oczom patrzących ukazał się jedyny widok. Środkiem szerokiego zakrętu płynęła ogromna łódź faraona, z przodem podniesionym jak łabędź. Z prawej i lewej strony, niby dwa olbrzymie skrzydła, sunęły niezliczone łódki poddanych, a ztyłu, niby bogaty wachlarz, roztaczał się orszak władcy Egiptu.

Kto żył — krzyczał, śpiewał, klaskał lub rzucał kwiaty do stóp panu, którego nawet nikt nie widział. Dość było, że nad złocistym namiotem i pękami strusich piór powiewała czerwono-niebieska chorągiew, znak obecności faraona.

Ludzie w łódkach byli jak pijani, ludzie na brzegu jak oszaleli. Co chwila jakieś czółno potrącało lub wywracało inne i ktoś wpadał w wodę, z której na szczęście uciekły krokodyle, spłoszone

niebywałym hałasem. Na brzegach popychano się, nikt bowiem nie patrzył na sąsiada, na ojca, na dziecko, ale obłąkane oczy wlepiał w złocisty dziób łodzi i w namiot królewski. Nawet ludzie tratowani, którym rozhukany tłum bezmyślnie gniótł żebra i skręcał stawy, nie mieli innego okrzyku nad ten:

— Żyj wiecznie, władco nasz!... świeć, słońce Egiptu!

Szał powitalny niebawem udzielił się i łodzi następcy tronu: oficerowie, żołnierze i wioślarze, zbici w jeden tłum, krzyczeli na wyścigi, a Tutmozis, zapominając o następcy tronu, wdarł się na wysoki przód statku i o mało nie wleciał w wodę.

Wtem z królewskiej łodzi zatrąbiono, i po chwili odpowiedziała trąbka ze statku Ramzesa. Drugi sygnał i — czółno następcy przybiło do wielkiej łodzi faraona.

Jakiś urzędnik wezwał Ramzesa. Między statki rzucono cedrowy mostek z rzeźbionemi poręczami i — książę znalazł się wobec ojca.

Widok faraona, czy burza okrzyków huczących dokoła, tak oszołomiły księcia, że nie mógł wypowiedzieć ani słowa. Upadł ojcu do nóg, a pan świata przycisnął go do swej boskiej piersi.

W chwilę później, podniesiono boczne ściany namiotu i cały lud z obu brzegów Nilu ujrzał swego władcę na tronie, a na najwyższym stopniu klęczącego, z głową na ojcowskich piersiach księcia Ramzesa.

Stała się cisza, że było słychać szelest chorą-

giewek na statkach. I nagle wybuchnął ogromny krzyk, większy aniżeli wszystkie dotychczasowe. Uczcił nim lud egipski pojednanie ojca z synem, pozdrawiał obecnego, witał przyszłego pana.

Jeżeli ktokolwiek rachował na niesnaski w świętej rodzinie faraona, mógł dziś przekonać się, że nowa gałąź królewska mocno trzyma się pnia.

Jego świątobliwość wyglądał bardzo mizernie.

Po czułem przywitaniu syna, kazał mu usiąść obok tronu i rzekł:

— Dusza moja rwie się do ciebie, Ramzesie, tem goręcej, im lepsze miałem wieści o tobie. Dziś widzę, że jesteś nietylko młodzianem o lwiem sercu, ale i mężem pełnym roztropności, który umie ocenić własne postępki, potrafi hamować się i ma poczucie interesów państwowych.

A gdy wzruszony książę milczał i całował ojcowskie nogi, pan mówił dalej:

— Dobrze postąpiłeś, zrzekając się dwu pułków greckich, należy ci się bowiem korpus Menfi, którego od dzisiaj jesteś wodzem...

— Ojcze mój!... — szepnął drżący następca.

— Nadto, w Dolnym Egipcie, z trzech stron otwartym na ataki nieprzyjaciół, potrzebny mi jest mąż dzielny i rozumny, któryby wszystko dokoła widział, rozważył w sercu swojem i szybko działał w nagłych wypadkach. Z tego powodu, w tamtej połowie królestwa, ciebie mianuję moim namiestnikiem.

Ramzesowi obfite łzy popłynęły z oczu. Żegnał niemi swoją młodość, witał władzę, do której od

wielu lat z tęsknością i niepokojem zwracała się jego dusza.

— Jestem już człowiek zmęczony i schorzały — mówił władca — i gdyby nie troska o twój wiek młodociany i przyszłość państwa, dziś jeszcze prosiłbym wiecznie żyjących przodków, aby mnie odwołali do swej chwały. Lecz z każdym dniem jest mi ciężej, i dlatego, Ramzesie, zaczniesz już podzielać ze mną brzemię władzy. Jak kokosz uczy swoje pisklęta wyszukiwać ziarn i chronić się przed jastrzębiem, tak ja nauczę ciebie pełnej trudów sztuki rządzenia państwem i śledzenia obrotów nieprzyjaciół. Obyś z czasem padł na nich, jak orzeł na płoche kuropatwy!

Łódź królewska i jej strojny orszak przybiły pod pałac. Strudzony pan wsiadł do lektyki, a w tej chwili do następcy zbliżył się Herhor.

— Pozwól, dostojny książę — odezwał się — abym był pierwszym z tych, którzy radują się twojem wyniesieniem. Obyś z równem szczęściem przewodził wojskom, jak rządził najważniejszą prowincją państwa na chwałę Egiptu!

Ramzes mocno uścisnął mu rękę.

— Tyś to zrobił, Herhorze? — spytał.

— To ci się należało — odparł minister.

— Masz moją wdzięczność i przekonasz się, że jest coś warta.

— Jużeś mnie wynagrodził, mówiąc tak — odpowiedział Herhor.

Książę chciał odejść, Herhor jeszcze go zatrzymał.

— Małe słówko — rzekł. — Ostrzeż, następco, jedną z twych kobiet, Sarę, ażeby nie śpiewała pieśni religijnych...

A gdy Ramzes patrzał na niego zdziwiony, dodał:

— Wtedy, podczas przejażdżki na Nilu, dziewczyna ta śpiewała nasz najświętszy hymn, którego ma prawo słuchać tylko faraon i arcykapłani. Biedne dziecko mogło ciężko odpokutować za swoją umiejętność śpiewu i niewiadomość o tem, co śpiewa.

— Więc ona popełniłaby bluźnierstwo?... — spytał zmieszany książę.

— Mimowolne — odpowiedział arcykapłan.— Na szczęście, tylko ja słyszałem i sądzę, że między tą pieśnią i naszym hymnem jest podobieństwo bardzo odległe. W każdym razie niech jej już nigdy nie powtarza.

— No i powinna się oczyścić — wtrącił książę. Czy dość będzie dla cudzoziemki, jeżeli ofiaruje świątyni Izydy trzydzieści krów?

— Owszem, niech ofiaruje — odparł Herhor z lekkim grymasem. — Bogowie nie obrażają się za dary...

— Ty zaś, szlachetny panie — mówił Ramzes — racz przyjąć cudowną tarczę, którąm dostał od mego świętego dziada...

— Ja?... tarczę Amenhotepa??... — zawołał wzruszony minister. — Czyliżem jej godzien?...

— Mądrością dorównywasz memu dziadowi, a stanowiskiem dorównasz.

Herhor, milcząc, złożył głęboki ukłon. Ow

złota tarcza, wysadzana drogiemi kamieniami, oprócz wielkiej wartości pieniężnej, miała jeszcze znaczenie amuletu; była więc królewskim darem.

Ale bardziej doniosłe znaczenie miały słowa księcia, że — Herhor stanowiskiem dorówna Amenhotepowi. Amenhotep był teściem faraona... Czyby następca zdecydował się już poślubić córkę jego, Herhora?...

Było to ulubione marzenie ministra i królowej Nikotris. Trzeba jednak przyznać, że Ramzes, mówiąc o przyszłych dostojeństwach Herhora, bynajmniej nie myślał o żenieniu się z jego córką, lecz o daniu mu nowych urzędów, których było pełno w świątyniach i przy dworze.

ROZDZIAŁ XVIII.

Od dnia, kiedy został namiestnikiem Dolnego Egiptu, zaczęło się dla Ramzesa życie niesłychanie uciążliwe, jakiego nie domyślał się nawet, pomimo, że urodził się i wyrósł wśród królewskiego dworu.

Wprost tyranizowano go, a katami byli interesanci różnych gatunków i rozmaitych klas społecznych.

Już w pierwszym dniu, na widok tłumu ludzi, którzy, cisnąc się i popychając, mimowolnie wydeptywali mu trawniki, łamali drzewa, nawet psuli mur otaczający, następca do swej willi zażądał warty. Ale trzeciego dnia musiał uciec ze swego domu, w obręb właściwego pałacu, gdzie z powodu

gęstej straży, a nadewszystko wysokich murów, dostęp dla zwykłych ludzi był utrudniony.

W ciągu dekady, poprzedzającej wyjazd, przed oczyma Ramzesa przemknęli się przedstawiciele całego Egiptu, jeżeli nie całego ówczesnego świata.

Najpierw puszczano wielkich. Więc przychodzili pozdrawiać go: arcykapłani świątyń, ministrowie, posłowie feniccy, greccy, żydowscy, asyryjscy, nubijscy, których nawet ubiorów nie mógł spamiętać. Dalej szli naczelnicy sąsiednich nomesów, sędziowie, pisarze, wyżsi oficerowie korpusu Menfi i posiadacze ziemscy.

Ludzie ci nie żądali niczego, wypowiadali tylko swoją radość. Ale książę, słuchając ich od rana do południa i od południa do wieczora, czuł zamęt w głowie i drżenie we wszystkich członkach.

Potem przyszli reprezentanci niższych klas z darami: kupcy ze złotem, bursztynem, zagranicznemi tkaninami, pachnidłami i owocami. Potem bankierzy i wypożyczający na procenta. Dalej — architekci z planami nowych budowli, rzeźbiarze z projektami posągów i płaskorzeźb, kamieniarze, fabrykanci naczyń glinianych, stolarze zwyczajni i ozdobni, kowale, giserzy, garbarze, winiarze, tkacze, nawet paraszytowie, którzy otwierali ciała zmarłych.

Jeszcze nie skończyła się procesja hołdowników a już nadciągnęła armja proszących. Inwalidzi, wdowy i sieroty po oficerach domagali się pensji; szlachetni panowie — dworskich urzędów dla synów. Inżynierowie przynosili projekta nowych sposobów irygacji, lekarze środki przeciw wszel-

kim chorobom, wróżbici horoskopy. Krewni więźniów podawali prośby o zmniejszenie kary, skazani na śmierć o darowanie życia, chorzy błagali, aby następca dotknął ich, lub udzielił im swej śliny.

Zgłaszały się wreszcie piękne kobiety, tudzież matki dorodnych córek, pokornie i natrętnie prosząc, aby namiestnik przyjął je do swego domu. Niektóre oznaczały wysokość żądanej pensji, zachwalały swoje dziewictwo i talenta.

Po dziesięciu dniach przypatrywania się co chwila nowym osobom i twarzom i wysłuchiwania próśb, które zaspokoić mógłby chyba majątek całego świata i boska potęga, książę Ramzes wyczerpał się. Nie mógł sypiać, był tak rozdrażniony, że irytował go brzęk muchy, i chwilami nie rozumiał: o czem mówią do niego?

W tem położeniu znowu Herhor przyszedł mu z pomocą. Możnym kazał zapowiedzieć, że książę już nie przyjmuje interesantów, a na lud, który, mimo kilkakrotnych wezwań do rozejścia się, wciąż czekał, wysłał kompanję numidyjskich żołnierzy z kijami. Tym udało się bez porównania łatwiej, aniżeli Ramzesowi, zadowolić ludzką pożądliwość. Zanim bowiem minęła godzina, interesanci zniknęli z placu, niby mgła, a ten i ów przez parę dni następnych okładał wodą głowę, lub inną rozbitą część ciała.

Po tej próbie piastowania najwyższej władzy książę uczuł głęboką wzgardę dla ludzi i wpadł w apatję.

Dwa dni leżał na kanapie, z rękoma pod głową,

bezmyślnie patrząc w sufit. Już nie dziwił się, że jego świątobliwość ojciec przepędza czas pod ołtarzami bogów, lecz nie mógł pojąć, jakim sposobem Herhor daje sobie radę z nawałem podobnych interesów, które, jak burza, nietylko przewyższają siły człowieka, lecz nawet mogą zmiażdżyć.

„W jaki sposób przeprowadzić tu swoje plany, jeżeli tłum interesantów pęta naszą wolę, pożera myśli, wypija krew?... Po dziesięciu dniach jestem chory, po roku chybabym ogłupiał... Na tym urzędzie niepodobna robić żadnych projektów, lecz poprostu bronić się od szaleństwa...“

Był tak zatrwożony bezsilnością na stanowisku władcy, że — wezwał Herhora i, jękliwym głosem, opowiedział mu swoje utrapienie.

Mąż stanu z uśmiechem słuchał biadań młodego sternika nawy państwowej, wreszcie rzekł:

— Czy wiesz, panie, że ten ogromny pałac, w którym mieszkamy, wzniósł tylko jeden budowniczy, imieniem Senebi, który w dodatku — umarł, przed ukończeniem go?... A z pewnością zrozumiesz, dlaczego wiecznie żyjący ten architekt mógł wykonać swój plan, nigdy nie zmęczywszy się i zawsze mając wesoły umysł?

— Ciekawym?...

— Oto on sam nie robił wszystkiego; nie ciosał belek i kamieni, nie wygniatał cegły, nie nosił jej na rusztowania, nie układał i nie spajał. On tylko wymalował plan, a jeszcze i do tego miał pomocników.

Ty zaś, książę, wszystko chciałeś wykonać

sam, sam wysłuchać i załatwić wszelkie interesa. To przechodzi człowiecze siły.

— Jakże miałem robić inaczej, jeżeli między proszącymi znajdowali się niewinnie pokrzywdzeni, albo zasługa niewynagrodzona? Przecież fundamentem państwa jest sprawiedliwość — odparł następca.

— Ilu książę możesz wysłuchać dziennie, bez zmęczenia? — spytał Herhor.

— No... dwudziestu...

— Toś szczęśliwy. Ja słucham najwyżej sześciu lub dziesięciu, lecz nie są nimi interesanci, tylko—wielcy pisarze, nadzorcy i ministrowie. Każdy z nich nie donosi mi drobiazgów, lecz rzeczy najważniejsze, jakie dzieją się: w armji, w dobrach faraona, w sprawach religijnych, w sądach, w nomesach, w ruchach Nilu. Dlatego zaś nie donoszą mi błahostek, że każdy z nich, zanim przyszedł do mnie, musiał wysłuchać dziesięciu pisarzy mniejszych. Każdy mniejszy pisarz i dozorca zebrał wiadomości od dziesięciu podpisarzy i poddozorców, a tamci znowu wysłuchali raporta od dziesięciu niższych urzędników.

Tym sposobem ja i jego świątobliwość, rozmawiając tylko z dziesięciu ludźmi dziennie, wiemy: co ważniejszego stało się w stu tysiącach punktów kraju i świata.

Wartownik, który czuwa na kawałku ulicy w Memfis, widzi tylko kilka domów. Dziesiętnik zna całą ulicę, setnik — oddział miasta, naczelnik całe miasto. Faraon zaś stoi ponad nimi wszystkimi, niby

na najwyższym pylonie świątyni Ptah, i widzi nietylko Memfis, ale jeszcze miasta: Sochem, On, Cherau, Turra, Tetaui, ich okolice i kawałek pustyni zachodniej.

Z tej wysokości jego świątobliwość nie spostrzega wprawdzie ludzi skrzywdzonych, albo nienagrodzonych, ale dojrzy tłum gromadzących się bez zajęcia robotników. Nie zobaczy żołnierza w szynkowni, ale pozna: czy pułk odbywa musztrę. Nie widzi: co gotuje na obiad jakiś chłop albo mieszczanin, ale dostrzeże pożar zaczynający się w dzielnicy.

Ten porządek państwowy — mówił, ożywiając się, Herhor — jest naszą chwałą i potęgą. A kiedy Snofru, jeden z faraonów najpierwszej dynastji, spytał pewnego kapłana: jakiby sobie pomnik wystawić? — ten odpowiedział:

— Wyrysuj, panie, na ziemi kwadrat i połóż na nim sześć miljonów głazów — one przedstawią lud. Na tej warstwie połóż sześćdziesiąt tysięcy kamieni ociosanych — to będą twoi niżsi urzędnicy. Na tem ułóż sześć tysięcy kamieni wygładzonych— to będą wyżsi urzędnicy. Na tem postaw sześćdziesiąt sztuk pokrytych rzeźbą — to będą twoi najbliżsi doradcy i wodzowie, a na szczycie połóż jedną bryłę ze złotym wizerunkiem słońca — a będziesz ty sam.

Tak też zrobił faraon Snofru i w ten sposób powstała najstarsza piramida schodowa — rzetelny obraz naszego państwa — z której urodziły się wszystkie inne. Są to budowle niewzruszone, z któ-

rych szczytu widać krańce świata, a które będą podziwem najodleglejszych pokoleń.

— W takiem urządzeniu — ciągnął minister — spoczywa i nasza przewaga nad sąsiadami. Etjopowie byli również liczni, jak my. Lecz ich król sam troszczył się o swoje bydło, sam bił kijem poddanych i ani wiedział, ilu ich ma, ani potrafił gromadzić ich, gdy wkroczyły nasze wojska. Tam nie było jednej Etjopji, ale wielka gromada ludzi nieuporządkowanych. Więc dzisiaj są naszymi wasalami.

Książę libijski sam sądzi każdą sprawę, szczególnie między ludźmi bogatymi, i tyle oddaje im czasu, że prawie nie może obejrzeć się za siebie. To też, pod jego bokiem, rodzą się całe bandy rozbójników, których my wytępiamy.

Wiedz jeszcze i o tem, panie, że gdyby w Fenicji był jeden wspólny władca, któryby wiedział co się dzieje i rozkazywał we wszystkich miastach, kraj ten nie płaciłby nam ani utena danin. A co to za szczęście dla nas, że królowie Niniwy i Babelu mają tylko po jednym ministrze i tak są zmęczeni nawałem spraw, jak ty dzisiaj! Oni wszystko sami chcą widzieć, sądzić i rozkazywać, przez co na sto lat zawikłali sprawy państwa. Lecz gdyby znalazł się jaki nikczemny pisarz egipski, który poszedłby tam, wytłumaczył królom ich błędy w rządzeniu i zaprowadził naszą urzędniczą hierarchję, naszą piramidę, za kilkanaście lat Judea i Fenicja wpadłyby w ręce Asyryjczyków, a za kilkadziesiąt lat — od wschodu i północy, lądem i morzem

zwaliłyby się na nas potężne armje, którym moglibyśmy nie dać rady.

— Więc dzisiaj my napadnijmy ich, korzystając z nieładu! — zawołał książę.

— Jeszcze nie wyleczyliśmy się z poprzednich naszych zwycięstw — odparł zimno Herhor i zaczął żegnać Ramzesa.

— Albo zwycięstwa osłabiły nas? — wybuchnął następca. — Alboż nie zwieźliśmy skarbów?...

— A czy nie psuje się topór, którym ścinamy drzewo?... — zapytał Herhor i wyszedł.

Książę zrozumiał, że wielki minister chce spokoju za wszelką cenę, pomimo, że sam jest naczelnikiem armji.

— Zobaczymy!... — szepnął do siebie.

Na parę dni przed wyjazdem, Ramzes wezwany został do jego świątobliwości. Faraon siedział na fotelu w marmurowej sali, w której nie było nikogo, a czterech wejść strzegły nubijskie warty.

Obok fotelu królewskiego stał taboret dla księcia i mały stolik, założony dokumentami, pisanemi na papirusie. Na ścianach były kolorowane płaskorzeźby, wyobrażające zajęcia rolne, a w rogach sali sztywne posągi Ozyrysa, z melancholijnym uśmiechem na ustach.

Kiedy książę na rozkaz ojca usiadł, jego świątobliwość odezwał się:

— Masz tu, książę, twoje dokumenta, jako wódz i namiestnik. Cóż, podobno pierwsze dni władzy zmęczyły cię?....

— W służbie waszej świątobliwości znajdę siły.

— Pochlebca!... — uśmiechnął się pan. — Pamiętaj, że nie chcę, ażebyś się zapracowywał... Baw się, młodość potrzebuje rozrywki... Nie znaczy to jednak, ażebyś nie miał ważnych spraw do załatwienia.

— Jestem gotów.

— Po pierwsze... Po pierwsze odkryję ci moje troski. Skarb nasz źle wygląda: dopływ podatków jest co rok mniejszy, osobliwie z Dolnego Egiptu, a rozchody mnożą się...

Pan zamyślił się.

— Te kobiety... te kobiety, Ramzesie, pochłaniają bogactwa nietylko śmiertelnych ludzi, ale i moje. Mam ich kilkaset, a każda chce posiadać jak najwięcej pokojówek, modystek, fryzjerów, niewolników do lektyki, niewolników do pokoju, koni, wioślarzy, nawet swoich ulubieńców i dzieci... Małe dzieci!... Kiedy wróciłem z Tebów, jedna z tych pań, której nawet nie pamiętam, zabiegła mi drogę i, pokazując tęgiego trzyletniego chłopaka, żądała, abym mu wyznaczył majątek, gdyż ma to być mój syn... Trzyletni syn, czy uważasz wasza dostojność?... Rzecz prosta, nie mogłem spierać się z kobietą jeszcze w tak delikatnej sprawie. Ale — człowiekowi szlachetnie urodzonemu łatwiej być uprzejmym, aniżeli znaleźć pieniądze na każdą podobną fantazję...

Pokiwał głową, odpoczął i mówił dalej:

— Tymczasem moje dochody, od początku pa-

nowania, zmniejszyły się do połowy, szczególnie w Dolnym Egipcie. Pytam się: co to znaczy?... Odpowiadają: lud zubożał, ubyło wielu mieszkańców, morze zasypało pewną przestrzeń gruntów od północy, a pustynia od wschodu, było kilka lat nieurodzajnych, słowem awantura za awanturą, a w skarbie coraz płycej...

Proszę cię więc, ażebyś mi wyświetlił tę sprawę. Rozpatrz się, poznaj ludzi dobrze informowanych i prawdomównych i utwórz z nich komisję śledczą. Gdy zaś zaczną składać raporty, nie ufaj zbytecznie papirusowi, ale to i owo sprawdź osobiście. Słyszę, że masz oko wodza, a jeżeli tak jest, jedno spojrzenie nauczy cię, o ile są dokładne opowieści członków komisji.

Ale nie śpiesz się ze zdaniem, a nadewszystko — nie wygłaszaj go. Każdy ważny wniosek, jaki ci dziś przyjdzie do głowy — zapisz, a po kilku dniach znowu przypatrz się tej samej sprawie i znowu zapisz. To nauczy cię ostrożności w sądach i trafności w ogarnianiu przedmiotów.

— Stanie się, jak rozkazujesz, wasza świątobliwość — wtrącił książę.

— Druga misja, którą musisz załatwić, jest trudniejsza. Coś się tam dzieje w Asyrji, co mój rząd zaczyna niepokoić.

Kapłani nasi opowiadają, że za morzem północnem jest piramidalna góra, zwykle okryta zielonością u spodu a śniegiem u szczytu, która ma dziwne obyczaje. Po wielu latach spokoju, nagle zaczyna dymić, trząść się, huczeć, a potem wyrzuca

z siebie tyle płynnego ognia, ile jest wody w Nilu. Ogień ten kilkoma korytami rozlewa się po jej bokach i na ogromnej przestrzeni rujnuje pracę rolników.

Otóż Asyrja, mój książę, jest taką górą. Przez całe wieki panuje w niej spokój i cisza. Lecz nagle zrywa się wewnętrzna burza, niewiadomo skąd wylewają się wielkie armje i niszczą spokojnych sąsiadów.

Dziś, około Niniwy i Babelu słychać wrzenie: góra dymi. Musisz więc dowiedzieć się, o ile ten dym zwiastuje nawałnicę i — obmyśleć środki zaradcze.

— Czy potrafię?... — cicho spytał książę.

— Trzeba nauczyć się patrzeć — mówił władca. — Jeżeli chcesz co dobrze poznać, nie poprzestawaj na świadectwie własnych oczu, ale zapewnij sobie pomoc kilku par cudzych.

Nie ograniczaj się na sądach samych Egipcjan, bo każdy naród i człowiek ma wyłączny sposób widzenia rzeczy i nie chwyta całej prawdy. Wysłuchaj zatem, co myślą o Asyryjczykach: Fenicjanie, żydzi, Chetowie i Egipcjanie, i pilnie rozważ w sercu swem — co w ich sądach o Asyrji jest wspólnego.

Jeżeli wszyscy powiedzą ci, że od Asyrji idzie niebezpieczeństwo, poznasz, że ono idzie. Lecz jeżeli różni mówić będą rozmaicie, także czuwaj, bo mądrość każe przewidywać raczej złe aniżeli dobre.

— Mówisz, wasza świątobliwość, jak bogowie — szepnął Ramzes.

— Stary jestem, a z wysokości tronu widzi

się takie rzeczy, jakich nawet nie przeczuwają śmiertelni. Gdybyś słońca zapytał, co sądzi o sprawach świata, opowiedziałoby jeszcze ciekawsze nowiny.

— Między ludźmi, u których mam zasięgnąć zdania o Asyrji, nie wspominałeś ojcze Greków — wtrącił następca.

Pan pokiwał głową z dobrotliwym uśmiechem.

— Grecy!... Grecy!... — rzekł — wielka przyszłość należy do tego narodu. Przy nas są oni jeszcze dziećmi, ale jaka dusza w nich mieszka!...

Pamiętasz ty mój posąg, zrobiony przez greckiego rzeźbiarza?... To drugi ja, żywy człowiek!... Miesiąc trzymałem go w pałacu, lecz wkońcu — darowałem świątyni w Tebach. Czy uwierzysz: strach mnie zdjął, ażeby ten kamienny ja nie powstał ze swego siedzenia i nie upomniał się o połowę rządów... Jakiżby zamęt powstał w Egipcie!...

Grecy!... Czy ty widziałeś wazy, które oni lepią, pałacyki, które budują?... Z tej gliny i kamienia wypływa coś, co cieszy moją starość i każe zapominać o chorobie...

A mowa ich?... O bogowie, przecież to muzyka i rzeźba i malowidło!... Zaprawdę mówię, że gdyby Egipt mógł kiedy umrzeć, jak człowiek, dziedzictwo po nim objęliby Grecy. I jeszcze wmówiliby w świat, że to wszystko jest ich dziełem, a nas — że wcale nie było... A jednak są to tylko uczniowie naszych szkół wstępnych: cudzoziemcom bowiem, jak ci wiadomo, nie mamy prawa udzielać wyższych nauk.

— Mimo to, ojcze, zdajesz się nie ufać Grekom?

— Bo to szczególny naród: ani Fenicjanom, ani im nie można wierzyć. Fenicjanin, gdy chce, widzi i powie prawdę murowaną egipską... Ale nigdy nie wiesz: kiedy on chce powiedzieć prawdę? Zaś Grek, prosty jak dziecko, zawsze mówiłby prawdę, ale — tego już nie potrafi.

Oni cały świat widzą inaczej niż my. W ich dziwnych oczach każda rzecz tak błyszczy, koloryzuje się i mieni, jak niebo Egiptu i jego woda. Czy więc można polegać na ich zdaniu?

Za czasów dynastji tebańskiej, daleko na północy, było miasteczko Troja, jakich u nas liczy się 20.000. Na ten kurnik napadały rozmaite greckie włóczęgi i tak dokuczyli niemnogim mieszkańcom, że ci, po dziesięcioletnich niepokojach, spalili forteczkę i wynieśli się na inne miejsca.

Zwykła historja bandycka!... Tymczasem, patrz, jakie pieśni śpiewają Grecy o trojańskich walkach. Śmiejemy się z tych cudów i bohaterstw, boć nasz rząd miał dokładne sprawozdania o wypadkach. Widzimy bijące w oczy kłamstwa, a jednak... słuchamy tych pieśni, jak dziecko słucha bajek swej niańki i — nie możemy się od nich oderwać!...

Są to Grecy: urodzeni kłamcy, ale przyjemni, no i mężni. Każdy z nich prędzej poświęci życie, aniżeli powie prawdę. Nie dla interesu, jak Fenicjanie, ale z duchowej potrzeby.

— A co mam sądzić o Fenicjanach? — spytał następca.

— To są ludzie mądrzy, wielkiej pracy i od-

wagi, ale handlarze: dla nich całe życie mieści się w zarobku, byle dużym, największym!... Fenicjanin jest jak woda: wiele przynosi i wiele zabiera, a wciska się wszędzie. Trzeba dawać im jak najmniej, a nadewszystko czuwać, ażeby nie wchodzili do Egiptu szparami, pokryjomu.

Gdy im dobrze zapłacisz i dasz nadzieję jeszcze większego zarobku, będą wybornymi agentami. To, co dziś wiemy o tajemnych ruchach w Asyrji, wiemy przez nich.

— A żydzi? — szepnął książę, spuszczając oczy.

— Naród bystry, ale posępni fanatycy i urodzeni wrogowie Egiptu. Dopiero gdy poczują na karkach podkuty gwoździami sandał Asyrji, zwrócą się do nas. Bodajby nie za późno! Ale posługiwać się nimi można... Rozumie się, nie tu, tylko w Niniwie i Babelu.

Faraon był już zmęczony. Więc książę padł przed nim na twarz, a otrzymawszy uściśnienie ojcowskie, udał się do matki.

Pani, siedząc w swym gabinecie, tkała cienkie płótno na suknie dla bogów, a jej damy służebne szyły i haftowały odzież, albo robiły bukiety. Młody kapłan przed posągiem Izydy palił kadzidło.

— Przychodzę — rzekł książę — podziękować ci, matko, i pożegnać.

Królowa powstała i, objąwszy syna za szyję, mówiła ze łzami:

— Jakżeś ty się zmienił?... Jesteś już mężczy-

zną!... Tak rzadko cię spotykam, że mogłabym zapomnieć twoich rysów, gdybym ich ciągle nie widziała w mem sercu. Niedobry... Ja tyle razy z najwyższym dostojnikiem państwa jeździłam do folwarku, myśląc, że nareszcie przestaniesz mieć urazę, a ty wyprowadziłeś naprzeciw mnie nałożnicę...

— Przepraszam... przepraszam!... — mówił Ramzes, całując matkę.

Pani wyprowadziła go do ogródka, w którym rosły osobliwe kwiaty, a gdy zostali bez świadków — rzekła:

— Jestem kobietą, więc obchodzi mnie kobieta i matka. Czy chcesz wziąć z sobą tę dziewczynę, w podróż?... Pamiętaj, że hałas i ruch, jaki cię będzie otaczał, jej i dziecku może zaszkodzić. Dla kobiet brzemiennych najlepszą jest cisza i spokój.

— Czy mówisz o Sarze? — spytał zdziwiony Ramzes. — Ona brzemienna?... Nic mi o tem nie wspomniała...

— Może wstydzi się, że sama nie wie — odparła... — W każdym razie podróż...

— Ależ ja jej nie mam zamiaru brać!... — zawołał książę. — Tylko... dlaczego ona kryje się przede mną... jakby dziecko nie było moje?...

— Nie bądźże podejrzliwym!... — zgromiła go pani. — Jest to zwykła wstydliwość młodych dziewcząt... Wreszcie może ukrywała swój stan z obawy, abyś jej nie porzucił?...

— Przecież nie wezmę jej do mego dworu! — przerwał książę z taką niecierpliwością, że oczy królowej uśmiechnęły się, ale przysłoniła je rzęsami.

— No, nie wypada zbyt szorstko odpychać kobiety, która cię kochała. Wiem, że byt jej zapewniłeś. My jej też damy coś od siebie. I dziecko królewskiej krwi musi być dobrze wychowane i posiadać majątek.

— Naturalnie — odparł Ramzes. — Mój pierwszy syn, choć nie będzie posiadał praw książęcych, musi być tak postawiony, abym ja go się nie wstydził, ani on nie miał żalu do mnie.

Po pożegnaniu się z matką, Ramzes chciał jechać do Sary i w tym celu wrócił do swoich pokojów.

Wstrząsały nim dwa uczucia: gniew na Sarę, że ukrywała przed nim powody swej słabości, i — duma, że on ma być ojcem.

On ojcem!... Tytuł ten nadawał mu powagę, która jakby wspierała jego urzędy: wodza i namiestnika. Ojciec — to już nie młodzieniaszek, który z szacunkiem musi patrzeć na ludzi starszych od siebie.

Książę był zachwycony i rozrzewniony. Chciał zobaczyć Sarę, zgromić ją, a potem uściskać i obdarować.

Gdy jednak wrócił do swojej części pałacu, zastał dwu nomarchów z Dolnego Egiptu, którzy przyszli zdać mu raport o nomesach. A gdy wysłuchał ich, był już zmęczony. Nadto miał u siebie wieczorne przyjęcie, na które nie chciał się spóźnić.

— I znowu u niej nie będę — myślał. — Bied-

na dziewczyna, nie widziała mnie blisko dwie dekady.

Wezwał murzyna.

— Czy masz tę klatkę, którą dała ci Sara wówczas, kiedyśmy witali jego świątobliwość?

— Jest — odparł murzyn.

— Weźże z niej gołębia i zaraz wypuść.

— Gołębie już zjedzone.

— Kto je zjadł?...

— Wasza dostojność. Powiedziałem kucharzowi, że ptaki te pochodzą od pani Sary; więc on tylko dla waszej dostojności robił z nich pieczenie i pasztety.

— A niechże was krokodyl pożre! — zawołał skłopotany książę.

Kazał przyjść do siebie Tutmozisowi i jego natychmiast wysłał do Sary. Opowiedział mu historję z gołębiami i ciągnął:

— Zawieź jej szmaragdowe zausznice, bransolety na nogi i ręce i dwa talenty. Powiedz, że gniewam się, iż ukrywała przede mną ciążę, ale jej przebaczę, gdy dziecko będzie zdrowe i ładne. Jeżeli zaś urodzi chłopca, dam jej drugi folwark!... — zakończył, śmiejąc się.

Ale, ale... namów ją też, aby odsunęła od siebie choć trochę żydów, a przyjęła choć kilku Egipcjan i Egipcjanek. Nie chcę, abv mój syn przyszedł na świat w tem towarzystwie i może jeszcze bawił się z żydowskiemi dziećmi. Nauczyliby go podawać ojcu najgorsze daktyle!...

ROZDZIAŁ XIX.

Cudzoziemska dzielnica w Memfisie leżała w północno-wschodnim rogu miasta blisko Nilu. Liczono tam kilkaset domów i kilkanaście tysięcy mieszkańców: Asyryjczyków, żydów, Greków, najwięcej Fenicjan.

Był to cyrkuł zamożny. Główną arterję tworzyła ulica szeroka na trzydzieści kroków, dość prosta, wybrukowana płaskiemi kamieniami. Po obu stronach wznosiły się domy ceglane, piaskowce lub wapienne, wysokie na trzy do pięciu piętr. W piwnicach były składy materjałów surowych, na parterach sklepy, na pierwszych piętrach mieszkania ludzi zamożnych, wyżej warsztaty tkackie, szewskie, jubilerskie, najwyżej — ciasne lokale wyrobników.

Budynki tej dzielnicy, jak zresztą w całem mieście, były przeważnie białe. Można jednak było widzieć kamienice zielone jak łąka, żółte jak łan pszenicy, niebieskie jak niebo lub czerwone jak krew.

W wielu zaś domach ściany frontowe były ozdobione obrazami, przedstawiającemi zajęcia mieszkańców.

Na domu jubilera długie szeregi rysunków opiewały, że jego właściciel wyrobione przez siebie łańcuchy i bransolety sprzedawał królom obcych narodów i obudzał ich podziw. Ogromny pałac kupca był pokryty malowidłami, opowiadającemi trudy i niebezpieczeństwa życia handlowego: na morzu chwy-

tają człowieka straszne potwory z rybiemi ogonami, — w pustyni skrzydlate i ogniem ziejące smoki, a na dalekich wyspach trapią go olbrzymy, których sandał większy bywa od fenickiego okrętu.

Lekarz na ścianie swojej pracowni przedstawiał osoby, które, dzięki jego pomocy, odzyskiwały utracone ręce i nogi, nawet zęby i młodość. Na budynku zaś, zajętym przez władze administracyjne dzielnicy, widać było — beczkę, do której ludzie rzucali złote pierścienie, pisarza, któremu ktoś szeptał do ucha, i rozciągniętego na ziemi penitenta, któremu dwaj inni ludzie bili skórę.

Ulica była pełna. Wzdłuż ścian mieścili się lektykarze, wachlarzownicy, posłańcy i robotnicy, gotowi ofiarować swoją pracę. Środkiem ciągnął się nieprzerwany łańcuch towarów, dźwiganych przez tragarzy, osły lub woły, zaprzężone do wozów. Na chodnikach snuli się wrzaskliwi przekupnie świeżej wody, winogron, daktylów, wędzonych ryb, a między nimi: kramarze, kwiaciarki, muzykanci i różnego rodzaju sztukmistrze.

W tym ludzkim potoku, który płynął, roztrącał się, sprzedawał i kupował, krzycząc rozmaitemi głosami, wyróżniali się policjanci. Każdy miał brunatną koszulę do kolan, gołe nogi, fartuszek w niebieskie i czerwone pasy, krótki miecz przy boku i potężny kij w garści. Urzędnik ten spacerował po chodniku, niekiedy porozumiewał się ze swoim kolegą, najczęściej jednak stawał na przydrożnym kamieniu, ażeby lepiej ogarnąć tłum, przelewający się u stóp jego.

Wobec takiej czujności, złodzieje uliczni musieli działać bardzo roztropnie. Zwykle dwaj rozpoczynali między sobą bitwę, a gdy zebrał się tłum i policjanci okładali kijami zarówno swarzących się, jak i widzów, inni towarzysze kunsztu — kradli.

Prawie we środku ulicy stał zajazd Fenicjanina z Tyru *) Asarhadona, w którym, dla łatwiejszej kontroli, byli obowiązani mieszkać wszyscy, przyjeżdżający z poza granic Egiptu. Był to wielki dom kwadratowy, z każdego boku miał po kilkanaście okien i nie stykał się z innemi, więc można było obchodzić go i podglądać ze wszystkich stron. Nad główną bramą wisiał model okrętu, na frontowej ścianie były obrazy, przedstawiające jego świątobliwość Ramzesa XII-go, jak składa bogom ofiary. lub roztacza opiekę nad cudzoziemcami, między którymi Fenicjanie odznaczali się dużym wzrostem i mocno czerwoną barwą.

Okna były wąskie, zawsze otwarte i tylko w miarę potrzeby zasłaniane roletami z płótna lub kolorowych pręcików. Mieszkanie gospodarza i podróżnych zajmowały trzy piętra; na dole mieściła się winiarnia i restauracja. Marynarze, tragarze, rzemieślnicy i wogóle ubożsi podróżni jedli i pili w podwórku, które miało mozaikową posadzkę i płócienne dachy rozwieszone na słupkach, ażeby wszystkich gości można było mieć na oku. Zamożniejsi zaś i lepiej urodzeni ucztowali w galerji, otaczającej podwórko.

---

*) Tyr — miasto w Fenicji.

W podwórzu zasiadano na ziemi, przy kamieniach, zastępujących miejsce stołów. W galerjach, gdzie było chłodniej, znajdowały się stoliki, ławki i krzesła, nawet niskie z poduszek sofy, na których można było drzemać.

W każdej galerji był wielki stół, założony chlebem, mięsiwem, rybami i owocami, tudzież kilkugarncowe stągwie z piwem, winem i wodą. Murzyni i murzynki roznosili gościom potrawy, usuwali stągwie próżne, dźwigali z piwnic pełne, a czuwający nad stołami pisarze skrupulatnie zapisywali każdy kawałek chleba, każdą główkę czosnku i kubek wody. Na środku podwórza, na wzniesieniu stali dwaj dozorcy z kijami, którzy z jednej strony mieli oko na służbę i pisarzów, z drugiej — przy pomocy kija — łagodzili spory między uboższymi gośćmi różnych narodów. Dzięki temu urządzeniu kradzieże i bitwy trafiały się tutaj rzadko; częściej nawet w galerjach, aniżeli na podwórku.

Sam gospodarz zajazdu, sławetny Fenicjanin Asarhadon, człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, szpakowaty, ubrany w długą koszulę i muślinową zarzutkę, chodził między gośćmi, aby dojrzeć, czy każdy ma, czego potrzebuje.

— Jedzcie i pijcie, synowie moi! — mówił do greckich marynarzy — bo takiej wieprzowiny i piwa niema na całym świecie. Słyszę, pobiła was burza około Rafji?... Powinniście bogom hojną złożyć ofiarę, że was ocalili!... W Memfis przez całe życie można nie widzieć burzy, ale na morzu łatwiej o piorun, aniżeli o miedzianego utena... Mam miód, mąkę,

kadzidła na święte ofiary, a tam, w kątach, stoją bogowie wszystkich narodów. W moim zajeździe człowiek może być sytym i pobożnym za bardzo małe pieniądze.

Zawrócił się i wszedł do galerji między kupców.

— Jedzcie i pijcie, czcigodni panowie! — zachęcał, kłaniając się. — Czasy są dobre. Najdostojniejszy następca, oby żył wiecznie, jedzie do Pi-bastu z ogromną świtą, a z Górnego Królestwa przyszedł transport złota, na czem niejeden z was pięknie zarobi. Mamy kuropatwy, młode gąski, ryby prosto z rzeki, doskonałą pieczeń sarnią. A jakie wino przysłali mi z Cypru!... Niech zostanę żydem, jeżeli kubek tej rozkoszy nie jest wart dwie drachmy!... Ale wam, ojcom i dobrodziejom moim, oddam dziś po drachmie. Tylko dziś, ażeby zrobić początek.

— Daj po pół drachmy kubek, to skosztujemy — odparł jeden z kupców.

— Pół drachmy?... — powtórzył restaurator. — Pierwej Nil popłynie ku Tebom, aniżeli ja taką słodycz oddam za pół drachmy! Chyba... dla ciebie, panie Belezis, który jesteś perłą Sydonu... Hej, niewolnicy!... a podajcie dobrodziejom naszym większy dzban cypryjskiego.

Gdy odszedł, kupiec, nazwany Belezisem, rzekł do swoich towarzyszów:

— Ręka mi uschnie, jeżeli to wino warte pół drachmy! Ale niech go tam!... Będziemy mieli mniej kłopotu z policją.

Rozmowa z gośćmi wszelkich narodów i stanów nie przeszkadzała gospodarzowi zważać na pi-

sarzów, zapisujących jadło i napitki, na dozorców, którzy pilnowali służby i pisarzów, a nadewszystko na podróżnego, który, we frontowej galerji, usiadłszy z podwiniętemi nogami na poduszkach, drzemał nad garstką daktylów i kubkiem czystej wody. Podróżny ten miał około czterdziestu lat, bujne włosy i brodę kruczej barwy, zadumane oczy i dziwnie szlachetne rysy, których, zdawało się, nigdy gniew nie marszczył, ani wykrzywiła trwoga.

— To niebezpieczny szczur!... — myślał gospodarz, patrząc na niego z pod oka. — Ma minę kapłana, a chodzi w ciemnej opończy... Złożył u mnie klejnotów i złota za talent, a nie jada mięsa, ani nie pija wina. Musi to być wielki prorok, albo wielki złodziej!...

Na podwórko weszli z ulicy dwaj nadzy psyllowie, czyli poskramiacze wężów, z torbą pełną jadowitego gadu, i zaczęli widowisko. Młodszy grał na fujarce, a starszy począł owijać się małemi i dużemi wężami, z których każdy wystarczyłby do rozpędzenia gości z oberży „Pod okrętem". Fujarka odzywała się coraz piskliwiej, poskramiacz wyginał się, pienił, drgał konwulsyjnie i ciągle drażnił gady. Wreszcie jeden z wężów ukąsił go w rękę, drugi w twarz, a trzeciego najmniejszego — zjadł żywcem sam poskramiacz.

Goście i służba z niepokojem przypatrywali się zabawie poskramiacza. Drżeli, gdy drażnił gady, zamykali oczy, gdy wąż kąsał człowieka. Lecz gdy psyllo zjadł węża — zawyli z radości i podziwu...

Tylko podróżny z frontowej galerji nie opuścił

swoich poduszek, nawet nie raczył spojrzeć na zabawę. A gdy poskramiacz zbliżył się po zapłatę, podróżnik rzucił na posadzkę dwa miedziane uteny, dając mu ręką znak, ażeby się nie zbliżał.

Widowisko ciągnęło się z pół godziny. Gdy psyllowie opuścili dziedziniec, do gospodarza przybiegł murzyn, obsługujący pokoje gościnne i coś szeptał zafrasowany. Potem, niewiadomo skąd, ukazał się dziesiętnik policyjny i, zaprowadziwszy Asarhadona do odległej framugi, długo z nim rozmawiał, a czcigodny właściciel zajazdu bił się w piersi, załamywał ręce, albo chwytał się za głowę. Nareszcie kopnął murzyna w brzuch, kazał podać dziesiętnikowi gęś pieczoną i dzban cypryjskiego wina, a sam zbliżył się do gościa z frontowej galerji, który wciąż zdawał się drzemać, choć oczy miał otwarte.

— Smutne mam nowiny dla ciebie, zacny panie — rzekł gospodarz, siadając obok podróżnego.

— Bogowie zsyłają na ludzi deszcz i smutek, kiedy im się podoba — odparł obojętnie gość.

— Gdyśmy się tu przypatrywali psyllom — ciągnął gospodarz, targając szpakowatą brodę — złodzieje dostali się na drugie piętro i wykradli twoje rzeczy... Trzy worki i skrzynię, zapewne bardzo kosztowną!...

— Musisz zawiadomić sąd o mojej krzywdzie.

— Poco sąd?... — szepnął gospodarz. — U nas złodzieje mają swój cech... Poślemy po starszego, otaksujemy rzeczy, zapłacisz mu dwudziesty procent wartości i wszystko się znajdzie. Ja mogę ci dopomóc.

— W moim kraju — rzekł podróżny — nikt nie układa się ze złodziejami i ja nie będę. Mieszkam u ciebie, tobie powierzyłem mój majątek, i ty za niego odpowiadasz.

Czcigodny Asarhadon zaczął drapać się między łopatki.

— Człowieku z dalekiej krainy — mówił zniżonym głosem — wy, Chetowie, i my, Fenicjanie, jesteśmy braćmi, więc szczerze radzę ci nie wdawać się z egipskim sądem, bo on ma tylko jedne drzwi: przez które się wchodzi, ale nie ma tych, przez które się wychodzi...

— Bogowie przez mur wyprowadzą niewinnego — odparł gość.

— Niewinny!... Kto z nas jest niewinny w ziemi niewoli? — szeptał gospodarz. — Oto spojrzyj — tam dojada gęś dziesiętnik z policji: wyborną gąskę, którą sam chętnie zjadłbym. A wiesz, dlaczego oddałem, sobie od ust odjąwszy, ten frykas?... Bo dziesiętnik przyszedł wypytywać się o ciebie...

To powiedziawszy, Fenicjanin zezem spojrzał na podróżnego, który jednak ani na chwilę nie stracił spokoju.

— Pyta mnie — ciągnął gospodarz — pyta mnie dziesiętnik: „Co za jeden jest ten czarny, który dwie godziny siedzi nad garstką daktylów?...". Mówię: Bardzo zacny człowiek, pan Phut. — „Skąd on?..." — Z kraju Chetji, z miasta Harranu; ma tam porządny dom o trzech piętrach i dużo pola. — „Poco on tu przyjechał?" — Przyjechał, mówię, odebrać

od jednego kapłana pięć talentów, które jeszcze jego ojciec pożyczył.

A wiesz, zacny panie — prawił restaurator — co mi na to odpowiedział dziesiętnik?... Te słowa: „Asarhadonie, wiem, że jesteś wiernym sługą jego świątobliwości faraona, masz dobre jadło i niefałszowane wina, dlatego mówię ci — strzeż się!... Strzeż się cudzoziemców, którzy nie robią znajomości, unikają wina i wszelkich uciech i milczą. Ten Phut, Harrańczyk, może być asyryjskim szpiegiem.

Serce we mnie zamarło, kiedym to usłyszał — ciągnął gospodarz. — Ale ciebie nic nie obchodzi!... — oburzył się, widząc, że nawet straszne posądzenie o szpiegostwo nie zmąciło spokoju Chetyjczyka.

— Asarhadonie — rzekł po chwili gość — powierzyłem ci siebie i swój majątek. Pomyśl więc, aby mi oddano wory i skrzynię, gdyż w przeciwnym razie zaskarżę cię do tego samego dziesiętnika, który zjadł gęś, przeznaczoną dla ciebie.

— No... więc pozwól, abym wypłacił złodziejom tylko piętnaście procent wartości twoich rzeczy — zawołał gospodarz.

— Nie masz prawa płacić.

— Daj im choć trzydzieści drachm.

— Ani utena.

— Daj biedakom choćby dziesięć drachm...

— Idź w pokoju, Asarhadonie, i proś bogów, ażeby ci rozum przywrócili — odparł podróżny, zawsze z tym samym spokojem.

Gospodarz zerwał się z poduszek, sapiąc z gniewu.

„To gadzina!... — myślał. — On nietylko po dług przyjechał... On tu jeszcze zrobi jakiś interes... Serce mówi mi, że to musi być bogaty kupiec, a może nawet restaurator, który do spółki z kapłanami i sędziami otworzy mi gdzie pod bokiem drugi zajazd... Bodajby cię pierwej spalił ogień niebieski!... Bodaj cię trąd stoczył!... Skąpiec, oszust, złodziej, na którym uczciwy człowiek nic nie zarobi!

Jeszcze zacny Asarhadon nie zdążył uspokoić się z gniewu, gdy na ulicy rozległy się odgłosy fletu i bębenka, a po chwili na podwórze wbiegły cztery prawie nagie tancerki. Tragarze i marynarze powitali je okrzykiem radości, a nawet poważni kupcy z pod galerji zaczęli przyglądać się ciekawie i robić uwagi nad ich pięknością. Tancerki ruchem rąk i uśmiechami powitały obecnych. Jedna zaczęła grać na podwójnym flecie, druga wtórowała jej na bębenku, a dwie najmłodsze tańczyły dokoła podwórka w taki sposób, że prawie nie było gościa, któregoby nie zaczepiły ich muślinowe szale.

Pijący zaczęli śpiewać, krzyczeć i zapraszać do siebie tancerki, a między pospólstwem wyniknęła zwada, którą jednak dozorcy łatwo uspokoili, podniósłszy do góry swoje trzciny. Tylko jakiś Libijczyk, rozdrażniony widokiem kija, wydobył nóż, ale dwaj murzyni chwycili go za ręce, zabrali mu kilka miedzianych pierścionków, jako należność za jadło, i wyrzucili na ulicę. Tymczasem jedna tancerka została z marynarzami, dwie poszły między kup-

ców, którzy ofiarowali im wino i ciastka, a najstarsza zaczęła obchodzić stoły i kwestować:

— Na świątynię boskiej Izydy!... — wołała.— Składajcie, pobożni cudzoziemcy, na świątynię Izydy, bogini, która opiekuje się wszelkiem stworzeniem... Im więcej dacie, tem więcej otrzymacie szczęścia i błogosławieństw... Na świątynię matki Izydy!...

Rzucano jej na bębenek kłębki miedzianego drutu, niekiedy ziarnko złota. Jeden kupiec zapytał: czy można ją odwiedzić? — na co z uśmiechem skinęła głową.

Gdy weszła do frontowej galerji, Harrańczyk Phut sięgnął do skórzanego worka i wydobył złoty pierścień, mówiąc:

— Istar jest bogini wielka i dobra, przyjmij to na jej świątynię.

Kapłanka bystro spojrzała na niego i szepnęła:

— Anael, Sachiel...

— Amabiel, Abalidot — odpowiedział tym samym tonem podróżny.

— Widzę, że kochasz matkę Izydy — rzekła kapłanka głośno. — Musisz być bogaty i jesteś hojny, więc warto ci powróżyć.

Usiadła przy nim, zjadła parę daktylów i, patrząc na jego dłoń, zaczęła mówić:

— Przyjeżdżasz z dalekiego kraju od Bretora i Hagita... *).

Podróż miałeś szczęśliwą... Od kilku dni śledzą cię Fenicjanie — dodała ciszej.

*) Duchy — północnej i wschodniej okolicy świata.

Przyjeżdżasz po pieniądze, choć nie jesteś kupcem...

Przyjdź do mnie dziś po zachodzie słońca... Żądania twoje — mówiła głośno — powinny się spełnić...

Mieszkam na ulicy Grobów w domu pod Zieloną Gwiazdą — szepnęła.

Tylko strzeż się złodziei, którzy czyhają na twój majątek — zakończyła, widząc, że zacny Asarhadon podsłuchuje.

— W moim domu niema złodziei!... — wybuchnął Fenicjanin. — Kradną chyba ci, którzy tu z ulicy przychodzą.

— Nie złość się, staruszku — odparła szyderczo kapłanka — bo zaraz występuje ci czerwona pręga na szyi, co oznacza śmierć nieszczęśliwą.

Usłyszawszy to, Asarhadon splunął po trzykroć i cicho odmówił zaklęcie przeciw złym wróżbom. Gdy zaś odsunął się w głąb galerji, kapłanka zaczęła kokietować Harrańczyka. Dała mu różę ze swego wieńca, na pożegnanie uścisnęła go i poszła do innych stołów.

Podróżny skinął na gospodarza.

— Chcę — rzekł — ażeby ta kobieta była u mnie. Każ ją zaprowadzić do mego pokoju.

Asarhadon popatrzył mu w oczy, klasnął w ręce i wybuchnął śmiechem.

— Tyfon opętał cię, Harrańczyku!... — zawołał. — Gdyby coś podobnego stało się w moim domu, z egipską kapłanką, wypędziliby mnie z miasta. Tu wolno przyjmować cudzoziemki.

— W takim razie ja pójdę do niej — odparł Phut. — Albowiem jest to mądra i pobożna niewiasta i poradzi mi w wielu zdarzeniach. Po zachodzie słońca dasz mi przewodnika, ażebym, idąc, nie zbłąkał się.

— Wszystkie złe duchy wstąpiły do twego serca — odpowiedział gospodarz. — Czy wiesz, że ta znajomość będzie cię kosztowała ze dwieście drachm, może trzysta, nie licząc tego, co musisz dać służebnicom i świątyni. Za taką zaś sumę, zresztą — za pięćset drachm, możesz poznać kobietę młodą i cnotliwą, moją córkę, która ma już czternaście lat i, jako dziewczę rozsądne, zbiera sobie posag. Nie włócz się więc nocą po nieznanem mieście, bo wpadniesz w ręce policji, albo złodziejów, lecz korzystaj z tego, co bogowie ofiarują ci w domu. Chcesz?

— A czy twoja córka pojedzie ze mną do Harranu? — spytał Phut.

Gospodarz patrzał na niego zdumiony. Nagle uderzył się w czoło, jakby odgadł tajemnicę i, schwyciwszy podróżnego za rękę, pociągnął go do zacisznej framugi.

— Już wszystko wiem! — szeptał wzburzony. — Ty — handlujesz kobietami... Ale pamiętaj, że za wywiezienie jednej Egipcjanki stracisz majątek i pójdziesz do kopalń. Chyba... że mnie weźmiesz do spółki, bo ja tu wszędzie znam drogi...

— W takim razie opowiesz mi drogę do domu tej kapłanki — odparł Phut. — Pamiętaj, ażebym po zachodzie słońca miał przewodnika, a jutro moje worki i skrzynię, bo inaczej poskarżę się do sądu.

To powiedziawszy, Phut opuścił restaurację i poszedł do swego pokoju na górę.

Wściekły z gniewu Asarhadon zbliżył się do stolika, przy którym pili kupcy feniccy, i odwołał na stronę jednego z nich, Kusza.

— Pięknych gości dajesz mi pod opiekę!... — rzekł gospodarz, nie mogąc pohamować drżenia głosu. — Ten Phut prawie nic nie jada, każe mi wykupywać od złodziei rzeczy, które mu skradziono, a teraz, jakby na urąganie z mego domu, wybiera się do egipskiej tancerki, zamiast obdarować moje kobiety.

— Cóż dziwnego? — odparł, śmiejąc się, Kusz. — Fenicjanki mógł poznać w Sydonie, tutaj zaś woli Egipcjanki. Głupi jest ten, kto na Cyprze nie kosztuje wina cypryjskiego, tylko piwo tyryjskie.

— A ja ci mówię — przerwał gospodarz — że to jest człowiek niebezpieczny... Udaje mieszczanina, choć ma postawę kapłana...

— Ty, Asarhadonie, wyglądasz jak arcykapłan, a jesteś tylko szynkarzem! Ława nie przestaje być ławą, chociaż ma na sobie lwią skórę.

— Ale poco on chodzi do kapłanek?... Przysiągłbym, że to wybieg, i że gbur chetyjski zamiast na ucztę do kobiet, uda się na jakieś zgromadzenie spiskowców.

— Złość i chciwość zamroczyły twój umysł — odrzekł z powagą Kusz. — Jesteś, jak człowiek, który, szukając dyni na figowem drzewie, nie widzi figi. Dla każdego kupca jest jasne, że jeżeli Phut ma odebrać pięć talentów od kapłana, to musi

skarbić sobie łaski u wszystkich, którzy kręcą się przy świątyniach. Ale ty już nic nie rozumiesz...

— Bo mnie mówi serce, że to musi być asyryjski wysłaniec, czyhający na zgubę jego świątobliwości.

Kusz z pogardą patrzał na Asarhadona.

— Więc śledź go, czuwaj nad każdym jego krokiem. A jeżeli co wykryjesz, może dostanie ci się jaka cząstka jego majątku.

— O, teraz powiedziałeś mądre zdanie!—rzekł gospodarz. — Niech ten szczur idzie sobie do kapłanek, a od nich w miejsce nieznane mi. Ale ja za nim poślę moje źrenice, przed któremi nic się nie ukryje!

ROZDZIAŁ XX.

Około dziewiątej godziny wieczorem, Phut opuścił zajazd „Pod okrętem", w towarzystwie murzyna, niosącego pochodnię. Pół godziny przedtem, Asarhadon wysłał na ulicę Grobów zaufanego człowieka, rozkazując, aby pilnie zważał, czy Harrańczyk nie wymknie się z domu pod Zieloną Gwiazdą, a jeżeliby tak uczynił — dokąd pójdzie?

Drugi zaufany człowiek gospodarza szedł w pewnej odległości za Phutem; na węższych ulicach krył się pod domami, na szerszych — udawał pijanego.

Ulice były już puste, tragarze i przekupnie spali. Świeciło się tylko w mieszkaniach pracujących rzemieślników, albo u ludzi bogatych, którzy ucztowali na płaskich dachach. W różnych domach

miasta odzywały się dźwięki arf i fletów, śpiewy, śmiechy, kucie młotów, zgrzytanie pił stolarskich, czasem okrzyk pijacki, niekiedy wołanie o ratunek.

Ulice, któremi przechodził Phut i niewolnik, były po większej części ciasne, krzywe, pełne wybojów. W miarę zbliżania się do celu podróży, kamienice były coraz niższe, domy jednopiętrowe, liczniejsze i więcej ogrodów, a raczej palm, fig i nędznych akacyj, które wychylały się z pomiędzy murów, jakby miały zamiar uciec stąd.

Na ulicy Grobów widok nagle zmienił się. Miejsce kamienic zajęły rozległe ogrody, a wśród nich — eleganckie pałacyki. Przed jedną z bram murzyn zatrzymał się i zgasił pochodnię.

— Tu jest „Zielona Gwiazda“ — rzekł i, złożywszy Phutowi niski ukłon, zawrócił do domu.

Harrańczyk zapukał do wrót. Po chwili ukazał się odźwierny. Uważnie obejrzał przybysza i mruknął:

— Anael, Sachiel...

— Amabiel, Abalidot — odpowiedział Phut.

— Bądź pozdrowiony — rzekł odźwierny i szybko otworzył bramę.

Przeszedłszy kilkanaście kroków między drzewami, Phut znalazł się w sieni pałacyku, gdzie powitała go znajoma kapłanka. W głębi stał jakiś człowiek z czarną brodą i włosami, tak podobny do Harrańczyka, że przybysz nie mógł ukryć zdziwienia.

— On zastąpi cię w oczach tych, którzy cię śledzą — rzekła z uśmiechem kapłanka.

Człowiek, przebrany za Harrańczyka, włożył sobie na głowę wieniec z róż i w towarzystwie kapłanki poszedł na pierwsze piętro, gdzie niebawem rozległy się dźwięki fletów i szczęk puharów. Phuta zaś dwaj niżsi kapłani zaprowadzili do łaźni w ogrodzie. Tam, wykąpawszy go i utrefiwszy mu włosy, włożyli nań białe szaty.

Z łazienki wszyscy trzej znowu wyszli między drzewa; minęli kilka ogrodów, wreszcie znaleźli się na pustym placu.

— Tam—rzekł do Phuta jeden z kapłanów—są dawne groby, tam miasto, a tu świątynia. Idź dokąd chcesz, i niechaj mądrość wskaże ci drogę, a święte słowa bronią od niebezpieczeństw.

Dwaj kapłani cofnęli się do ogrodu, a Phut został sam. Noc bezksiężycowa była dość widna. Zdaleka, otulony w mgłę, migotał Nil; wyżej iskrzyło się siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Nad głową podróżnego wznosił się Orjon, a nad ciemnemi pylonami płonęła gwiazda Syrjusz.

— U nas gwiazdy mocniej świecą—pomyślał Phut.

Zaczął szeptać modlitwy w nieznanym języku i skierował się ku świątyni.

Gdy odszedł kilkadziesiąt kroków, z jednego ogrodu wychylił się człowiek i śledził podróżnego. Lecz prawie w tej samej chwili spadła tak gęsta mgła, że na placu, oprócz dachów świątyni, nie można było nic dojrzeć.

Po pewnym czasie Harrańczyk natknął się na wysoki mur. Spojrzał na niebo i począł iść ku za-

chodowi. Co chwila przelatywały nad nim nocne ptaki i wielkie nietoperze. Mgła zrobiła się tak gęsta, że musiał dotykać ściany, aby jej nie zgubić. Wędrówka trwała dość długo, gdy nagle Phut znalazł się przed niską furtką, nabitą mnóstwem bronzowych gwoździ. Zaczął je liczyć od lewej ręki zgóry, przyczem jedne mocno naciskał, inne zakręcał.

Gdy tym sposobem poruszył ostatni gwóźdź u dołu, drzwi cicho otworzyły się. Harrańczyk posunął się kilka kroków i znalazł się w ciasnej niszy, w której panowała zupełna ciemność.

Począł ostrożnie próbować nogą gruntu, aż trafił jakby na krawędź studni, z której wiał chłód. Tu usiadł i śmiało zsunął się w głąb przepaści, chociaż w tem miejscu i w tym kraju znajdował się dopiero pierwszy raz.

Przepaść jednak nie była głęboka. Phut równemi nogami stanął na pochyłej podłodze i wąskim kurytarzem zaczął schodzić na dół, z taką pewnością, jakby drogę znał oddawna.

W końcu kurytarza były drzwi. Przybysz znalazł poomacku kołatkę i trzy razy zapukał. W odpowiedzi odezwał się głos, niewiadomo skąd pochodzący.

— Ty, który w nocnej godzinie zakłócasz spokój świętego miejsca, czy masz prawo tu wchodzić?

— Nie skrzywdziłem męża, kobiety, ani dziecka... Rąk moich nie splamiła krew... Nie jadłem potraw nieczystych... Nie zabrałem cudzego mienia... Nie kłamałem i nie zdradziłem wielkiej tajemnicy— spokojnie odpowiedział Harrańczyk.

— Jestżeś tym, którego oczekują, czy tym, za którego się podajesz? — zapytał głos po chwili.

— Jestem ten, który miał przyjść od braci ze Wschodu; ale to drugie imię jest także moje imię, a w mieście północnem posiadam dom i ziemię, jakom rzekł obcym — odpowiedział Phut.

Otworzyły się drzwi i Harrańczyk wszedł do obszernej piwnicy, którą oświetlała lampka, płonąca na stoliku, przed purpurową zasłoną. Na zasłonie była wyhaftowana złotem skrzydlata kula z dwoma wężami.

Na boku stał kapłan egipski w białej szacie.

— Który tu wszedłeś — rzekł kapłan, wskazując ręką Phuta — czy wiesz, co opowiada ten znak na zasłonie?

— Kula — odparł przybysz — jest obrazem świata, na którym mieszkamy, a skrzydła wskazują, że świat ten unosi się w przestrzeni, jak orzeł.

— A węże?... — spytał kapłan.

— Dwa węże przypominają mędrcowi, że ktoby zdradził tę wielką tajemnicę, umrze podwójnie— ciałem i duszą.

Po chwili milczenia kapłan znowu zapytał:

— Jeżeliś jest w samej rzeczy Beroes (tu schylił głowę), wielki prorok Chaldei (znowu schylił głowę), dla którego niemasz tajemnic na ziemi ani w niebie, racz powiedzieć słudze twemu: która gwiazda jest najdziwniejsza?

— Dziwnym jest Hor-set *), który obchodzi

*) Planeta Jowisz.

niebo w ciągu dwunastu lat, gdyż dokoła niego krążą cztery mniejsze gwiazdy. Ale najdziwniejszym jest Horka *), obchodzący niebo w trzydzieści lat. Ma on bowiem nietylko podwładne sobie gwiazdy, lecz i wielki pierścień, który niekiedy znika.

Wysłuchawszy tego, egipski kapłan upadł na twarz przed Chaldejczykiem. Następnie wręczył mu purpurową szarfę i welon z muślinu, pokazał gdzie stoją kadzidła i, wśród niskich ukłonów, opuścił pieczarę.

Chaldejczyk został sam. Włożył szarfę na prawe ramię, zakrył twarz welonem i, wziąwszy złotą łyżkę, nasypał w nią kadzidła, które zapalił u lampki przed zasłoną. Szepcąc, obrócił się trzy razy wkoło, a dym kadzidła opasał go jakby potrójnym pierścieniem.

Przez ten czas w pustej pieczarze zapanował dziwny niepokój. Zdawało się, że sufit idzie wgórę, i rozsuwają się ściany. Purpurowa zasłona na ołtarzu chwiała się, niby poruszana przez ukryte ręce. Powietrze zaczęło falować, jakby wśród niego przelatywały stada niewidzialnych ptaków.

Chaldejczyk rozsunął szatę na piersiach i wydobył złoty medal, pokryty tajemniczemi znakami. Pieczara drgnęła, święta zasłona poruszyła się gwałtowniej, a w różnych punktach izby ukazały się płomyki.

Wtedy mag wzniósł ręce do góry i zaczął mówić:

---

*) Planeta Saturn.

„Ojcze niebieski, łaskawy i miłosierny, oczyść duszę moją... Ześlij na niegodnego sługę swoje błogosławieństwa i wyciągnij wszechmocne ramię na duchy buntownicze, abym mógł okazać moc Twoją...

„Oto znak, którego dotykam w waszej obecności... Otom jest — ja — oparty na pomocy Bożej, przewidujący i nieustraszony... Otom jest potężny i wywołuję was i zaklinam... Przyjdźcie tu, posłuszne — w imię Aye, Saraye, Aye, Saraye..."

W tej chwili z różnych stron odezwały się jakieś głosy. Około lampki przeleciał jakiś ptak, potem szata rudej barwy, następnie człowiek z ogonem, nareszcie kogut w koronie, który stanął na stoliku przed zasłoną.

Chaldejczyk znowu mówił:

„W imię wszechmocnego i wiekuistego Boga... Amorul, Tanecha, Rabur, Latisem..."

Dalekie głosy odezwały się po raz drugi.

„W imię prawdziwego i wiecznie żyjącego Eloy, Arehima, Rabur, zaklinam was i wzywam... Przez imię gwiazdy, która jest słońcem, przez ten jej znak, przez chwalebne i straszne imię Boga żywego..." *).

Nagle wszystko ucichło. Przed ołtarzem ukazało się ukoronowane widmo, z berłem w ręku, siedzące na lwie.

— Beroes!... Beroes!...—zawołało widmo stłumionym głosem — poco mnie wywołujesz?

— Chcę, ażeby bracia moi z tej świątyni przy-

*) Zaklęcia magów.

jęli mnie szczerem sercem i nakłonili ucha do słów, które przynoszę im od braci z Babilonu — odpowiedział Chaldejczyk.

— Niech się tak stanie — rzekło widmo i znikło.

Chaldejczyk został bez ruchu, jak posąg z odrzuconą wtył głową, z rękoma wzniesionemi do góry. Stał tak przeszło pół godziny w pozycji niemożliwej dla zwykłego człowieka.

W tym czasie cofnął się kawał muru, tworzącego ścianę pieczary, i weszli trzej kapłani egipscy. Na widok Chaldejczyka, który zdawał się leżeć w powietrzu, oparty plecami o niewidzialną podporę, kapłani zaczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem. Najstarszy rzekł:

— Dawniej bywali u nas tacy, ale dziś nikt tego nie potrafi.

Obchodzili go ze wszystkich stron, dotykali zdrętwiałych członków i z niepokojem patrzyli na jego oblicze, żółte i bezkrwiste, jak u trupa.

— Czy umarł?... — zapytał najmłodszy.

Po tych słowach, pochylone wtył ciało Chaldejczyka wróciło do pionowej postawy. Na twarzy ukazał się lekki rumieniec, a wzniesione ręce opadły. Westchnął, przetarł oczy, jak człowiek zbudzony ze snu, spojrzał na przybyłych i po chwili rzekł:

— Ty — zwrócił się do najstarszego — jesteś Mefres, arcykapłan świątyni Phta w Memfisie... Ty — jesteś Herhor, arcykapłan Amona w Tebach, najpierwszy mocarz po królu w tem państwie...

Ty — wskazał najmłodszego — jesteś Pentuer, drugi prorok w świątyni Amona i doradca Herhora.

— A ty niewątpliwie jesteś Beroes, wielki kapłan i mędrzec babiloński, którego przyjście oznajmiono nam przed rokiem — odparł Mefres.

— Powiedziałeś prawdę — rzekł Chaldejczyk.

Uścisnął ich pokolei, a oni schylali głowy przed nim.

— Przynoszę wam wielkie słowa z naszej wspólnej ojczyzny, którą jest mądrość — mówił Beroes. — Raczcie ich wysłuchać i działajcie jak potrzeba.

Na znak Herhora, Pentuer cofnął się w głąb pieczary i wyniósł trzy fotele z lekkiego drzewa dla starszych, a niski taboret dla siebie. Usiadł w bliskości lampki i wydobył z zanadrza mały sztylet i tabliczkę pokrytą woskiem.

Gdy wszyscy trzej zajęli fotele, Chaldejczyk zaczął:

— Do ciebie, Mefresie, mówi najwyższe kolegjum kapłanów w Babilonie: Święty stan kapłański w Egipcie upada. Wielu z nich gromadzi pieniądze i kobiety i pędzi życie wśród uciech. Mądrość jest zaniedbana. Nie macie władzy, ani nad światem niewidzialnym, ani nawet nad własnemi duszami. Niektórzy z was utracili wiarę wyższą, a dla źrenic waszych zakryta jest przyszłość. Nawet dzieje się gorzej, bo wielu kapłanów, czując, że siły ich ducha są wyczerpane, weszli na drogę kłamstwa i zręcznemi sztukami zwodzą prostaków.

To mówi najwyższe kolegjum: Jeżeli chcecie

powrócić na dobrą drogę, Beroes zostanie z wami przez kilka lat, ażeby zapomocą iskry, przyniesionej z wielkiego ołtarza Babilonu, rozniecić prawdziwe światło nad Nilem.

— Wszystko tak jest, jak mówisz — odparł zasmucony Mefres. — Zostań przeto między nami kilka lat, ażeby dorastająca młodzież przypomniała sobie waszą mądrość.

— A teraz do ciebie, Herhorze, słowa od najwyższego kolegjum...

Herhor pochylił głowę.

— Skutkiem zaniedbania wielkich tajemnic, kapłani wasi nie spostrzegli, że dla Egiptu nadchodzą złe lata. Grożą wam klęski wewnętrzne, które tylko cnota i mądrość oddalić może. Lecz gorsze jest, że gdybyście w ciągu następnych dziesięciu lat rozpoczęli wojnę z Asyrią, wojska jej rozgromią wasze, przyjdą nad Nil i zniszczą wszystko, co tu istnieje od wieków.

Taki złowrogi układ gwiazd, jaki dziś ciąży nad Egiptem, zdarzył się pierwszy raz za dynastji XIV-tej, kiedy wasz kraj zdobyli i złupili Hyksosi. Trzeci raz powtórzy się on za pięćset lub sześćset lat od strony Asyrji i ludu Paras, który mieszka na wschód od Chaldei...

Kapłani słuchali przerażeni. Herhor był blady, Pentuerowi wypadła z rąk tabliczka. Mefres ujął wiszący na piersiach amulet i modlił się zeschłemi wargami.

— Strzeżcie się więc Asyrji — ciągnął Chaldejczyk — bo dziś jej godzina. Okrutny to lud!...

Gardzi pracą, żyje wojną. Zwyciężonych wbija na pale, lub odziera ze skóry; niszczy zdobyte miasta, a ludność uprowadza w niewolę. Odpoczynkiem ich jest polować na srogie zwierzęta, a zabawą—strzelać z łuku do jeńców lub wyłupywać im oczy. Cudze świątynie zamieniają w gruzy, naczyniami bogów posługują się przy swych ucztach, a kapłanów i mędrców robią swoimi błaznami. Ozdobą ich ścian są skóry żywych ludzi, a ich stołu — zakrwawione głowy nieprzyjaciół.

Gdy Chaldejczyk umilknął, odezwał się czcigodny Mefres:

— Wielki proroku, rzuciłeś strach na dusze nasze, a nie wskazujesz ratunku. Może być, i z pewnością tak jest, skoro mówisz, że losy przez pewien czas będą dla nas niełaskawe; lecz — jakże tego uniknąć? Są w Nilu miejsca niebezpieczne, z których żadna łódź nie ocali się; to też mądrość sterników omija groźne wiry. To samo z nieszczęściami narodów. Naród jest czółnem, a czas rzeką, którą w pewnych epokach mącą wichry. Jeżeli zaś drobna skorupa rybacza umie wyminąć się od klęski, dlaczego miljony ludu nie mogłyby w podobnych warunkach ujść zagłady?

— Mądre są słowa twoje — odparł Beroes — ale tylko w pewnej części potrafię na nie odpowiedzieć.

— Miałżebyś nie znać wszystkiego, co się stanie? — zapytał Herhor.

— Nie pytaj mnie o to: co wiem, a czego nie mogę powiedzieć. Najważniejszą rzeczą dla was jest

utrzymać dziesięcioletni pokój z Asyrją, a to leży w granicy waszych sił.

Asyrja jeszcze boi się was, nic nie wie o zbiegu złych losów nad waszym krajem i chce rozpocząć wojnę z ludami Północy i Wschodu, które siedzą dokoła morza. Przymierze więc z nią moglibyście zawrzeć dzisiaj...

— Na jakich warunkach? — wtrącił Herhor.

— Na bardzo dobrych. Asyrja odstąpi wam ziemię Izraelską aż do miasta Akko i kraj Edom aż do miasta Elath. Zatem bez wojny granice wasze posuną się o dziesięć dni marszu na północ i dziesięć dni na wschód.

— A Fenicja?... — spytał Herhor.

— Strzeżcie się pokusy!...—zawołał Beroes.— Gdyby dziś faraon wyciągnął rękę po Fenicję, za miesiąc armje asyryjskie, przeznaczone na północ i wschód, zwróciłyby się na południe, a przed upływem roku konie ich pławiłyby się w Nilu.

— Ależ Egipt nie może wyrzec się wpływu nad Fenicją! — przerwał z wybuchem Herhor.

— Gdyby się nie wyrzekł, sam przygotowałby własną zgubę — mówił Chaldejczyk. — Zresztą powtarzam słowa najwyższego kolegjum: „Powiedz Egiptowi — nakazywali bracia z Babilonu — ażeby na dziesięć lat przytulił się do swej ziemi jak kuropatwa, bo czyha na niego jastrząb złych losów. Powiedz, że my, Chaldejczycy, nienawidzimy Asyryjczyków bardziej niż Egipcjanie, gdyż znamy ciężar ich władzy; lecz mimo to zalecamy Egiptowi pokój z tym ludem krwiożerczym. Dziesięć lat —

mały to przeciąg czasu, po którym możecie nietylko odzyskać dawne pozycje, ale i nas ocalić.

— To prawda! — rzekł Mefres.

— Rozważcie tylko — ciągnął Chaldejczyk.— Jeżeli Asyrja z wami będzie prowadziła wojnę, pociągnie Babilon, który brzydzi się wojną, wyczerpie nasze bogactwa i zatrzyma pracę mądrości. Choćbyście nie ulegli, kraj wasz na długie lata będzie zniszczony i straci nietylko dużo ludności, ale i te ziemie urodzajne, które bez waszych starań piasek zasypałby w ciągu roku.

— To rozumiemy — wtrącił Herhor — i dlatego nie myślimy zaczepiać Asyrji. Ale Fenicja...

— Cóż wam szkodzi — mówił Beroes — że asyryjski rozbójnik ściśnie fenickiego złodzieja? Na tem zyskają nasi i wasi kupcy. A jeżeli zechcecie posiadać Fenicjan, pozwólcie, ażeby osiedlali się na waszych brzegach. Jestem pewny, że najbogatsi z nich i najzręczniejsi uciekną z pod władzy Asyryjczyków.

— Cóżby się stało z naszą flotą, gdyby Asyrja osiedliła się w Fenicji? — pytał Herhor.

— Nie jest to naprawdę wasza flota, tylko fenicka — odparł Chaldejczyk. — Gdy więc zabraknie wam tyryjskich i sydońskich statków, zaczniecie budować własne i ćwiczyć Egipcjan w sztuce żeglarskiej. Jeżeli będziecie mieli rozum i dzielny charakter, wydrzecie Fenicjanom handel na całym zachodzie...

Herhor machnął ręką.

— Powiedziałem, co mi kazano — rzekł Be-

roes — a wy czyńcie, co wam się podoba. Lecz pamiętajcie, że ciąży nad wami dziesięć lat złowrogich.

— Zdaje mi się, święty mężu — wtrącił Pentuer — że mówiłeś o klęskach wewnętrznych, jakie grożą Egiptowi w przyszłości. Co to będzie?... jeśli raczysz odpowiedzieć słudze twemu.

— O to nie pytajcie mnie. Te rzeczy lepiej powinniście znać, aniżeli ja, człowiek obcy. Przezorność odkryje wam chorobę, a doświadczenie poda lekarstwa.

— Lud jest strasznie uciskany przez wielkich! — szepnął Pentuer.

— Pobożność upadła!... — rzekł Mefres.

— Jest wielu ludzi, którzy wzdychają do wojny za granicą — dodał Herhor. — Ja zaś oddawna widzę, że jej prowadzić nie możemy. Chyba za dziesięć lat...

— Więc zawrzecie traktat z Asyrją? — spytał Chaldejczyk.

— Amon, który zna moje serce — mówił Herhor — wie, jak mi podobny traktat jest obmierzły... Tak jeszcze niedawno nędzni Asyryjczycy płacili nam daniny!... Lecz, jeżeli ty, ojcze święty, i najwyższe kolegjum mówicie, że losy są przeciwko nam, musimy zawrzeć traktat...

— Prawda, że musimy... — dodał Mefres.

— W takim razie zawiadomcie kolegjum w Babilonie o postanowieniu, a oni sprawią, że król Assar przyśle do was poselstwo. Ufajcie mi, że układ ten jest bardzo korzystny: bez wojny zwiększycie

swoje posiadłości!... Wreszcie — rozmyślało nad nim nasze kolegjum kapłańskie.

— Oby spadły na was wszelkie błogosławieństwa: dostatki, władza i mądrość!—rzekł Mefres.— Tak, trzeba podnieść nasz stan kapłański, a ty, święty mężu, Beroesie, pomożesz nam.

— Trzeba nadewszystko ulżyć nędzy ludu — wtrącił Pentuer.

— Kapłani... lud!... — mówił jakby do siebie Herhor. — Tu przedewszystkiem trzeba powściągnąć tych, którzy pragną wojny... Prawda, że jego świątobliwość faraon jest za mną, i zdaje mi się, żem pozyskał niejaki wpływ na serce dostojnego następcy (oby żyli wiecznie!). Ale Nitager, któremu wojna jest potrzebna, jak rybie woda... Ale naczelnicy wojsk najemnych, którzy dopiero podczas wojny coś znaczą u nas... Ale nasza arystokracja, która myśli, że wojna spłaci fenickie długi, a im przyniesie majątek...

— Tymczasem rolnicy upadają pod nawałem prac, a robotnicy publiczni burzą się, z powodu zdzierstwa przełożonych — wtrącił Pentuer.

— Ten zawsze swoje! — mówił zdumiony Herhor. — Myśl ty sobie, Pentuerze, o chłopach i robotnikach, ty, Mefresie, o kapłanach. Nie wiem, co wam się uda zrobić, ale ja — przysięgam, że gdyby mój własny syn pchał Egipt do wojny, zetrę własnego syna.

— Tak uczyń — rzekł Chaldejczyk. — Zresztą, kto chce, niech toczy wojnę, byle nie w tych stronach, gdzie można zetknąć się z Asyrją.

Na tem posiedzenie zakończyło się, Chaldejczyk włożył szarfę na ramię i zasłonę na twarz; Mefres i Herhor stanęli po obu stronach jego, a za nimi Pentuer, wszyscy zwróceni do ołtarza.

Gdy Beroes, skrzyżowawszy ręce na piersiach, szeptał, w podziemiu zaczął się znowu niepokój, i było słychać niby daleki zgiełk, który zdziwił asystentów. Wówczas mag odezwał się głośno:

— Baralanensis, Baldachiensis, Paumachiae, wzywam was, abyście byli świadkami naszych układów i wspierali nasze zamiary...

Rozległ się dźwięk trąb tak wyraźny, że Mefres schylił się do ziemi, Herhor obejrzał się zdziwiony, a Pentuer ukląkł, zaczął drżeć i zasłonił uszy.

Purpurowa kotara na ołtarzu zachwiała się, a jej fałdy przybrały taką formę, jakgdyby z poza niej chciał wyjść człowiek.

— Bądźcie świadkami — wołał zmienionym głosem Chaldejczyk — niebieskie i piekielne moce! A ktoby nie dotrzymał umowy, albo zdradził jej tajemnicę, niech będzie przeklęty...

„Przeklęty!...“ — powtórzył jakiś głos.

— I zniszczony...

„I zniszczony...“

— W tem widzialnem i tamtem niewidzialnem życiu. Przez niewysłowione imię Jehowa, na którego dźwięk ziemia drży, morze cofa się, ogień gaśnie, rozkładają się elementa natury...

W jaskini zapanowała formalna burza. Dźwięki trąb mieszały się z odgłosem jakby dalekich piorunów. Zasłona ołtarza prawie poziomo uniosła się i po-

za nią, wśród migotliwych błyskawic, ukazały się dziwne twory, napoły ludzkie, napoły roślinne i zwierzęce, skłębione i pomieszane.

Nagle wszystko ucichło, i Beroes zwolna wzniósł się w powietrze, ponad głowy trzech asystujących kapłanów.

. . . . . .

O godzinie ósmej z rana, Harrańczyk Phut wrócił do fenickiego zajazdu „Pod okrętem", gdzie już znalazły się jego worki i skrzynie, zabrane przez złodziei. Zaś w kilka minut po nim przyszedł zaufany sługa Asarhadona, którego gospodarz zaprowadził do piwnicy i krótko spytał:

— Cóż?...

— Byłem przez całą noc — odparł sługa — na placu, gdzie świątynia Seta. Około dziesiątej wieczorem, z ogrodu, który leży o pięć posesyj dalej, aniżeli dom „Zielonej Gwiazdy", wyszło trzech kapłanów. Jeden z nich, z czarną brodą i włosami, skierował stopy swoje przez plac, do świątyni Seta. Pobiegłem za nim, ale zaczęła padać mgła i zginął mi z oczu. Czy wrócił pod „Zieloną Gwiazdę" i kiedy— nie wiem.

Gospodarz zajazdu, wysłuchawszy sprawozdania, stuknął się w czoło i zaczął mruczeć do siebie:

— Więc mój Harrańczyk, jeżeli ubiera się w strój kapłana i chodzi do świątyni, musi być kapłanem; a jeżeli nosi brodę i włosy, musi być kapłanem chaldejskim. A jeżeli pokryjomu widuje się z tutejszymi kapłanami, więc jest w tem jakieś szelmostwo. Nie powiem o tem policji, bo mógłbym zła-

pać się. Ale zawiadomię którego z wielkich Sydończyków, bo może być w tem interes do zrobienia, jeżeli nie dla mnie, to dla naszych.

Wkrótce wrócił inny posłaniec. Asarhadon i z tym zeszedł do piwnicy i usłyszał następną relację:

— Przez całą noc stałem naprzeciw domu pod „Zieloną Gwiazdą". Harrańczyk tam był, upił się i wyrabiał takie krzyki, że aż policjant upominał odźwiernego...

— Hę?... — spytał gospodarz. — Harrańczyk był pod „Zieloną Gwiazdą" przez całą noc i ty go widziałeś?...

— I nietylko ja, ale policjant...

Asarhadon sprowadził pierwszego sługę i każdemu z nich kazał powtórzyć jego opowiadanie. Powtórzyli wiernie, każdy swoje. Z czego wynikło, że Phut Harrańczyk przez całą noc bawił się pod „Zieloną Gwiazdą", ani na chwilę nie opuszczając ej, a jednocześnie — że późnym wieczorem szedł lo świątyni Seta, z której nie wracał!

— O!... — mruczał Fenicjanin — w tem wszystkiem kryje się bardzo wielkie szelmostwo... Muszę czem prędzej zawiadomić starszych gminy fenickiej, że ten Chetejczyk umie bywać jednocześnie v dwu miejscach. Zarazem poproszę go, ażeby wyiósł się z mego zajazdu... Nie lubię takich, którzy mają dwie postacie: jedną swoją, drugą na zapas. Bo taki człowiek jest albo wielki złodziej, albo czarownik, albo spiskowiec.

Ponieważ Asarhadon lękał się tych rzeczy,

przeciw czarom zabezpieczył się modlitwami do wszystkich bogów, jacy ozdabiali jego szynkownię. Potem pobiegł do miasta, gdzie zawiadomił o fakcie starszego gminy fenickiej i starszego cechu złodziei. Następnie, wróciwszy do domu, wezwał dziesiętnika policji i oświadczył mu, że Phut może być człowiekiem niebezpiecznym. Wkońcu zażądał od Harrańczyka, ażeby opuścił jego zajazd, któremu nie przynosi zysków, tylko podejrzenia i straty.

Phut chętnie zgodził się na propozycję i oświadczył gospodarzowi, że jeszcze dzisiejszego wieczora odpłynie do Tebów.

— Bodajżeś stamtąd nie wrócił!... — pomyśla gościnny gospodarz. — Bodajżeś zgnił w kopalniach albo wpadł do rzeki na pastwę krokodylom!

ROZDZIAŁ XXI.

Podróż księcia następcy zaczęła się w najpiękniejszej porze roku, w miesiącu Famenut (koniec grudnia, początek stycznia).

Woda spadła do połowy wysokości, odsłaniając coraz nowe płaty ziemi. Od Tebów płynęły do mo rza mnogie tratwy z pszenicą; w Dolnym Egipcie zbierano koniczynę i senes. Drzewa pomarańczowe i granaty okryły się kwiatami, a na polach siano lu bin, len, jęczmień, bób, fasolę, ogórki i inne roślin ogrodowe.

Odprowadzony do przystani memfijskiej przez kapłanów, najwyższych urzędników państwa, gwa

dję jego świątobliwości faraona i tłumy ludu, książę namiestnik Ramzes wszedł do złocistej barki około dziesiątej rano. Pod pomostem i na obu krańcach łodzi zajęli miejsca najlepsi inżynierowie wodni. Jedni pilnowali żagla, drudzy komenderowali wioślarzami, inni nadawali kierunek statkowi.

Ramzes zaprosił do swej barki najczcigodniejszego arcykapłana Mefresa i świętego ojca Mentezufisa, którzy mieli mu towarzyszyć w podróży i pełnieniu władzy. Wezwał też dostojnego nomarchę Memfisu, który księcia odprowadzał do granic swojej prowincji.

Na kilkaset kroków przed namiestnikiem płynął piękny statek dostojnego Otoesa, który był nomarchą Aa, prowincji, sąsiadującej z Memfisem. Zaś za księciem uszykowały się niezliczone statki, zajęte przez dwór, kapłanów, oficerów i urzędników. Żywność i służba odjechały wcześniej.

Nil do Memfisu płynie między dwoma pasmami gór. Dalej góry kręcą się na wschód i zachód, a rzeka dzieli się na kilka ramion, których wody toczą się ku morzu przez wielką równinę.

Gdy statek odbił od przystani, książę chciał porozmawiać z arcykapłanem Mefresem. W tej chwili jednak zerwał się taki okrzyk tłumu, że następca musiał wyjść z pod namiotu i ukazać się ludowi.

Lecz wrzawa zamiast zmniejszyć się rosła. Na obu brzegach stały i wciąż zwiększały się tłumy półnagich wyrobników lub odzianych w świąteczne szaty mieszczan. Bardzo wielu miało wieńce na głowach, prawie wszyscy — zielone gałązki w rękach.

Niektóre grupy śpiewały, wśród innych rozlegał się łoskot bębnów i dźwięki fletów.

Gęsto ustawione wzdłuż rzeki żórawie z kubłami próżnowały. Natomiast krążył po Nilu rój drobnych czółenek, których osady rzucały kwiaty pod barkę następcy. Niektórzy sami skakali w wodę i płynęli za książęcym statkiem.

— Ależ oni tak mnie pozdrawiają, jak jego świątobliwość!... — pomyślał książę.

I wielka duma opanowała jego serce na widok tylu strojnych statków, które mógł zatrzymać jednem skinieniem, i tych tysięcy ludzi, którzy porzucili swoje zajęcia i narażali się na kalectwo, nawet na śmierć, byle spojrzeć w jego boskie oblicze.

Szczególnie upajał Ramzesa niezmierny krzyk tłumu, nie ustający ani na chwilę. Krzyk ten napełniał mu piersi, uderzał do głowy, podnosił go. Zdawało się księciu, że gdyby skoczył z pomostu, nawet nie dosięgnąłby wody, gdyż zapał ludu porwałby go i uniósł ku niebu, jak ptaka.

Statek nieco zbliżył się do lewego brzegu, postacie tłumu zarysowały się wyraźniej, i książę spostrzegł coś, czego się nie spodziewał. Podczas gdy pierwsze szeregi ludu klaskały i śpiewały, w dalszych widać było kije, gęsto i szybko spadające na niewidzialne grzbiety.

Zdziwiony namiestnik zwrócił się do nomarchy Memfisu.

— Spojrzyj-no wasza dostojność... Tam kije są w robocie?...

Nomarcha przysłonił ręką oczy, szyja poczerwieniała mu...

— Wybacz, najdostojniejszy panie, ale ja źle widzę...

— Biją... Z pewnością biją — powtarzał książę.

— To jest możliwe — odparł nomarcha. — Zapewne policja schwytała bandę złodziei...

Niezbyt zadowolony, następca poszedł na tył statku, między inżynierów, i z tego punktu spojrzał ku Memfisowi.

Brzegi wgórze Nilu były prawie puste, czółenka znikły, żórawie czerpiące wodę pracowały, jakgdyby nic nie zaszło.

— Już skończyła się uroczystość?... — zapytał książę jednego z inżynierów, wskazując wgórę rzeki.

— Tak... Ludzie wrócili do roboty — odparł inżynier.

— Bardzo prędko!...

— Muszą odzyskać czas stracony — rzekł nieostrożnie inżynier.

Następca drgnął i bystro spojrzał na mówiącego. Lecz wnet uspokoił się i wrócił pod namiot. Okrzyki nic go już nie obchodziły. Był pochmurny i milczący. Po wybuchu dumy, uczuł pogardę dla tłumu, który tak prędko przechodzi od zapału do żórawi, czerpiących błoto.

W tej okolicy Nil zaczyna dzielić się na odnogi. Statek naczelnika nomesu Aa skręcił ku zachodowi i po godzinnej jeździe przybił do brzegu. Tłumy były jeszcze liczniejsze, aniżeli pod Memfisem.

Ustawiono mnóstwo słupów z chorągwiami i bram triumfalnych, owiniętych zielenią. Między ludem coraz częściej można było napotkać obce twarze i ubiory.

Gdy książę wyszedł na ląd, zbliżyli się kapłani z baldachimem, a dostojny nomarcha Otoes rzekł do niego:

— Bądź pozdrowiony, namiestniku boskiego faraona, w granicach nomesu Aa. Na znak łaski swej, która jest dla nas niebieską rosą, chciej złożyć ofiarę Bogu Ptah, naszemu patronowi, i przyjmij pod swoją opiekę i władzę ten nomes z jego świątyniami, urzędnikami, ludem, bydłem, zbożem i wszystkiem, co się tu znajduje.

Następnie zaprezentował mu grupę młodych elegantów, pachnących, uróżowanych, ubranych w szaty haftowane złotem. Byli to bliżsi i dalsi krewni nomarchy, miejscowa arystokracja.

Ramzes przypatrywał im się z uwagą.

— Aha! — zawołał. — Zdawało mi się, że czegoś brakuje tym panom i już widzę. Oni nie mają peruk...

— Ponieważ ty, najdostojniejszy książę, nie używasz peruki, więc i nasza młodzież ślubowała sobie nie nosić tego stroju — odparł nomarcha.

Po tem objaśnieniu, jeden z młodych ludzi stanął za księciem z wachlarzem, drugi z tarczą, trzeci z włócznią i rozpoczął się pochód. Następca szedł pod baldachimem, przed nim kapłan z puszką, w której paliły się kadzidła — wreszcie kilka młodych

dziewcząt, rzucających róże na ścieżkę, którą książę miał przechodzić.

Lud w świątecznych strojach, z gałązkami w rękach, tworzył szpaler i krzyczał, śpiewał lub padał na twarz przed zastępcą faraona. Ale książę spostrzegł, że mimo głośnych oznak radości, twarze są martwe i zakłopotane. Zauważył też, że tłum jest podzielony na grupy, któremi dyrygują jacyś ludzie, i że uciecha odbywa się na komendę. I znowu uczuł w sercu chłód pogardy dla tego motłochu, który nawet cieszyć się nie umie.

Zwolna orszak zbliżał się do murowanej kolumny, która odgraniczała nomes Aa od nomesu memfijskiego. Na kolumnie, z trzech stron, znajdowały się napisy, dotyczące: rozległości, ludności i liczby miast prowincji; z czwartej strony stał posąg bożka Ptah, okręconego od stóp do piersi w powijaki, w zwykłym czepcu na głowie, z laską w ręku.

Jeden z kapłanów podał księciu złotą łyżkę z płonącem kadzidłem. Następca, odmawiając przepisane modlitwy, wyciągnął kadzielnicę na wysokość oblicza bóstwa i kilkakrotnie nisko się skłonił.

Okrzyki ludu i kapłanów wzmogły się jeszcze bardziej, choć między arystokratyczną młodzieżą widać było uśmieszki i drwinki. Książę, który od czasu pogodzenia się z Herhorem okazywał wielki szacunek bogom i kapłanom, lekko zmarszczył brwi, i w jednej chwili młodzież zmieniła postawę. Wszyscy spoważnieli, a niektórzy padli na twarz przed kolumną.

„Zaprawdę! — pomyślał książę — ludzie szla-

chetnego urodzenia lepsi są, aniżeli ten motłoch... Cokolwiek czynią, sercem czynią, nie jak ci, którzy, wrzeszcząc na moją cześć, radziby jak najprędzej wrócić do swoich obór i warsztatów..."

Teraz, lepiej niż kiedykolwiek, zmierzył odległość, jaka istniała pomiędzy nim a prostakami. I zrozumiał, że tylko arystokracja jest klasą, z którą łączy go wspólność uczuć. Gdyby nagle znikli ci strojni młodzieńcy i piękne kobiety, których płonące spojrzenia śledzą każdy jego ruch, ażeby natychmiast służyć mu i spełniać rozkazy, gdyby ci znikli, książe wśród niezliczonych tłumów ludu czułby się samotniejszym, aniżeli w pustyni.

Ośmiu murzynów przyniosło lektykę, ozdobioną nad baldachimem strusiemi piórami, i książę, wsiadłszy w nią, udał się do stolicy nomesu Sochem, gdzie zamieszkał w rządowym pałacu.

Pobyt Ramzesa w tej prowincji, o kilka mil zaledwie oddalonej od Memfisu, ciągnął się miesiąc. Cały zaś ten czas upłynął mu na przyjmowaniu próśb, odbieraniu hołdów, na prezentacjach urzędników i ucztach.

Uczty odbywały się podwójne: jedne w pałacu, w których brała udział tylko arystokracja, drugie w dziedzińcu zewnętrznym, gdzie pieczono całe woły, zjadano setki sztuk chleba i wypijano setki dzbanów piwa. Tu raczyła się służba książęca i niżsi urzędnicy nomesu.

Ramzes podziwiał hojność nomarchy i przywiązanie wielkich panów, którzy dniem i nocą ota-

czali namiestnika, czujni na każde jego skinienie i gotowi spełniać rozkazy.

Nareszcie, zmęczony zabawami, książę oświadczył dostojnemu Otoesowi, że chce bliżej poznać gospodarstwo prowincji. Taki bowiem otrzymał rozkaz od jego świątobliwości faraona.

Życzeniu stało się zadość. Nomarcha poprosił księcia, aby usiadł do lektyki, niesionej tylko przez dwóch ludzi, i z wielkim orszakiem zaprowadził go do świątyni bóstwa Hator. Tam orszak został w przysionku, a nomarcha kazał tragarzom wnieść księcia na szczyt jednego z pylonów i sam mu towarzyszył.

Ze szczytu sześciopiętrowej wieży, skąd kapłani obserwowali niebo, i zapomocą kolorowych chorągwi porozumiewali się z sąsiedniemi świątyniami w Memfis, Athribis i Anu, wzrok ogarniał w kilkumilowym promieniu prawie całą prowincję.

Z tego też miejsca dostojny Otoes pokazywał księciu, gdzie leżą pola i winnice faraona, który kanał oczyszcza się obecnie, która tama ulega naprawie, gdzie znajdują się piece do topienia bronzu, gdzie śpichrze królewskie, gdzie bagna zarosłe lotosem i papirusem, które pola są zasypane piaskiem i tak dalej.

Ramzes był zachwycony pięknym widokiem i gorąco dziękował Otoesowi za doznawaną przyjemność. Lecz gdy wrócił do pałacu i, wedle rady ojca, zaczął notować wrażenia, przekonał się, że jego wiadomości o ekonomicznym stanie nomesu Aa nie rozszerzyły się.

Po kilku dniach, znowu zażądał od Otoesa wyjaśnień, dotyczących administracji prowincją. Wówczas dostojny pan kazał zgromadzić się wszystkim urzędnikom i przedefilować przed księciem, który w głównym dziedzińcu siedział na wzniesieniu.

Więc przesuwali się około namiestnika wielcy i mali podskarbiowie, pisarze od zbóż, wina, bydła i tkanin, naczelnicy mularzy i kopaczy, inżynierowie lądowi i wodni, lekarze różnych chorób, oficerowie pułków robotniczych, pisarze policji, sędziowie, dozorcy więzień, nawet paraszytowie i oprawca. Po nich dostojny nomarcha przedstawił Ramzesowi jego własnych urzędników tej prowincji. Książę zaś z niemałem zdziwieniem dowiedział się, że w nomesie Aa i mieście Sochem posiada: osobnego woźnicę, łucznika, nosiciela tarczy, włóczni i topora, kilkunastu lektykarzy, kilku kucharzy, podczaszych, fryzjerów i wielu innych służebników, odznaczających się przywiązaniem i wiernością, choć Ramzes wcale ich nie znał i nawet nie słyszał ich nazwisk.

Zmęczony i znudzony jałowym przeglądem urzędników, książę upadł na duchu. Przerażała go myśl, że on nic nie pojmuje, że więc jest niezdolny do kierowania państwem. Lecz nawet przed samym sobą lękał się przyznać do tego.

Bo jeżeli nie potrafi rządzić Egiptem, a inni poznają się na tem, co mu pozostanie?... Tylko śmierć. Ramzes czuł, że poza tronem niema dla niego szczęścia, że bez władzy — nie mógłby istnieć.

Lecz gdy parę dni odpoczął, o ile można było

odpocząć w chaosie dworskiego życia, znowu wezwał do siebie Otoesa i rzekł mu:

— Prosiłem waszą dostojność, ażebyś mnie wtajemniczył w rządy swego nomesu. Zrobiłeś tak: pokazałeś mi kraj i urzędników, ale ja—jeszcze nic nie wiem. Owszem, jestem jak człowiek w podziemiach naszych świątyń, który widzi dokoła siebie tyle dróg, że wkońcu nie może wyjść na świat.

Nomarcha zafrasował się.

— Co mam robić?... — zawołał. — Czego chcesz ode mnie, władco?... Rzeknij tylko słowo, a oddam ci mój urząd, majątek, nawet głowę.

A widząc, że książę łaskawie przyjmuje te zapewnienia, prawił dalej:

— W czasie podróży widziałeś lud tego nomesu. Powiesz, że nie byli wszyscy. Zgoda. Każę, aby wyszła cała ludność, a jest jej: mężów, kobiet, starców i dzieci około dwustu tysięcy sztuk. Z wierzchołka pylonu raczyłeś oglądać nasze terytorjum. Lecz jeżeli pragniesz, możemy zbliska obejrzeć każde pole, każdą wieś i ulicę miasta Sochem.

Nareszcie pokazałem ci urzędników, między którymi, prawda, że brakowało najniższych. Ale wydaj rozkaz, a wszyscy staną jutro przed twojem obliczem i będą leżeli na brzuchach swych.

Cóż mam więcej uczynić?... — odpowiedz, najdostojniejszy panie!...

— Wierzę ci, że jesteś najwierniejszy — odparł książę. — Objaśnij mi więc dwie rzeczy: jedną — dlaczego zmniejszyły się dochody jego świą-

tobliwości faraona? drugą — co ty sam robisz w nomesie?...

Otoes zmieszał się, a książę prędko dodał:

— Chcę wiedzieć: co tu robisz i jakiemi sposobami rządzisz? gdyż jestem młody i dopiero zaczynam rządy...

— Ale masz mądrość starca! — szepnął nomarcha.

— Godzi się więc — mówił książę — ażebym ja wypytywał doświadczonych, a ty ażebyś mi udzielał nauk.

— Wszystko pokażę waszej dostojności i opowiem — rzekł Otoes. — Ale trzeba nam wydostać się w miejsce, gdzie niema tej wrzawy...

W istocie w pałacu, który zajmował książę, na dziedzińcach wewnętrznych i zewnętrznych, tłoczyło się takie mnóstwo ludzi, jak na jarmarku. Jedli oni, pili, śpiewali, mocowali się lub gonili, a wszystko na chwałę namiestnika, którego byli sługami.

Jakoż około trzeciej popołudniu nomarcha kazał wyprowadzić dwa konie, na których razem z księciem wyjechał z miasta na zachód. Dwór zaś został w pałacu i bawił się jeszcze weselej.

Dzień był piękny, chłodny, ziemia okryta zielonością i kwieciem. Nad głowami jeźdźców rozlegały się śpiewy ptaków, powietrze było pełne woni.

— Jak tu przyjemnie! — zawołał Ramzes. — Pierwszy raz od miesiąca mogę zebrać myśli. A już zacząłem wierzyć, że w mojej głowie osiedlił się cały pułk wozów wojennych i od rana do nocy odbywa mustrę.

— Taki jest los mocarzy świata — odparł nomarcha.

Stanęli na wzgórzu. U stóp ich leżała ogromna łąka, przecięta błękitną strugą. Na północy i na południu bieliły się mury miasteczek. Za łąką, aż do krańca horyzontu, ciągnęły się czerwone piaski pustyni zachodniej, od której niekiedy wiało tchnienie upalnego wiatru, jak z pieca.

Na łące pasły się niezliczone stada zwierząt domowych: rogate i bezrogie woły, owce, kozy, osły, antylopy, nawet nosorożce. Tu i owdzie było widać kępy moczarów, obrosłych roślinami wodnemi i krzakami, w których roiły się dzikie gęsi, kaczki, gołębie, bociany, ibisy i pelikany.

— Spojrzyj, panie — rzekł nomarcha — oto obraz naszego kraju Queneh, Egiptu. Ozyris umiłował ten pasek ziemi wśród pustyń, zasypał go roślinnością i zwierzętami, aby mieć z nich pożytek. Potem dobry bóg wziął na siebie ludzką postać i był pierwszym faraonem. A gdy poczuł, że mu ciało więdnie, opuścił je i wstąpił w swego syna, a następnie w jego syna.

Tym sposobem Ozyris żyje między nami od wieków, jako faraon, i ciągnie korzyści z Egiptu i jego bogactw, które sam stworzył. Rozrósł się pan, jak potężne drzewo. Konarami jego są wszyscy królowie egipscy, gałęźmi — nomarchowie i kapłani, a gałązkami — stan rycerski. Widzialny bóg zasiada na tronie ziemskim i pobiera należny mu dochód z kraju; niewidzialny przyjmuje ofiary w świątyniach i przez usta kapłanów wypowiada swoją wolę.

— Mówisz prawdę — wtrącił książę. — Tak jest napisano.

— Ponieważ Ozyris-faraon — ciągnął nomarcha — nie może sam zajmować się ziemskiem gospodarstwem, więc polecił czuwać nad swoim majątkiem nam, nomarchom, którzy z jego krwi pochodzimy.

— To jest prawda — rzekł Ramzes. — Nawet niekiedy słoneczny bóg wciela się w nomarchę i daje początek nowej dynastji. Tak powstały dynastja memfijska, elefantyjska, tebańska, ksoicka...

— Rzekłeś, panie — mówił dalej Otoes. — A teraz odpowiem na to, o co mnie pytałeś.

Pytałeś: co ja tu robię w nomesie?... Pilnuję majątku Ozyrisa-faraona i mojej w nim cząstki. Spojrzyj na te stada: widzisz różne zwierzęta. Jedne dają mleko, inne mięso, inne wełny i skóry. Podobnie ludność Egiptu: jedni dostarczają zbóż, inni wina, tkanin, sprzętów, budynków. Moją zaś rzeczą jest pobrać od każdego, co winien, i złożyć u stóp faraona.

W dozorowaniu tak licznych stad sam nie podołałbym: więc wybrałem sobie czujne psy i mądrych pasterzów. Jedni doją zwierzęta, strzygą, zdejmują z nich skóry; inni pilnują, aby złodziej nie pokradł ich, lub nie poszarpał drapieżnik. Podobnież z nomesem: nie zdążyłbym zebrać wszystkich podatków i ustrzec ludzi od złego; więc mam urzędników, którzy robią, co jest słuszne, a mnie składają rachunki ze swoich czynności.

— Wszystko jest prawdą — przerwał książę.

że—znam to i rozumiem. Lecz nie mogę dojść: dlaczego zmniejszyły się dochody jego świątobliwości, chociaż są tak pilnowane?

— Chciej przypomnieć sobie wasza dostojność — odparł nomarcha — że bóg Set, choć jest rodzonym bratem słonecznego Ozyrisa, nienawidzi go, walczy z nim i psuje wszelkie jego dzieła. On zsyła śmiertelne choroby na ludzi i bydło, on sprawia, że przybór Nilu jest za mały, lub zanadto gwałtowny, on na Egipt w porze gorącej rzuca tumany piasków.

Gdy rok jest dobry, Nil dosięga pustyni, gdy zły — pustynia przychodzi do Nilu, a wówczas i dochody królewskie muszą być mniejsze.

— Spojrzyj, wasza cześć — mówił, wskazując łąkę. — Liczne są te stada, ale za mojej młodości były liczniejsze. A kto temu winien? Nikt inny, tylko Set, któremu nie oprą się ludzkie siły. Ta łąka, dziś ogromna, była niegdyś jeszcze większa, i z tego miejsca nie widywano pustyni, która nas dziś przeraża.

Gdzie bogowie walczą, człowiek nie poradzi; gdzie Set zwycięża Ozyrisa, któż mu zabiegnie drogę?

Dostojny Otoes skończył; książę zwiesił głowę. Niemało nasłuchał się on w szkołach o łasce Ozyrisa i niegodziwościach Seta i, jeszcze dzieckiem będąc, gniewał się, że z Setem nie zrobiono ostatecznych rachunków.

„Jak ja urosnę — myślał wówczas — a udźwignę włócznię, poszukam Seta i spróbujemy się!...“

I oto patrzał dziś na niezmierny obszar piasków, państwo złowrogiego boga, który umniejszał dochody Egiptu; ale o walce z nim nie myślał. Bo jak tu walczyć z pustynią?... Może ją tylko omijać, albo w niej zginąć.

ROZDZIAŁ XXII.

Pobyt w nomesie Aa tak zmęczył następcę tronu, że dla odpoczynku i zebrania myśli kazał zaprzestać wszelkich uroczystości na swoją cześć i zapowiedział, aby w czasie podróży ludność nigdzie nie występowała z powitaniami dla niego.

Orszak książęcy dziwił się, nawet trochę gorszył. Ale rozkaz wykonano, i Ramzes znowu odzyskał nieco spokojności w życiu. Miał teraz czas do mustrowania żołnierzy, co było jego najmilszem zajęciem, i mógł nieco skupić zwichrzone myśli.

Zamknięty w najodleglejszym kącie pałacu, książę począł zastanawiać się: o ile spełnił rozkazy ojca?

Własnemi oczyma obejrzał nomes Aa: jego wola, miasteczka, ludność i urzędników. Sprawdził też, że wschodni brzeg prowincji uległ najazdowi pustyni. Spostrzegł, że ludność robocza jest obojętna i głupia, że robi tylko to, co jej każą, a i to niechętnie. Nareszcie przekonał się, że naprawdę wiernych i kochających poddanych znaleźć można tylko wśród arystokracji. Są oni bowiem albo spo-

krewnieni z rodem faraonów, albo należą do stanu rycerskiego i są wnukami żołnierzy, którzy walczyli pod Ramzesem Wielkim.

W każdym razie, ci ludzie szczerze garnęli się do dynastji i gotowi byli służyć jej z prawdziwym zapałem. Nie jak chłopi, którzy, odkrzyczawszy powitanie, czem prędzej biegli do swoich świń i wołów.

Główny jednak cel posłannictwa był nierozstrzygnięty. Ramzes nietylko jasno nie widział przyczyn zmniejszenia się królewskich dochodów, ale nawet nie umiał sformułować pytania: dlaczego jest źle i — jak poprawić złe? Czuł tylko, że legendowa wojna boga Seta z bogiem Ozyrisem niczego nie wyjaśnia i wcale nie podaje środków zaradczych.

Książę zaś, jako przyszły faraon, chciał mieć wielkie dochody, takie, jak dawni władcy Egiptu. I kipiał gniewem na samą myśl, że, wstąpiwszy na tron, może być równie ubogim, jak ojciec, jeżeli nie uboższym.

— Nigdy!... — wołał książę, zaciskając pięści.

Dla powiększenia królewskich majątków był gotów rzucić się z mieczem na samego boga Seta i tak porąbać go w kawały, jak on zrobił ze swoim bratem Ozyrisem. Ale zamiast okrutnego bóstwa i jego legjonów, widział dokoła siebie: pustkę, ciszę i niewiadomość.

Pod wpływem tych szamotań się z własnemi myślami, zaczepił raz arcykapłana Mefresa.

— Powiedz mi, święty ojcze, któremu znana jest wszelka mądrość: dlaczego dochody państwa

zmniejszają się i w jaki sposób możnaby je powiększyć?

Arcykapłan wzniósł ręce do góry.

— Niech będzie błogosławiony — zawołał — duch, który podszepnął ci, dostojny panie, takie myśli!... O, bodajbyś poszedł śladami wielkich faraonów, którzy pokryli Egipt świątyniami, a zapomocą tam i kanałów zwiększyli obszar urodzajnych gruntów!...

Starzec był tak wzruszony, że zapłakał.

— Przedewszystkiem — odparł książę — odpowiedz mi na to, o co pytam. Bo czyliż można myśleć o budowaniu kanałów i świątyń, gdy skarb jest pusty? Na Egipt spadło największe nieszczęście: jego władcom grozi ubóstwo. To przedewszystkiem należy zbadać i poprawić, a reszta znajdzie się.

— O tem, książę, dowiesz się tylko w świątyniach, u stóp ołtarzy — mówił arcykapłan. — Tylko tam szlachetna ciekawość twoja może być zaspokojona.

Ramzes rzucił się niecierpliwie.

— Przed oczyma waszej dostojności świątynie zasłaniają cały kraj, nawet skarb faraona!... Jestem przecie kapłańskim uczniem, wychowałem się w cieniu świątyń, znam tajemnicze widowiska, na których przedstawiacie złość Seta, a śmierć i odradzanie się Ozyrisa, cóż mi z tego?... Gdy ojciec spyta mnie: w jaki sposób napełnić skarbiec? — nic nie odpowiem. Chyba powinienbym go namawiać, ażeby jeszcze dłużej i częściej modlił się, niż to robi dotychczas.

— Bluźnisz, książę, bo nie znasz wysokich obrzędów religji. Gdybyś je poznał, odpowiedziałbyś na wiele pytań, które cię dręczą. A gdybyś widział to, co ja widziałem!... Uwierzyłbyś, że najważniejszą sprawą dla Egiptu jest podźwignąć jego świątynie i kapłanów...

„Starcy po raz drugi w życiu stają się dziećmi“ — pomyślał książę i przerwał rozmowę.

Arcykapłan Mefres był zawsze bardzo pobożny; lecz w ostatnich czasach posuwał się nawet do dziwactw w tym kierunku.

— Dobrzebym wyszedł — mówił do siebie Ramzes — oddawszy się w ręce kapłanów, dla asystowania ich dziecinnym obrządkom. A może Mefres kazałby i mnie całe godziny wystawać przed ołtarzem z podniesionemi rękoma, jak to sam podobno robi, spodziewając się cudów!...

W miesiącu Farmuti (koniec stycznia — początek lutego) książę pożegnał Otoesa, by przenieść się do nomesu Hak. Dziękował nomarsze i panom za wspaniałe przyjęcie, ale w duszy miał smutek, czując, że nie wywiąże się z zadania, które włożył na niego ojciec.

Odprowadzony przez rodzinę i dwór Otoesa, namiestnik z orszakiem swym przeprawił się na prawy brzeg Nilu, gdzie powitał go dostojny nomarcha Ranuzer z panami i kapłanami. Gdy książę stanął na ziemi Hak, kapłani podnieśli wgórę posągi bożka Atmu, patrona prowincji, urzędnicy padli na twarz, a nomarcha podał mu złoty sierp, prosząc,

aby jako zastępca faraona, rozpoczął żniwo. W tej porze bowiem należało zbierać jęczmień.

Ramzes przyjął sierp, ściął parę garści kłosów i spalił je z kadzidłem przed bogiem, pilnującym granic. Po nim zrobił to samo nomarcha i wielcy panowie, a nareszcie zaczęli żniwo chłopi. Zbierali oni tylko kłosy, które pakowano w worki; słoma zaś zostawała w polu.

Wysłuchawszy nabożeństwa, które znudziło go, książę stanął na dwukolnym wozie. Wysunął się oddział wojska, za nimi kapłani, dwaj panowie prowadzili za uzdy konie następcy. Za następcą, na drugim wozie, jechał nomarcha Ranuzer, a za nim ogromny orszak panów i sług dworskich. Lud, zgodnie z wolą Ramzesa, nie wystąpił; lecz chłopi, pracujący w polu, na widok procesji, upadali twarzami na ziemię.

W ten sposób, przeszedłszy kilka pontonowych mostów, rzuconych na odnogi Nilu i kanały, książę nad wieczorem dojechał do miasta Anu, stolicy prowincji.

Przez kilka dni ciągnęły się uczty powitalne, składano namiestnikowi hołdy, przedstawiano mu urzędników. Wkońcu Ramzes zażądał przerwania uroczystości i prosił nomarchę o zaznajomienie go z bogactwami nomesu.

Przegląd zaczął się nazajutrz i trwał parę tygodni. Codzień na podwórze pałacu, w którym mieszkał następca, przychodziły rozmaite cechy rzemieślnicze pod komendą cechowych oficerów, ażeby okazać księciu swoje wyroby.

Więc kolejno przeciągali fabrykanci broni z mieczami, włóczniami i toporami; fabrykanci instrumentów muzycznych z piszczałkami, trąbkami, bębnami i arfami. Po tych przyszedł wielki cech stolarski, który okazywał krzesła, stoły, kanapy, lektyki i wozy, ozdobione bogatemi rysunkami, wykładane różnokolorowem drzewem, perłową masą i kością słoniową. Potem niesiono metalowe naczynia kuchenne: ruszty do ognisk, rożny, dwuuszne garnki i płytkie rynki z pokrywami. Jubilerowie popisywali się cudnej piękności pierścieniami ze złota, bransoletami na ręce i nogi z elektronu, czyli mieszaniny złota i srebra, łańcuchami; wszystko to kunsztownie rzeźbione, wysadzane drogiemi kamieniami, lub różnokolorową emalją.

Zamknęli pochód garncarze, niosący przeszło sto gatunków naczyń glinianych. Były tam wazy, garnki, misy, dzbany i kruże, najrozmaitszej formy i wielkości, pokryte malowidłami, ozdobione głowami zwierząt i ptaków.

Każdy cech składał księciu ofiary ze swoich najpiękniejszych wyrobów. Zapełniły one dużą salę, choć nie było między niemi dwu do siebie podobnych.

Po skończeniu ciekawej, lecz i nużącej wystawy, jego dostojność Ranuzer spytał księcia: czy jest zadowolony?

Następca zamyślił się.

— Piękniejsze rzeczy — odparł — widziałem chyba w świątyniach, albo w pałacach mego ojca. Ponieważ jednak mogą kupować je tylko ludzie

bogaci, więc nie wiem, czy skarb państwa ma z nich dość wielkie dochody.

Nomarchę zdziwiła ta obojętność dla dzieł sztuki w młodym panu, a zaniepokoiła troska o dochody. Chcąc jednak zadowolić Ramzesa, zaczął od tej pory oprowadzać go po fabrykach królewskich.

Więc jednego dnia zwiedzili młyny, gdzie niewolnicy w kilkuset żarnach i stępach przygotowywali mąkę. Byli w piekarniach, gdzie wypiekano chleb i suchary dla wojska, tudzież w fabryce, gdzie robiono konserwy z ryb i mięsa.

Oglądali wielkie garbarnie i warsztaty sandałów, huty, gdzie topiono bronz na naczynia i oręże, potem cegielnie, cechy tkaczów i krawców.

Zakłady te mieściły się we wschodniej części miasta. Ramzes z początku oglądał je ciekawie; ale bardzo prędko obrzydł mu widok robotników, którzy byli wystraszeni, chudzi, mieli chorowitą cerę i blizny od kijów na plecach.

Od tej pory bawił krótko w fabrykach; wolał przypatrywać się okolicom miasta Anu. Daleko, na wschodzie, widać było pustynię, wśród której w roku zeszłym odbywały się manewry pomiędzy korpusem jego i Nitagera. Jak na dłoni widział gościniec, którym maszerowały jego pułki, miejsce, gdzie, z powodu znalezienia skarabeuszów, machiny wojenne musiały skręcić na pustynię, a może nawet i to drzewo, na którem powiesił się chłop kopiący kanał...

Z tamtego szczytu, w towarzystwie Tutmozisa, spoglądał na kwitnącą ziemię Gosen i złorzeczył

kapłanom. A tam, między wzgórzami spotkał Sarę, do której zapaliło się jego serce.

Dziś, jakie zmiany!... Już przestał nienawidzieć kapłanów, od czasu gdy za sprawą Herhora dostał korpus i namiestnikostwo. Sara zaś zobojętniała mu jako kochanka, lecz natomiast coraz żywiej obchodziło go dziecię, którego miała zostać matką.

„Co ona tam robi? — myślał książę. — Już dawno nie miałem od niej wiadomości".

A gdy tak patrzył na wschodnie wzgórza i rozpamiętywał niedawną przeszłość, stojący na czele jego świty nomarcha Ranuzer był przekonany, że książę spostrzegł jakieś nadużycia w fabrykach i medytuje nad sposobem ukarania go.

— Ciekawym co on zobaczył? — mówił w sobie dostojny nomarcha. — Czy to, że połowę cegły sprzedano kupcom fenickim, czy że dziesięć tysięcy sandałów brakuje w składzie, czy może jaki podły nędznik szepnął mu co o metalowych hutach?

I serce Ranuzera napełnił wielki niepokój.

Nagle książę odwrócił się do świty i wezwał Tutmozisa, który zawsze miał obowiązek znajdować się wpobliżu jego osoby.

Tutmozis przybiegł, następca odszedł z nim jeszcze dalej na stronę.

— Słuchaj — rzekł, wskazując pustynię. — Widzisz ty te góry?...

— Byliśmy tam zeszłego roku... — westchnął dworak.

— Przypomniałem sobie Sarę...

— Zaraz spalę kadzidło bogom! — zawołał

Tutmozis — bom już myślał, że od czasu, gdy jesteś namiestnikiem, wasza dostojność zapomniałeś o swoich wiernych sługach...

Książę popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

— Wybierz — mówił — z pośród darów, które mi złożono, wybierz kilka najpiękniejszych naczyń, sprzętów, tkanin, a nadewszystko bransolet i łańcuchów, i zawieź to Sarze...

— Żyj wiecznie, Ramzesie — szepnął elegant— bo jesteś szlachetnym panem!

— Powiedz jej — ciągnął książę — że mam serce zawsze pełne łaski dla niej. Powiedz, że chcę, aby pilnowała swego zdrowia i dbała o dziecko, które ma przyjść na świat. Gdy zaś zbliży się czas rozwiązania, a ja spełnię rozkazy ojca mego, powiedz Sarze, że przyjedzie do mnie i osiądzie w mym domu. Nie mogę ścierpieć, ażeby matka mojego dziecka tęskniła w samotności... Jedź, uczyń, com rzekł, i wracaj z dobremi wiadomościami.

Tutmozis upadł na twarz przed szlachetnym władcą i natychmiast puścił się w drogę. Orszak księcia, nie mogąc odgadnąć treści rozmowy, zazdrościł Tutmozisowi łask pańskich, a dostojny Ranuzer czuł rosnący niepokój w swej duszy.

„Obym — mówił stroskany — obym nie potrzebował podnieść ręki na samego siebie i w kwiecie wieku osierocić dom!... Pocóżem, nieszczęsny, przywłaszczając sobie dobra jego świątobliwości faraona, nie pomyślał o godzinie sądu?“

Twarz jego zrobiła się żółta i nogi chwiały się pod nim. Ale książę, opanowany falą wspomnień, nie spostrzegł jego trwogi.

ROZDZIAŁ XXIII.

Teraz w mieście Anu nastąpił szereg uczt i zabaw. Dostojny Ranuzer wydobył z piwnic najlepsze wina, z trzech sąsiednich nomesów zjechały najpiękniejsze tancerki, najsławniejsi muzycy, najosobliwsi sztukmistrze. Książę Ramzes miał czas doskonale zapełniony. Z rana mustra wojsk i przyjęcia dygnitarzy, później uczta, widowiska, polowania i znowu uczta.

Lecz w chwili, gdy nomarcha Haku był pewny, że namiestnik już znudził się kwestjami administracyjnemi i ekonomicznemi, książę wezwał go do siebie i spytał:

— Nomes waszej dostojności należy do najbogatszych w Egipcie?...

— Tak... chociaż mieliśmy kilka lat ciężkich— odparł Ranuzer, i znowu serce w nim zamarło, a nogi zaczęły drżeć.

— To mnie właśnie dziwi — mówił książę — iż z roku na rok zmniejszają się dochody jego świątobliwości. Czy nie mógłbyś mi tego wyjaśnić?

— Panie — rzekł nomarcha, schylając głowę do ziemi. — Widzę, że moi wrogowie w duszy twej zasieli nieufność; cokolwiekbym więc powiedział, nie trafi do przekonania twego. Pozwól mi zatem

nie zabierać już głosu. Niech tu raczej przyjdą pisarze z dokumentami, które będziesz mógł sam dotknąć ręką i sprawdzić...

Książę nieco zdziwił się nieoczekiwanym wybuchem, lecz przyjął propozycję. Owszem, uradował się nią. Sądził bowiem, że raporta pisarzów wyjaśnią mu tajemnicę zarządu.

Przyszedł tedy na drugi dzień wielki pisarz nomesu Hak, tudzież jego pomocnicy, i przynieśli z sobą kilkanaście zwojów papirusu, zapisanych na obie strony. Gdy rozwinięto je, utworzyło to wstęgę, szeroką na trzy piędzie dużej ręki, długą na 60 kroków. Książę pierwszy raz widział tak olbrzymi dokument, w którym znajdował się opis jednej tylko prowincji i z jednego roku.

Wielki pisarz usiadł na podłodze z podwiniętemi nogami i zaczął:

— W trzydziestym trzecim roku panowania jego świątobliwości Mer-amem-Ramzesa, Nil opóźnił się z wylewem. Chłopi przypisują to nieszczęście czarnoksięstwu cudzoziemców, zamieszkałych w prowincji Hak, zaczęli burzyć domy niewiernych żydów, Chetów i Fenicjan, przyczem kilka osób zabito. Z rozkazu jego dostojności nomarchy, winnych stawiono przed sąd, dwudziestu pięciu chłopów, dwóch murarzy i pięciu szewców skazano do kopalń, a jednego rybaka uduszono...

— Co to za dokument? — przerwał książę.

— To sprawozdanie sądowe, przeznaczone dla stóp jego świątobliwości.

— Odłóż to i czytaj o dochodach skarbowych.

Pomocnicy wielkiego pisarza zwinęli odrzucony dokument, a podali mu inny. Dostojnik znowu zaczął czytać:

— Dnia 5 miesiąca Tot, przywieziono do śpichrzów królewskich sześćset miar pszenicy, na co główny dozorca wydał pokwitowanie.

— Dnia 7 Tot, wielki skarbnik dowiedział sie i sprawdził, że z zeszłorocznych zbiorów ubyło sto czterdzieści ośm miar pszenicy. W czasie sprawdzania dwaj robotnicy ukradli miarę ziarna i ukryli je między cegłę. Co, gdy stwierdzono, oddani zostali pod sąd i zesłani do kopalń, za podniesienie ręki na majątek jego świątobliwości...

— A tamte sto czterdzieści ośm miar? — spytał następca.

— Myszy zjadły — odpowiedział pisarz i czytał dalej:

— 8-go Tot, przysłano dwadzieścia krów, ośmdziesiąt cztery owce na rzeź, które nadzorca wołów kazał oddać pułkowi Krogulec, za stosownem pokwitowaniem...

Tym sposobem namiestnik dowiadywał się, dzień po dniu, ile jęczmienia, pszenicy, fasoli i ziarn lotosu zwieziono do spichrzów, ile oddano do młynów, ile skradziono i ilu robotników z tego powodu skazano do kopalń. Raport był tak nudny i chaotyczny, że w połowie miesiąca Paofi książę kazał przerwać czytanie.

— Powiedz mi, wielki pisarzu — spytał Ramzes — co ty z tego rozumiesz?... Co ty wiesz z tego?...

— Wszystko, co wasza dostojność rozkaże...

I zaczął znowu od początku, ale już z pamięci:

— Dnia 5-go miesiąca Tot, przywieziono do królewskich śpichrzów...

— Dość! — zawołał rozgniewany książę i kazał im iść precz.

Pisarze upadli na twarz, potem szybko zabrali zwoje papirusów, znowu upadli na twarz i pędem wynieśli się za drzwi.

Książę wezwał do siebie nomarchę Ranuzera. Przyszedł z rękoma założonemi na piersiach, ale spokojnem obliczem. Dowiedział się bowiem od pisarzów, że namiestnik nie może niczego dojść z raportów i że ich nawet nie wysłuchał.

— Powiedz mi, wasza dostojność — zaczął następca — czy i tobie czytają raporty?

— Codzień...

— I ty je rozumiesz?

— Wybacz, najdostojniejszy panie, ale... czyliż mógłbym rządzić nomesem, gdybym tego nie rozumiał?

Książę stropił się i zamyślił. Może być, że naprawdę tylko on jest tak nieudolny?... A wówczas— w co się zamieni jego władza?...

— Siądź — rzekł po chwili, wskazując Ranuzerowi krzesło. — Siądź i opowiedz mi: w jaki sposób rządzisz nomesem?...

Dostojnik pobladł i oczy wywróciły mu się białkami do góry. Ramzes spostrzegł to i zaczął się tłumaczyć:

— Nie myśl, że nie ufam twej mądrości...

Owszem, nie znam człowieka, który mógłby lepiej od ciebie sprawować władzę... Ale jestem młody i ciekawy: co to jest sztuka rządzenia? Więc proszę cię, abyś mi udzielił okruchów z twoich doświadczeń. Rządzisz nomesem — wiem o tem!... A teraz wytłumacz mi: jak się robi rząd?

Nomarcha odetchnął i zaczął:

— Opowiem waszej dostojności cały bieg życia mego, abyś wiedział, jak ciężką mam pracę.

Z rana, po kąpieli, składam ofiary bogu Amut, a potem wołam skarbnika i wypytuję go: czy należycie zbierają się podatki dla jego świątobliwości? Gdy mówi, że — tak, chwalę go; gdy zaś powie, że ci a ci nie zapłacili, wydaję rozkaz, aby nieposłusznych uwięziono.

Następnie wołam dozorcę królewskich stodół, aby wiedzieć, ile przybyło ziarna. Jeżeli dużo, chwalę go; jeżeli mało, każę dać plagi winnym.

Później przychodzi wielki pisarz i mówi: czego z dóbr jego świątobliwości potrzebuje wojsko, urzędnicy i robotnicy — a ja każę wydać za pokwitowaniem. Gdy wyda mniej, chwalę go, jeżeli więcej, rozpoczynam śledztwo.

Popołudniu przychodzą do mnie kupcy fenicy, którym sprzedaję zboże, a do skarbu faraona wnoszę pieniądze. Potem modlę się i zatwierdzam wyroki sądowe, nad wieczorem zaś policja donosi mi o wypadkach. Niedalej, jak onegdaj, ludzie z mego nomesu wpadli na terytorjum prowincji Ka i znieważyli posąg boga Sebaka. W sercu uradowałem się, nie jest to bowiem nasz patron; wszakże, skaza-

łem kilku winnych na uduszenie, wielu do kopalń, a wszystkich na plagi.

To też w nomesie moim panuje cisza i dobre obyczaje, a podatki wpływają codzień...

— Chociaż dochody faraona zmniejszyły się i u was — wtrącił książę.

— Prawdę rzekłeś, panie — westchnął dostojny Ranuzer. — Kapłani mówią, że bogowie rozgniewali się na Egipt za napływ cudzoziemców; ja jednak widzę, że i bogowe nie gardzą fenickiem złotem i drogiemi kamieniami...

W tej chwili, poprzedzony przez służbowego oficera, wszedł na salę kapłan Mentezufis, aby zaprosić namiestnika i nomarchę na jakieś publiczne nabożeństwo. Obaj dostojnicy zgodzili się na zaprosiny, a nomarcha Ranuzer okazał przytem tyle pobożności, że aż zadziwił księcia.

Kiedy Ranuzer, wśród ukłonów, opuścił towarzystwo, namiestnik odezwał się do kapłana:

— Ponieważ, święty proroku, jesteś przy mnie zastępcą najczcigodniejszego Herhora, proszę cię więc, ażebyś mi wytłumaczył jedną rzecz, która serce moje napełnia troską.

— Czy potrafię? — odparł kapłan.

— Odpowiesz, bo napełnia cię mądrość, której jesteś sługą. Rozważ tylko, co ci rzeknę.

Wiesz, poco wysłał mnie tutaj jego świątobliwość faraon?....

— Ażebyś książę zapoznał się z bogactwem i rządami kraju — wtrącił Mentezufis.

— Czynię to. Wypytuję nomarchów, oglądam

kraj i ludzi, słucham raportów pisarzów, ale — nic nie rozumiem, a to zatruwa mi życie i dziwi mnie.

Bo kiedy mam do czynienia z wojskowością, wiem wszystko: ilu jest żołnierzy, koni, wozów; którzy oficerowie piją, lub zaniedbują służbę, a którzy pełnią swoje obowiązki. Wiem też, co robić z wojskiem. Gdyby na równinie stał korpus nieprzyjacielski, ażeby go pobić, muszę wziąć dwa korpusy. Gdyby nieprzyjaciel stał w obronnej pozycji, nie wyruszyłbym bez trzech korpusów. Gdy wróg jest niewyćwiczony i walczy w bezładnych tłumach, przeciw jego tysiącowi mogę wystawić pięciuset naszych żołnierzy i pobiję go. Gdy strona przeciwna ma tysiąc toporników i ja tysiąc, rzucę się na nich i pokonam, jeżeli będę miał do pomocy stu procarzy.

W wojsku, święty ojcze — ciągnął Ramzes — wszystko się widzi, jak palce u własnych rąk, i na każde pytanie ma się gotową odpowiedź, którą mój rozum ogarnia. Tymczasem w zarządze nomesów, ja — nietylko nic nie widzę, ale mam taki zamęt w głowie, że nieraz zapominam — poco tu przyjechałem.

Odpowiedz mi zatem szczerze, jak kapłan i oficer: co to znaczy? Czy nomarchowie mnie oszukują, czy ja jestem nieudolny?...

Święty prorok zamyślił się.

— Czy oni śmieliby oszukiwać waszą dostojność — odparł — nie wiem, bo nie przypatrywałem się ich czynom. Zdaje mi się jednak, że oni księciu

dlatego nic nie mogą wytłumaczyć, ponieważ sami nic nie rozumieją.

Nomarchowie i ich pisarze — ciągnął kapłan — są jak dziesiętnicy w wojsku: każdy zna swoją dziesiątkę i zawiadamia o niej wyższych oficerów. Każdy też rozkazuje swojemu oddziałkowi. Ale ogólnego planu, jaki układają wodzowie armji, dziesiętnik nie zna.

Naczelnicy nomesów i pisarze zapisują wszystko, cokolwiek zdarzy się w ich prowincji, i te raporta przysyłają do stóp faraona. Lecz dopiero rada najwyższa wydobywa z nich miód mądrości.

— Ależ ja właśnie chcę tego miodu!... — zawołał książę. — Dlaczegóż mi nie dają...

Mentezufis potrząsnął głową.

— Mądrość państwowa — rzekł — należy do tajemnic kapłańskich, więc może ją zdobyć tylko człowiek, poświęcony bogom. Tymczasem wasza dostojność, pomimo wychowania przez kapłanów, jak najbardziej stanowczo usuwasz się od świątyń...

— Jakto, więc jeżeli nie zostanę kapłanem, nie objaśnicie mnie?...

— Są rzeczy, które wasza dostojność możesz poznać i teraz, jako e r p a t r e, są inne, które poznasz jako faraon. Ale są i takie, o których może wiedzieć tylko arcykapłan.

— Każdy faraon jest arcykapłanem — przerwał książę.

— Nie każdy. A jeszcze i między arcykapłanami są różnice.

— Więc — zawołał rozgniewany następca —

wy rząd państwa ukrywacie przede mną!... I ja nie będę mógł spełnić rozkazów mego ojca?!....

— To — mówił spokojnie Mentezufis — czego księciu potrzeba, możesz poznać, bo przecie masz najniższe święcenie kapłańskie. Rzeczy te jednak są ukryte w świątyniach, za zasłoną, której nikt nie odważy się uchylić bez odpowiednich przygotowań.

— Ja uchylę!...

— Niech bogowie bronią Egipt od takiego nieszczęścia! — odparł kapłan, wznosząc ręce do góry. — Czyliż wasza dostojność nie wiesz o tem, że piorun zabije każdego, kto bez odpowiednich nabożeństw dotknąłby zasłony? Każ książę zaprowadzić do świątyni jakiego niewolnika lub skazańca, i niech tylko wyciągnie rękę, a natychmiast umrze.

— Bo wy go zabijecie.

— Każdy z nas umarłby tak samo, jak najpospolitszy zbrodniarz, gdyby w świętokradzki sposób zbliżył się do ołtarzy. Wobec bogów, mój książę, faraon i kapłan tyle znaczy, co niewolnik.

— Więc cóż mam robić?... — spytał Ramzes.

— Szukać odpowiedzi na swoją troskę w świątyni, oczyściwszy się przez modły i posty — odparł kapłan. — Jak Egipt Egiptem żaden władca w inny sposób nie zdobył mądrości państwowej.

— Pomyślę o tem — rzekł książę. — Choć widzę z tego, że najczcigodniejszy Mefres i ty, święty proroku, chcecie mnie wciągnąć w nabożeństwa, jak mego ojca.

— Wcale nie. Jeżeli wasza dostojność, jako

faraon, ograniczyłbyś się na komenderowaniu wojskiem, musiałbyś zaledwie kilka razy na rok brać udział w nabożeństwach, bo w innych razach zastępowaliby cię arcykapłani. Lecz, jeżeli chcesz poznać tajemnice świątyń, musisz składać cześć bogom, gdyż oni są źródłem mądrości.

ROZDZIAŁ XXIV.

Teraz już Ramzes wiedział, że albo nie spełni rozkazu faraona, albo — musi poddać się woli kapłanów, co go przejmowało gniewem i niechęcią dla nich.

Nie spieszył się więc do tajemnic, ukrytych w świątyni. Miał jeszcze czas na posty i pobożne zajęcia. Tem zaś gorliwszy zaczął brać udział w ucztach, jakie na jego cześć wyprawiano.

Właśnie powrócił Tutmozis, mistrz we wszelkiej zabawie, i przywiózł księciu dobre wiadomości od Sary. Była zdrowa i pięknie wyglądała, co dziś mniej już obchodziło Ramzesa. Lecz kapłani postawili jego przyszłemu dziecku tak dobry horoskop, że książę był zachwycony.

Twierdzili na pewno, że dziecko będzie synem, bardzo obdarowanym od bogów i, jeżeli ojciec będzie go kochał, osiągnie w życiu wielkie zaszczyty.

Książę śmiał się z drugiej części tej przepowiedni.

— Dziwna ich mądrość! — mówił do Tutmozisa. — Wiedzą, że będzie syn, o czem ja nie wiem,

choć jestem ojcem; a wątpią czy go będę kochał, choć łatwo zgadnąć, że kochałbym to dziecię, gdyby nawet było córką.

A o zaszczyty dla niego niech będą spokojni. Ja się tem zajmę!....

W miesiącu Pachono (styczeń—luty) następca przyjechał do nomesu Ka, gdzie był podejmowany przez nomarchę Sofra. Miasto Anu leżało o 7 godzin pieszej drogi od Atribis, ale książę przez trzy dni odbywał tę podróż. Na myśl o modlitwach i postach, jakie czekały go przy wtajemniczaniu się w sekreta świątyń, Ramzes czuł coraz większą ochotę do zabaw; jego orszak odgadł to, więc następowała uciecha po uciesze.

Znowu na gościńcach, któremi przejeżdżał do Atribis, ukazały się tłumy ludu z okrzykami, kwiatami i muzyką. Szczególnie pod miastem zapał dosięgnął szczytu. Zdarzyło się nawet, że jakiś olbrzymi robotnik rzucił się pod wóz namiestnika. A gdy Ramzes zatrzymał konie, z gromady wystąpiło kilkanaście młodych kobiet i cały wóz oplotły mu kwiatami.

— Oni jednak kochają mnie!... — pomyślał książę.

W prowincji Ka już nie zapytywał nomarchy o dochody faraona, nie zwiedzał fabryk, nie kazał sobie czytać raportów. Wiedział, że niczego nie zrozumie, więc odłożył te zajęcia do czasu, gdy będzie wtajemniczonym. Tylko raz, gdy zobaczył, że świątynia boga Sebaka stoi na wysokiem wzgórzu,

oświadczył chęć wejścia na jej pylon i obejrzenia okolicy.

Dostojny Sofra natychmiast spełnił wolę następcy, który, znalazłszy się na wieży, spędził parę godzin z wielką uciechą.

Prowincja Ka była to żyzna równina. Kilkanaście kanałów i odnóg nilowych przecinało ją we wszystkich kierunkach, niby sieć, skręcona ze srebrnych i lazurowych sznurów. Melony i pszenica, siana w listopadzie, już dojrzewała. Na polach gęsto roili się nadzy ludzie, którzy zbierali ogórki lub siali bawełnę. Ziemia była pokryta budynkami, które w kilkunastu punktach skupiały się mocniej i tworzyły miasteczka.

Większość domów, osobliwie tych, które leżały wśród pól, były to gliniane lepianki, przykryte słomą i palmowemi liśćmi. Zato w miastach domy były murowane, o płaskich dachach, i wyglądały, jak białe sześciany, podziurawione w miejscach, gdzie były drzwi i okna. Bardzo często na jednym takim sześcianie stał drugi nieco mniejszy, a na tym trzeci, jeszcze mniejszy, i każde piętro wymalowane było innym kolorem. Pod ognistem słońcem Egiptu domy te wyglądały jak wielkie perły, rubiny i szafiry, rozrzucone wśród zieleni pól, otoczone palmami i akacjami.

Z tego miejsca Ramzes spostrzegł zjawisko, które go zastanowiło. Oto wpobliżu świątyń domy były najpiękniejsze, a w polach kręciło się najwięcej ludności.

— Folwarki kapłanów są najbogatsze!... —

pomyślał sobie i jeszcze raz przebiegł oczyma świątynie i kaplice, których z wieży było widać kilkanaście.

Ponieważ jednak pogodził się z Herhorem i potrzebował usług od kapłanów, więc nie chciał dłużej zajmować się tą sprawą.

W ciągu następnych dni, dostojny Sofra urządził dla księcia szereg polowań, posuwając się od miasta Atribis ku wschodowi. Nad kanałami strzelano z łuku do ptaków, chwytano je w ogromne potrzaski z sieci, które odrazu zagarniały po kilkadziesiąt sztuk, albo na latające swobodnie wypuszczano sokoły. Gdy zaś orszak księcia wkroczył do wschodniej pustyni, zaczęły się wielkie łowy z psami i panterą, na czworonożne zwierzęta, których w ciągu kilku dni zabito i schwytano paręset sztuk.

Gdy dostojny Sofra spostrzegł, że książę ma już dość zabaw pod otwartem niebem i noclegów w namiotach, przerwał polowanie i najkrótszemi drogami zawrócił swoich gości do Atribis.

Stanęli tu o czwartej po południu, a nomarcha zaprosił wszystkich do swego pałacu na ucztę.

Sam zaprowadził księcia do łazienki, asystował przy kąpieli i z własnej skrzyni wydobył wonności do namaszczenia Ramzesa. Potem dozorował fryzjera, który porządkował włosy namiestnikowi, wreszcie, uklęknąwszy na podłodze, błagał księcia o łaskawe przyjęcie od niego nowych szat.

Była tam świeżo utkana koszula, pokryta haftem, fartuch wyszyty perłami i płaszcz przetykany

złotem, bardzo mocny, ale tak delikatny, że można go było zamknąć w dwu rękach.

Następca łaskawie przyjął to, oświadczając, że jeszcze nigdy nie otrzymał tak pięknego podarunku.

Słońce już zaszło, i nomarcha zaprowadził księcia do sali balowej.

Był to duży dziedziniec, otoczony kolumnadą, wyłożony mozaiką. Wszystkie ściany były pokryte malowidłami, przedstawiającemi sceny z życia przodków Sofry, a więc — wojny, morskie podróże i polowania. Nad budynkiem tym, zamiast dachu, unosił się obrzymi motyl, z różnobarwnemi skrzydłami, które poruszali ukryci niewolnicy dla odświeżania powietrza.

W bronzowych kagańcach, przybitych do kolumn, płonęły jasne pochodnie, wydzielające z siebie pachnące dymy.

Sala podzieliła się na dwie części: jedna była pusta, druga zapełniona stolikami i krzesłami dla biesiadników. W głębi wznosił się pomost, na którym pod kosztownym namiotem z rozsuniętemi ścianami, stał stolik i kanapa dla Ramzesa.

Przy każdym stoliku znajdowały się wielkie wazony z palmami, akacjami i figami. Stół następcy otoczono roślinami iglastemi, które w sali rozlewały woń balsamiczną.

Zgromadzeni goście powitali księcia radosnym okrzykiem, a gdy Ramzes zajął miejsce pod baldachimem, skąd był otwarty widok na całą salę, orszak jego zasiadł do stołów.

Odezwały się arfy i zaczęły wchodzić damy,

w bogatych muślinowych szatach, z odsłonionemi piersiami, błyszczące od klejnotów. Cztery najpiękniejsze otoczyły Ramzesa, inne zasiadły obok dostojników jego orszaku.

W powietrzu unosiła się woń róż, konwalij i fiołków, a książę poczuł, że w skroniach biją mu tętna.

Niewolnicy i niewolnice w koszulach białych, różowych i błękitnych, zaczęli roznosić ciasta, pieczony drób i zwierzynę, ryby, wino i owoce, tudzież wieńce z kwiatów, które biesiadnicy kładli na głowy. Ogromny motyl coraz szybciej wachlował skrzydłami, a w pustej połowie sali rozpoczęło się widowisko. Pokolei występowały tancerki, gimnastycy, błazny, kuglarze i fechtmistrze; gdy zaś który okazał niezwykły dowód zręczności, widzowie rzucali mu kwiaty ze swych wieńców, lub złote pierścienie.

Kilka godzin ciągnęła się uczta, przeplatana okrzykami na cześć księcia, nomarchy i jego rodziny.

Ramzesa, który w postawie półleżącej siedział na łóżku, okrytem lwią skórą, ze złotemi szponami, obsługiwały cztery damy. Jedna wachlowała go, druga zmieniała mu wieńce na głowie, dwie inne przysuwały potrawy. Pod koniec uczty, ta z nich, z którą książę najchętniej rozmawiał, przyniosła mu kielich wina. Ramzes wychylił połowę, resztę podał jej, a gdy wypiła, pocałował ją w usta.

Wówczas niewolnicy szybko zaczęli gasić pochodnie, motyl przestał poruszać skrzydłami, a w

sali zrobiła się noc i cisza, przerywana nerwowym śmiechem kobiet.

Nagle rozległy się prędkie stąpania kilku ludzi i straszny krzyk:

— Puśćcie mnie!... — wołał ochrypły głos męski. — Gdzie jest następca?... Gdzie namiestnik!?...

W sali zakotłowało się. Kobiety płakały przerażone, mężczyźni wołali:

— Co to jest?... Zamach na następcę!... Hej, warta!...

Słychać było dźwięk tłuczonych naczyń i trzask krzeseł.

— Gdzie jest następca? — ryczał obcy człowiek.

— Warta! Brońcie następcy!... — odpowiedziano z sali.

— Zapalcie światło!... — odezwał się młodzieńczy głos następcy. — Kto mnie szuka?... Tu jestem!...

Wniesiono pochodnie. Na sali piętrzyły się wywrócone i połamane sprzęty, między któremi kryli się biesiadnicy. Na estradzie książę wydzierał się kobietom, które, krzycząc, oplatały mu ręce i nogi. Obok księcia Tutmozis, w potarganej peruce, z bronzowym dzbanem w ręku, gotów był walić w łeb każdego, któryby się zbliżył. We drzwiach sali ukazało się kilku żołnierzy z obnażonemi mieczami.

— Co to jest?... Kto tu jest?... — wołał przerażony nomarcha.

Nareszcie spotrzeżono sprawcę zamętu. Jakiś olbrzym nagi, okryty błotem, z krwawemi pręgami

na plecach, klęczał na schodach estrady i wyciągał ręce do następcy.

— Oto morderca!... — wrzasnął nomarcha. — Bierzcie go!...

Tutmozis podniósł swój dzban, ode drzwi przybiegli żołnierze. Poraniony człowiek upadł twarzą na schody, wołając:

— Miłosierdzia, słońce Egiptu!...

Już mieli go schwycić żołnierze, gdy Ramzes, wydarłszy się kobietom, zbliżył się do nędzarza.

— Nie dotykajcie go! — zawołał Ramzes na żołnierzy. — Czego chcesz, człowieku?

— Chcę ci opowiedzieć o naszych krzywdach, panie...

W tej chwili Sofra, zbliżywszy się do księcia, szepnął:

— To Hyksos... spojrzyj wasza dostojność na jego kudłatą brodę i włosy... Jego wreszcie zuchwalstwo, z jakiem się tu wdarł, dowodzi, że zbrodniarz ten nie jest urodzonym Egipcjaninem...

— Kto jesteś? — spytał książę.

— Jestem Bakura, robotnik z pułku kopaczy w Sochem. Nie mamy teraz zajęcia, więc nomarcha Otoes kazał nam...

— To pijak i warjat... — szeptał wzburzony Sofra. — Jak on przemawia do ciebie, panie...

Książę tak spojrzał na nomarchę, że dygnitarz, zgięty wpół, cofnął się.

— Co wam kazał dostojny Otoes? — pytał namiestnik Bakury.

— Kazał nam, panie, chodzić brzegiem Nilu,

pływać po rzece, stawać przy gościńcach i robić zgiełk na twoją cześć. I obiecał, że zato wyda nam co się należy... Bo, panie, my już dwa miesiące nie dostawaliśmy nic... Ani placków jęczmiennych, ani ryb, ani oliwy do namaszczania ciała.

— Cóż wy na to, dostojny panie? — zapytał książę nomarchy.

— Niebezpieczny pijak... brzydki kłamca... — odparł Sofra.

— Jakiżeście to zgiełk robili na moją cześć?

— Jak rozkazano — mówił olbrzym. — Moja żona i córka krzyczały razem z innymi: „Oby żył wiecznie!“ a ja skakałem do wody i ciskałem wieńce do statku waszej dostojności, za co miano mi płacić po utenie. Zaś kiedy wasza cześć raczyłeś wjeżdżać łaskawie do miasta Atribis, mnie naznaczono, abym rzucił się pod konie i zatrzymał wóz...

Książę zaczął się śmiać.

— Jako żywo — mówił — nie myślałem, że tak wesoło zakończymy ucztę!... A ileż ci zapłacono zato, żeś wpadł pod wóz?

— Obiecano mi trzy uteny, ale nie zapłacono nic, ani mnie, ani żonie i córce. Również całemu pułkowi nie dano nic do jedzenia przez dwa miesiące.

— Z czegóż żyjecie?

— Z żebraniny, albo z tego, co się zapracuje u chłopa. Więc w tej ciężkiej nędzy, trzy razy buntowaliśmy się i chcieliśmy wracać do domu. Ale oficerowie i pisarze albo obiecywali nam, że oddadzą, albo kazali nas bić...

— Za ten zgiełk dla mnie? — wtrącił, śmiejąc się, książę.

— Prawdę mówi wasza cześć... Otóż wczoraj był bunt największy, za co jego dostojność nomarcha Sofra kazał nas dziesiątkować... Co dziesiąty brał kije, a ja dostałem najwięcej, bom duży i mam do wykarmienia trzy gęby: moją, żony i córki... Zbity, wydarłem się im, ażeby upaść na mój brzuch przed tobą, panie, i opowiedzieć nasze żale. Ty nas bij, jeżeliśmy winni, ale niech pisarze wydadzą nam, co się należy, bo z głodu pomrzemy — my, żony i dzieci nasze...

— To człowiek opętany!... — zawołał Sofra.— Racz spojrzeć, wasza dostojność, ile on mi szkody narobił... Dziesięciu talentów nie wziąłbym za te stoły, misy i dzbany...

Między biesiadnikami, którzy już odzyskali przytomność, zaczął się szmer.

— To jakiś bandyta!... — mówiono. — Patrzcie, to naprawdę Hyksos... Jeszcze w nim burzy się przeklęta krew jego dziadów, którzy najechali i zniszczyli Egipt... Takie kosztowne sprzęty... Takie ozdobne naczynia — porozbijane w proch!...

— Jeden bunt niezapłaconych robotników więcej sprawia szkody państwu, aniżeli warte są te bogactwa — surowo odezwał się Ramzes.

— Święte słowa!... Należy zapisać je na pomnikach—w tejże chwili odezwało się między gośćmi. — Bunt odrywa ludzi od pracy i zasmuca serce jego świątobliwości... Nie godzi się, ażeby robotnicy po dwa miesiące nie odbierali żołdu.

Z nieukrywaną pogardą spojrzał książę na zmiennych jak obłoki dworaków, i zwrócił się do nomarchy.

— Oddaję ci — rzekł groźnie — tego skatowanego człowieka. Jestem pewny, że nie spadnie mu włos z głowy. Zaś jutro chcę zobaczyć pułk, do którego należy, i przekonać się, czy skarżący mówił prawdę.

Po tych słowach namiestnik wyszedł, zostawiając nomarchę i gości w wielkiem strapieniu.

Na drugi dzień książę, ubierając się przy pomocy Tutmozisa, zapytał go:

— Czy robotnicy przyszli?

— Tak, panie. Od świtu czekają na twoje rozkazy.

— A ten... Bakura jest między nimi?

Tutmozis skrzywił się i odparł:

— Zdarzył się dziwny wypadek. Dostojny Sofra kazał go zamknąć w pustej piwnicy swego pałacu. Otóż ten hultaj, bardzo silny człowiek, wyłamał drzwi do drugiego lochu, gdzie stało wino, przewrócił kilka dzbanów bardzo kosztownych, a sam tak się spił, że...

— Że co?... — spytał książę.

— Że umarł.

Następca zerwał się z krzesła.

— I ty wierzysz — zawołał — że on sam zapił się na śmierć?...

— Muszę wierzyć, bo nie mam dowodów, że go zabito — odpowiedział Tutmozis.

— Ale ja ich poszukam!...—wybuchnął książę.

Biegał po komnacie i parskał, jak rozgniewane lwiątko.

Gdy nieco uspokoił się, rzekł Tutmozis:

— Nie szukaj, panie, winy tam, gdzie jej nie widać, bo nawet świadków nie znajdziesz. Gdyby ktoś w rzeczy samej z rozkazu nomarchy zadławił tego robotnika, nie przyzna się, sam umarły także nic nie powie, a zresztą, cóżby znaczyła jego skarga na nomarchę!... W tych warunkach żaden sąd nie zechce rozpoczynać śledztwa...

— A jeżeli ja każę?... — spytał namiestnik.

— W takim razie przeprowadzą śledztwo i dowiodą niewinności Sofry. Poczem ty, panie, będziesz zawstydzony, a wszyscy nomarchowie, ich krewni i służba zostaną twoimi wrogami.

Książę stał na środku pokoju i myślał.

— Wreszcie — mówił Tutmozis — wszystko zdaje się przemawiać za tem, że nieszczęsny Bakura był pijakiem, albo warjatem, a nadewszystko człowiekiem obcego pochodzenia. Bo czyliż rodowity i przytomny Egipcjanin, choćby przez rok nie pobierał żołdu i dwa razy tyle dostał kijów, czy osmieliłby się wpadać do pałacu nomarchy i z takim wrzaskiem wzywać ciebie?...

Ramzes pochylił głowę, a widząc, że w drugim pokoju są dworzanie, rzekł zniżonym głosem:

— Czy ty wiesz, Tutmozisie, że od czasu jak wyruszyłem w tę podróż, Egipt zaczyna mi się wydawać jakiś inny. Niekiedy pytam samego siebie: czy ja jestem w obcym kraju? To znowu serce moje niepokoi się, jakbym miał na oczach zasłonę, po-

za którą dzieją się wszelkie łotrostwa, ale których ja — nie mogę dojrzeć...

— To też i nie wypatruj ich, bo wkońcu wydaci się, żeśmy wszyscy powinni iść do kopalń — odparł ze śmiechem Tutmozis. — Pamiętaj, że nomarchowie i urzędnicy są pasterzami twego stada. Gdy który wydoi miarę mleka dla siebie, albo zarżnie owcę, przecie go nie zabijesz, ani wypędzisz. Owiec masz za dużo, a o pastuchów trudno.

Namiestnik, już ubrany, przeszedł do sali poczekalnej, gdzie zebrała się jego świta: kapłani, oficerowie i urzędnicy. Następnie razem z nimi opuścił pałac i udał się na dziedziniec zewnętrzny.

Był to obszerny plac, zasadzony akacjami, pod których cieniem oczekiwali na księcia robotnicy. Na odgłos trąbki cały tłum zerwał się z ziemi i uszykował w pięć szeregów.

Ramzes, otoczony błyszczącym orszakiem dostojników, nagle zatrzymał się, chcąc najpierw zdaleka obejrzeć pułk kopaczy. Byli to ludzie nadzy, w białych czepcach na głowach i takichże przepaskach około bioder. W szeregach doskonale można było odróżnić brunatnych Egipcjan, ciemnych Murzynów, żółtych Azjatów i białych mieszkańców Libji, tudzież wysp morza Śródziemnego.

W pierwszej linji stali kopacze z oskardami, w drugiej z motykami, w trzeciej z łopatami. Czwarty szereg stanowili tragarze, z których każdy miał drąg i dwa kubełki, piąty również tragarze, lecz z wielkiemi skrzyniami, obsługiwanemi przez dwu ludzi. Przenosili oni wykopaną ziemię.

Przed szeregami, co kilkanaście kroków, stali majstrowie: każdy miał w ręku mocny kij i duży cyrkiel drewniany, lub węgielnicę.

Kiedy książę zbliżył się do nich, zawołali chórem: „Obyś żył wiecznie!“ i, uklęknąwszy, uderzyli czołem o ziemię. Następca kazał im powstać i znowu przypatrywał się z uwagą.

Byli to ludzie zdrowi i silni, bynajmniej nie wyglądający na takich, którzy od dwu miesięcy utrzymywali się z żebraniny.

Do namiestnika przystąpił nomarcha Sofra, ze swoim orszakiem. Ale Ramzes, udając, że go nie spostrzegł, zwrócił się do jednego z majstrów:

— Jesteście kopaczami z Sochem?—zapytał.

Majster, jak długi, upadł twarzą na ziemię i milczał.

Książę wzruszył ramionami i zawołał do robotników:

— Jesteście z Sochem?

— Jesteśmy kopacze z Sochem!... — odpowiedzieli chórem.

— Dostaliście żołd?

— Żołd dostaliśmy — jesteśmy syci i szczęśliwi — słudzy jego świątobliwości — odparł chór, wybijając każdy wyraz.

— Wtył zwrot!... — zakomenderował książę.

Odwrócili się. Prawie każdy miał na plecach głębokie i gęste blizny od kijów; ale świeżych pręg nie było.

— „Oszukują mnie!...“ — pomyślał następca.

Kazał robotnikom iść do koszar i, nie witając się ani żegnając z nomarchą, wrócił do pałacu.

— Czy i ty mi powiesz — rzekł w drodze do Tutmozisa—że ci ludzie są robotnikami z Sochem?..

— Wszakże oni sami to powiedzieli — odparł dworak.

Książę zawołał, aby mu podano konia i odjechał do wojsk, obozujących za miastem.

Cały dzień mustrował pułki. Około południa na placu ćwiczeń, pod dowództwem nomarchy, ukazało się kilkudziesięciu tragarzy, z namiotami, sprzętami, jadłem i winem. Ale książę odprawił ich do Atribis, a gdy nadszedł czas posiłku dla wojska, kazał sobie podać i jadł owsiane placki z suszonem mięsem.

Były to najemne pułki libijskie. Kiedy książę wieczorem kazał im odłożyć broń i pożegnał się z nimi, zdawało się, że żołnierze i oficerowie ulegli szaleństwu. Krzycząc: „Żyj wiecznie!“ całowali jego ręce i nogi, zrobili lektykę z włóczni i płaszczów, ze śpiewami odnieśli księcia do miasta, a w drodze kłócili się o zaszczyt dźwigania go na ramionach.

Nomarcha i urzędnicy prowincji, widząc zapał barbarzyńskich Libijczyków i łaskę dla nich następcy, zatrwożyli się.

— Oto jest władca!... — szepnął do Sofry wielki pisarz. — Gdyby zechciał, ci ludzie pobiliby mieczem nas i dzieci nasze...

Strapiony nomarcha westchnął do bogów i polecił się ich łaskawej opiece.

Późno w nocy, Ramzes znalazł się w swym pałacu, i tu powiedziała mu służba, że zmieniono mu pokój sypialny.

— Dlaczegóż to?

— Bo w tamtej sypialni widziano jadowitego węża, który skrył się tak, że nie można go znaleźć.

W skrzydle, sąsiadującem z domem nomarchy, znajdowała się nowa sypialnia. Był to czworoboczny pokój, otoczony kolumnami. Miał alabastrowe ściany, pokryte malowaną płaskorzeźbą, wyobrażającą — u dołu rośliny w wazonach, wyżej — girlandy z liści oliwkowych i laurowych.

Prawie na środku stało wielkie łoże, wykładane hebanem, kością słoniową i złotem. Pokój oświetlały dwie wonne pochodnie, pod kolumnadą znajdowały się stoliki z winem, jadłem i wieńcami z róż.

W suficie był wielki otwór czworoboczny, zasłoniony płótnem.

Książę wykąpał się i legł na miękkiem posłaniu, jego służba odeszła do dalszych komnat. Pochodnie zaczęły przygasać, po sypialni wionął chłodny wiatr, nasycony wonią kwiatów. Jednocześnie w górze odezwała się cicha muzyka arf.

Ramzes podniósł głowę. Płócienny dach pokoju usunął się, i przez otwór w suficie widać było konstelację Lwa, a w niej jasną gwiazdę Regulusa. Muzyka arf wzmogła się.

— Czy bogowie wybierają się do mnie w odwiedziny?... — pomyślał z uśmiechem Ramzes.

W otworze sufitu błysnęła szeroka smuga

światła; było ono mocne, lecz łagodne. W chwilę później, ukazała się w górze lektyka w formie złotej łodzi, niosącej altankę z kwiatów; słupy były okręcone girlandami z róż, dach z fiołków i lotosów.

Na sznurach, spowitych zielonością, złota łódź bez szmeru opuściła się do sypialnej komnaty. Stanęła na podłodze, a z pod kwiatów wyszła niepospolitej piękności naga kobieta. Ciało jej miało ton białego marmuru; od bursztynowej fali włosów płynęła woń upajająca.

Kobieta, wysiadłszy ze swej napowietrznej lektyki, uklękła przed księciem.

— Jesteś córką Sofry?...—spytał jej następca.

— Prawdę mówisz, panie...

— I mimo to przyszłaś do mnie!

— Błagać cię, ażebyś przebaczył memu ojcu... Nieszczęśliwy on!... od południa leje łzy i tarza się w popiele.

— A gdybym mu nie przebaczył, odeszłabyś?

— Nie... — cicho szepnęła.

Ramzes przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował. Oczy płonęły mu.

— Dlatego przebaczę mu — rzekł.

— O jakiś ty dobry!... — zawołała, tuląc się do księcia, a potem dodała z przymileniem:

— Każesz wynagrodzić szkody, które wyrządził mu ten szalony robotnik?

— Każę...

— I mnie weźmiesz do swego domu...

Ramzes popatrzył na nią.

— Wezmę cię, bo jesteś piękna.

— Doprawdy?... — odparła, obejmując go za szyję. — Przypatrz mi się lepiej... Między pięknemi Egiptu zajmuję dopiero czwarte miejsce.

— Cóż to znaczy?

— W Memfis, czy koło Memfis, mieszka twoja najpierwsza... Na szczęście tylko żydówka!... W Sochem jest druga...

— Nic o tem nie wiem — wtrącił książę.

— O, ty gołąbku!... Więc zapewne nie wiesz i o trzeciej w Anu...

— Czy i ona należy do mego domu?

— Niewdzięczniku!... — zawołała, uderzając go kwiatem lotosu...—Gotów jesteś za miesiąc o mnie powiedzieć to samo... Ale ja nie dam zrobić sobie krzywdy...

— Jak i twój ojciec.

— Jeszcześ mu nie zapomniał?... Pamiętaj, że odejdę...

— Zostań już... zostań...

Na drugi dzień namiestnik raczył przyjąć hołdy i ucztę od nomarchy Sofra. Publicznie pochwalił jego zarząd prowincją i, aby wynagrodzić szkody, wyrządzone przez pijanego robotnika, darował mu połowę naczyń i sprzętów, które otrzymał w mieście Anu.

Drugą połowę tych darów zabrała córka nomarchy, piękna Abeb, jako dama dworu. Nadto kazała sobie wypłacić z kasy Ramzesa pięć talentów na stroje, konie i niewolnice.

Wieczorem książę, ziewając, rzekł do Tutmozisa:

— Jego świątobliwość, ojciec mój, powiedział mi wielką naukę, że kobiety dużo kosztują!

— Gorzej, gdy ich niema — odparł elegant.

— Ale ja mam ich cztery i nawet dobrze nie wiem, jakim sposobem. Mógłbym ze dwie odstąpić wam.

— Czy i Sarę?

— Tej nie, szczególnie jeżeli będzie miała syna.

— Jeżeli wasza dostojność przeznaczysz tym synogarlicom ładny posag, znajdą się dla nich mężowie.

Książę znowu ziewnął.

— Nie lubię słuchać o posagach — rzekł. — Aaa!... jakie to szczęście, że już wyrwę się od was i osiądę między kapłanami...

— Naprawdę uczynisz tak?...

— Muszę. Nareszcie może dowiem się od nich, dlaczego faraoni biednieją... Aaa!... no — i odpocznę.

ROZDZIAŁ XXV.

Tego samego dnia, w Memfisie, Fenicjanin Dagon, dostojny bankier następcy tronu, leżał na kanapie pod werandą swego pałacu. Otaczały go wonne krzaki iglaste, hodowane w wazonach. Dwaj czarni niewolnicy chłodzili bogacza wachlarzami, a on, bawiąc się młodą małpką, słuchał rachunków, które czytał mu jego pisarz.

W tej chwili niewolnik, uzbrojony w miecz, hełm, włócznię i tarczę (bankier lubił wojskowe ubiory), zameldował dostojnego Rabsuna, który był kupcem fenickim, osiadłym w Memfis.

Gość wszedł, nisko kłaniając się, i w ten sposób opuścił powieki, że dostojny Dagon rozkazał pisarzowi i niewolnikom, ażeby się wynieśli z pod werandy. Następnie, jako człowiek przezorny, obejrzał wszystkie kąty i rzekł do gościa:

— Możemy gadać.

Rabsun zaczął bez wstępu:

— Czy dostojność wasza wie, że przyjechał z Tyru książę Hiram?...

Dagon podskoczył na kanapie.

— Niech na niego i jego księstwo trąd padnie!... — wrzasnął.

— On mi właśnie wspomniał — ciągnął spokojnie gość — że między wami jest nieporozumienie...

— Co to jest nieporozumienie?... — krzyczał Dagon. — Ten rozbójnik okradł mnie. zniszczył, zrujnował... Kiedy ja posłałem moje statki, za innemi tyryjskiemi, na zachód po srebro, sternicy łotra Hirama rzucali na nie ogień, chcieli je zepchnąć na mieliznę... No, i moje okręty wróciły z niczem, opalone i potrzaskane... Oby go spalił ogień niebieski!— zakończył rozwścieczony bankier.

— A jeżeli Hiram ma dla waszej dostojności dobry interes? — spytał gość flegmatycznie.

Burza, szalejąca w piersiach Dagona, odrazu ucichła.

— Jaki on może mieć dla mnie interes? — rzekł zupełnie spokojnym głosem.

— On to sam powie waszej dostojności, ale przecież pierwej musi zobaczyć się z wami.

— No, to niech on tu przyjdzie.

— On myśli, że wasza dostojność powinna przyjść do niego. Przecież on jest członkiem najwyższej rady w Tyrze.

— Żeby on tak zdechł, jak ja do niego pójdę!— krzyknął znowu rozgniewany bankier.

Gość przysunął krzesło do kanapy i poklepał bogacza w udo.

— Dagonie — rzekł — miej ty rozum.

— Dlaczego ja nie mam rozumu i dlaczego ty, Rabsun, nie mówisz do mnie: „Wasza dostojność?..."

— Dagon, nie bądź ty głupi!... — reflektował gość. — Jeżeli ty nie pójdziesz do niego, ani on do ciebie, to jakże wy zrobicie interes?

— Ty jesteś głupi, Rabsun — znowu wybuchnął bankier. — Bo gdybym ja poszedł do Hirama, to, niech mi ręka uschnie, że straciłbym na tej grzeczności połowę zarobku.

Gość pomyślał i odparł:

— Teraz rzekłeś mądre słowo. Więc ja tobie coś powiem. Przyjdź do mnie i Hiram przyjdzie do mnie, i wy obaj u mnie obgadacie ten interes.

Dagon przechylił głowę i, przymrużywszy oko. filuternie zapytał:

— Ej Rabsun!... Powiedz odrazu: ile on tobie dał?

— Za co?...

— Zato, że ja przyjdę do ciebie i z tym parchem będę robił interes?...

— To jest interes dla całej Fenicji, więc ja na nim zarobku nie potrzebuję — odparł oburzony Rabsun.

— Żeby się tobie tak dłużnicy wypłacali, jak to prawda!

— Żeby mi się nie wypłacali, jeżeli ja co na tem zarobię! Niech tylko Fenicja nie straci! — zakrzyczał z gniewem Rabsun.

Pożegnali się.

Nad wieczorem, dostojny Dagon wsiadł w lektykę, niesioną przez sześciu niewolników. Poprzedzali go dwaj laufrowie z kijami i dwaj z pochodniami; za lektyką zaś szło czterech służących, uzbrojonych od stóp do głów. Nie dla bezpieczeństwa, lecz że Dagon od pewnego czasu lubił otaczać się zbrojnymi, jak rycerz.

Wysiadł z lektyki z wielką powagą i, podtrzymywany przez dwóch ludzi (trzeci niósł nad nim parasol), wszedł do domu Rabsuna.

— Gdzież jest ten... Hiram? — zapytał dumnie gospodarza.

— Niema go.

— Jakto?... więc ja będę czekał na niego?

— Niema go w tym pokoju, ale jest w trzecim, u mojej żony — odparł gospodarz. — On teraz składa wizytę mojej żonie.

— Ja tam nie pójdę!... — rzekł bankier, siadając na kanapie.

— Pójdziesz do drugiego pokoju, a on w tej samej chwili także tam wejdzie.

Po krótkim oporze Dagon ustąpił, a w chwilę później, na znak gospodarza domu, wszedł do drugiej komnaty. Jednocześnie z dalszych pokojów wysunął się niewysoki człowiek z siwą brodą, ubrany w złocistą togę i złotą obręcz na głowie.

— Oto jest — rzekł gospodarz, stojąc na środku — oto jest jego miłość książę Hiram, członek najwyższej rady tyryjskiej... Oto jest dostojny Dagon, bankier księcia następcy tronu i namiestnika w Dolnym Egipcie.

Dwaj dostojnicy ukłonili się sobie z założonemi na piersiach rękoma i usiedli przy oddzielnych stolikach, na środku sali. Hiram nieco odsunął togę, aby ukazać wielki złoty medal na swej szyi; w odpowiedzi na to, Dagon zaczął bawić się grubym złotym łańcuchem, który otrzymał od księcia Ramzesa.

— Ja, Hiram — odezwał się starzec — pozdrawiam pana, panie Dagonie, życzę panu dużego majątku i powodzenia w interesach.

— Ja, Dagon, pozdrawiam pana, panie Hiram, i życzę panu tego samego, co pan mnie życzy...

— Już się pan chcesz kłócić?... — przerwał zirytowany Hiram.

— Gdzie ja się kłócę?... Rabsun, ty powiedz, czy ja się kłócę?...

— Lepiej niech wasze dostojności mówią o interesach — odparł gospodarz.

Po chwili namysłu Hiram zaczął:

— Przyjaciele pańscy z Tyru bardzo pozdrawiają pana przeze mnie.

— Oni mi tylko to przysłali? — spytał drwiącym tonem Dagon.

— Co pan chcesz, żeby oni panu przysłali?...— odparł Hiram, podnosząc głos.

— Cicho!... Zgoda!... — wtrącił gospodarz.

Hiram kilka razy głębiej odetchnął i rzekł:

— To prawda, że nam potrzebna zgoda... Ciężkie czasy nadchodzą dla Fenicji...

— Czy morze zatopiło wam Tyr albo Sydon?... — spytał z uśmiechem Dagon.

Hiram splunął i zapytał:

— Coś pan taki zły dzisiaj?...

— Ja zawsze jestem zły, jak mnie nie nazywają — dostojnością...

— A dlaczego pan nie nazywasz mnie — miłością?... Ja przecież jestem książę!...

— Może w Fenicji — odparł Dagon. — Ale już w Asyrji, u lada satrapy czekasz pan w sieniach trzy dni na posłuchanie, a kiedy cię przyjmą, leżysz na brzuchu, jak każdy handlarz fenicki.

— A pan cobyś robił wobec dzikiego człowieka, który może pana na pal wbić?... — zakrzyczał Hiram.

— Co jabym zrobił, nie wiem — rzekł Dagon. — Ale w Egipcie ja sobie siedzę na jednej kanapie z następcą tronu, który dziś jest namiestnikiem.

— Zgoda, wasza dostojność!... Zgoda, wasza miłość... — reflektował ich gospodarz.

— Zgoda!... zgoda, że ten pan jest zwyczajny fenicki handlarz, a mnie nie chce oddać szacunku...— zawołał Dagon.

— Ja mam sto okrętów!... — wrzasnął Hiram.

— A jego świątobliwość faraon ma dwadzieścia tysięcy miast, miasteczek i osad...

— Wasze dostojności utopicie ten interes i całą Fenicję!... — odezwał się już podniesionym głosem Rabsun.

Hiram zacisnął pięści, lecz umilkł i odpoczął.

— Musisz jednak przyznać, wasza dostojność— rzekł po chwili do Dagona — że z tych dwudziestu tysięcy miast jego świątobliwość niewiele ma naprawdę.

— Chcesz powiedzieć, wasza miłość — odparł Dagon — że siedm tysięcy miast należy do świątyń i siedm tysięcy do wielkich panów?... Zawsze jednak jego świątobliwości zostaje sześć tysięcy na czysto...

— Niebardzo! Bo jak z tego wasza dostojność odejmiesz ze trzy tysiące, które są w zastawie u kapłanów i ze dwa tysiące w dzierżawie u naszych Fenicjan...

— Mówi prawdę, wasza miłość — rzekł Dagon. — Zawsze jednak jego świątobliwości zostaje ze dwa tysiące miast bardzo bogatych.

— Czy was Tyfon opętał?...—wrzasnął zkolei Rabsun. — Będziecie teraz wyliczali miasta faraona, bodajby go...

— Psyt!... — szepnął Dagon, zrywając się z krzesła.

— Kiedy nad Fenicją wisi nieszczęście!... — dokończył Rabsun.

— Niechże ja się raz dowiem, jakie nieszczęście?... — przerwał Dagon.

— Więc daj mówić Hiramowi, to się dowiesz— odparł gospodarz.

— Niech gada...

— Czy wasza dostojność wie, co się stało w zajeździe „pod Okrętem", u brata naszego, Asarhadona?... — zaczął Hiram.

— Nie mam braci pomiędzy szynkarzami!...— wtrącił szyderczo Dagon.

— Milcz!... — wrzasnął rozgniewany Rabsun i chwycił za rękojeść sztyletu. Jesteś głupi, jak pies, który szczeka przez sen...

— Czego on się gniewa, ten... ten handlujący kośćmi? — odparł Dagon i również sięgnął do noża.

— Cicho!... Zgoda!... — uspakajał ich sędziwy książę i także opuścił suchą rękę do pasa.

Przez chwilę wszystkim trzem drżały nozdrza i błyszczały oczy. Wreszcie Hiram, który uspokoił się najpierwej, zaczął znowu, jakby nigdy nic nie zaszło.

— Parę miesięcy temu, stanął w zajeździe Asarhadona niejaki Phut, z miasta Harranu...

— Miał odebrać pięć talentów od jakiegoś kapłana — wtrącił Dagon.

— Cóż dalej? — spytał Hiram.

— Nic. Znalazł łaskę u jednej kapłanki i za jej radą pojechał szukać swego wierzyciela do Tebów.

— Masz rozum dziecka, a gadatliwość kobiety — rzekł Hiram. — Ten Harrańczyk nie jest Harrańczykiem, lecz Chaldejczykiem, i nie nazywa się Phut, lecz Beroes...

— Beroes?... Beroes?... — powtórzył, przypominając sobie, Dagon. — Gdzieś słyszałem to nazwisko...

— Słyszałeś!... — mówił z pogardą Hiram. — Beroes — to najmędrszy kapłan w Babilonie, doradca książąt asyryjskich i samego króla...

— Niech on będzie doradcą, byle nie faraona, co mnie to obchodzi?... — rzekł bankier.

Rabsun podniósł się z krzesła i, grożąc Dagonowi pięścią pod nosem, zawołał:

— Ty wieprzu, wypasiony na faraońskich pomyjach... Ciebie Fenicja tyle obchodzi, co mnie Egipt... Gdybyś mógł, za drachmę sprzedałbyś ojczyznę... psie... trędowaty!...

Dagon zbladł i odparł spokojnym głosem:

— Co gada ten kramarz?... W Tyrze są moi synowie i uczą się żeglarstwa; w Sydonie siedzi moja córka z mężem... Połowę mego mienia pożyczyłem radzie najwyższej, choć nie mam zato nawet dziesięciu procent. A ten kramarz mówi, że mnie nie obchodzi Fenicja!...

— Rabsun, posłuchaj mnie — dodał po chwili. — Ja życzę twojej żonie i dzieciom i cieniom two ich ojców, ażebyś ty o nich tyle dbał, ile ja o każdy okręt fenicki, o każdy kamień Tyru, Sydonu, a nawet Zarpath i Achsibu...

— Dagon mówi prawdę — wtrącił Hiram.

— Ja nie dbam o Fenicję!... — ciągnął bankier, zapalając się. — A ilu ja sprowadziłem tu Fenicjan, ażeby robili majątki i — co mam z tego?... Ja nie dbam!... Hiram zepsuł mi dwa okręty i pozbawił mnie wszelkich zarobków, a przecie, kiedy chodzi o Fenicję, ja usiadłem z nim w jednym pokoju...

— Bo myślałeś, że będziecie gadali o tem, ażeby kogo oszukać — rzekł Rabsun.

— Żebyś ty tak myślał o skonaniu, głupi!... — odparł Dagon. — Niby ja jestem dziecko i niby nie rozumiem, że jak Hiram przyjeżdża do Memfisu, to przecie on nie dla handlu przyjeżdża. Oj ty Rabsun!... Tyś powinien ze dwa lata być u mnie chłopcem do zamiatania stajni...

— Dosyć!... — zawołał Hiram, uderzając pięścią w stolik.

— My nigdy nie skończymy z tym kapłanem chaldejskim — mruknął Rabsun, z takim spokojem, jakby przed chwilą nie jego zwymyślano.

Hiram odchrząknął i zaczął:

— Ten człowiek ma naprawdę dom i grunta w Harranie i tam nazywa się Phut. Dostał listy od kupców chetyjskich do kupców sydońskich, więc w podróż zabrała go nasza karawana. Sam dobrze mówi po fenicku, płaci rzetelnie, nic osobliwego nie żądał, więc nasi ludzie nawet bardzo go polubili

Ale — mówił Hiram, podrapawszy się w brodę — gdy lew nakryje się skórą wołu, zawsze mu choćby kawałek ogona wylezie. Ten Phut był strasznie mądry i pewny siebie; więc naczelnik karawany pocichu zrewidował jego rzeczy. I nic nie znalazł

tylko medal bogini Astoreth. Dowódcę karawany medal ten kolnął w serce. Skąd Chetyjczyk ma fenicki medal?...

Więc gdy przyjechali do Sydonu, zaraz zameldował starszym, i od tej pory nasza tajna policja miała tego Phuta na oku.

Tymczasem jest to taki mędrzec, że, gdy kilka dni posiedział w Sydonie, wszyscy go pokochali. Modlił się on i składał ofiary bogini Astoreth, płacił złotem, nie pożyczał pieniędzy, wdawał się tylko z Fenicjaninami. I tak wszystkich otumanił, że dozór nad nim osłabł, a on spokojnie dojechał do Memfisu.

Tu znowu nasza starszyzna zaczęła czuwać nad nim, ale nic nie odkryła; domyślała się tylko, że musi to być wielki pan, nie zaś prosty mieszczanin harrański. Dopiero Asarhadon przypadkiem wyśledził, a nawet nie wyśledził, tylko wpadł na poszlaki, że ten niby Phut całą jedną noc przepędził w starej świątyni Seta, która tu wiele znaczy...

— Wchodzą do niej tylko arcykapłani na ważne narady — wtrącił Dagon.

— Jeszcze i to nicby nie znaczyło — prawił Hiram. — Ale jeden z naszych kupców wrócił miesiąc temu z Babilonu, z dziwnemi wiadomościami. Za wielki prezent, pewien dworzanin babilońskiego satrapy powiedział mu, że nad Fenicją — wisi bieda!...

— Was zabiorą Asyryjczycy — mówił ten dworzanin do naszego kupca — a Izraelitów wezmą Egipcjanie. W tym interesie nawet pojechał do te-

bańskich kapłanów wielki chaldejski kapłan Beroes i zawrze z nimi traktat.

— Musicie wiedzieć — ciągnął Hiram — że kapłani chaldejscy uważają egipskich za swoich braci. A że Beroes ma wielkie znaczenie na dworze króla Assara, więc wieść o tym traktacie może być bardzo prawdziwa.

— Na co Asyryjczykom Fenicja?... — zapytał Dagon, gryząc paznogcie.

— A na co złodziejowi cudzy śpichlerz?... — odparł Hiram.

— Co może znaczyć traktat Beroesa z egipskimi kapłanami?... — wtrącił zamyślony Rabsun.

— Głupi ty!... — odparł Dagon. — Faraon robi tylko to, co kapłani uradzą.

— Będzie i traktat z faraonem, nie bójcie się!— przerwał Hiram.—W Tyrze wiemy na pewno, że jedzie do Egiptu z wielką świtą i darami poseł asyryjski — Sargon... On niby to chce zobaczyć Egipt i ułożyć się z ministrami, ażeby w egipskich aktach nie pisano, jako — Asyrja płaci daninę faraonom. Ale naprawdę, to on jedzie zawrzeć traktat o podział krajów, leżących między naszem morzem a rzeką Eufratem.

— Oby ich ziemia pochłonęła!—zaklął Rabsun.

— Cóż ty o tem myślisz, Dagonie?... — spytał Hiram.

— A cobyście wy zrobili, gdyby was naprawdę napadł Assar?...

Hiram zatrząsł się z gniewu.

— Co?... Wsiądziemy na okręty z rodzinami

i skarbami, a tym psom zostawimy gruzy miast i gnijące trupy niewolników... Alboż nie znamy krain większych i piękniejszych od Fenicji, gdzie można założyć nową ojczyznę, bogatszą, aniżeli ta?...

— Niech nas bogowie bronią od takiej ostateczności! — rzekł Dagon.

— Właśnie o to idzie, ażeby ratować dzisiejszą Fenicję od zagłady — mówił Hiram. — A ty, Dagonie, wiele możesz w tym interesie...

— Co ja mogę?...

— Możesz dowiedzieć się od kapłanów: czy był u nich Beroes i czy zawarł z nimi taką umowę?..

— Strasznie trudna rzecz!... — szepnął Dagon. — Ale może ja znajdę takiego kapłana, który mnie objaśni.

— Możesz — ciągnął Hiram — na dworze faraona nie dopuścić traktatu z Sargonem?...

— Bardzo trudno... Ja sam temu nie wydołam...

— Ja będę z tobą, a złota dostarczy Fenicja. Już dziś zbiera się podatek.

— Sam dałem dwa talenty! — szepnął Rabsun.

— Dam dziesięć — rzekł Dagon. — Ale co ja dostanę za moją pracę?...

— Co?... No, dziesięć okrętów — odparł Hiram.

— A ty ile zarobisz? — spytał Dagon.

— Mało ci?... Więc dostaniesz piętnaście...

— Ja się pytam: co ty zarobisz? — nalegał Dagon.

— Damy ci... dwadzieścia... Dosyć?

— Niech będzie. Ale pokażcie mi drogę do kraju srebra?

— Pokażemy.

— I tam, skąd bierzecie cynę?

— No...

— I tam, gdzie się rodzi bursztyn — zakończył Dagon.

— Żebyś ty raz zdechł! — odparł miłościwy książę Hiram, wyciągając do niego rękę. — Ale już nie będziesz chował złego serca dla mnie za tamte dwie krypy?

Dagon westchnął.

— Będę pracował, ażeby zapomnieć. Ale... jaki ja miałbym majątek, gdybyście mnie nie odpędzili wtedy!...

— Dosyć!... — wtrącił Rabsun. Gadajcie o Fenicji.

— Przez kogo ty się dowiesz o Beroesie i traktacie? — spytał Dagona Hiram.

— Daj spokój. Niebezpiecznie mówić, bo do tego będą należeli kapłani.

— A przez kogo mógłbyś zepsuć traktat?

— Ja myślę... Ja myślę, że chyba przez następcę tronu. Mam dużo jego kwitów.

Hiram podniósł do góry rękę i odparł:

— Następca — bardzo dobrze, bo on zostanie faraonem, może nawet niezadługo...

— Psyt!... — przerwał Dagon, uderzając pięścią w stół. — Żeby tobie mowę odjęło za takie gadanie!...

— Oto wieprz!... — zawołał Rabsun, wygrażając bankierowi pod nosem.

— A to głupi kramarz! — odpowiedział Dagon z szyderczym uśmiechem. — Ty, Rabsun, powinieneś sprzedawać suszone ryby i wodę na ulicach, ale nie mieszać się do interesów między państwami. Wołowe kopyto, umazane w egipskiem błocie, ma więcej rozumu, aniżeli ty, który pięć lat mieszkasz w stolicy Egiptu!... Oby cię świnie zjadły...

— Cicho!... cicho!... wtrącił Hiram. — Nie dacie mi dokończyć...

— Mów, boś ty mądry i ciebie rozumie moje serce — rzekł Rabsun.

— Jeżeli ty, Dagon, masz wpływ na następcę, to bardzo dobrze — ciągnął Hiram. — Bo jeżeli następca zechce mieć traktat z Asyrją, to będzie traktat, i w dodatku napisany naszą krwią, na naszych skórach. Ale jeżeli następca zechce wojny z Asyrją, to on zrobi wojnę, choćby kapłani przeciw niemu wezwali do pomocy wszystkich bogów.

— Psyt! — wtrącił Dagon — jeżeli kapłani bardzo zechcą, to będzie traktat... Ale może oni nie zechcą...

— Dlatego, Dagonie — mówił Hiram — my musimy mieć za sobą wszystkich wodzów..

— To można...

— I nomarchów...

— Także można...

— I następcę — prawił Hiram. — Ale, jeżeli tylko ty sam będziesz go pchał do wojny z Asyrją, to na nic. Człowiek, jak arfa, ma dużo strun i igrać

ia nich trzeba dziesięcioma palcami, a ty, Dagonie, esteś tylko jednym palcem.

— Przecież nie rozedrę się na dziesięć części...

— Ale ty możesz być jak jedna ręka, przy której jest pięć palców. Ty powinieneś zrobić to, ażeby nikt nie wiedział, że ty chcesz wojny, ale — ażeby każdy kucharz następcy chciał wojny, ażeby wszyscy łaziebnicy, lektykarze, pisarze, oficerowie, woźnice, ażeby oni wszyscy chcieli wojny z Asyrją, i ażeby następca słyszał o tem od rana do nocy, a nawet kiedy śpi...

— To się zrobi.

— A znasz ty jego kochanki? — spytał Hiram.

Dagon machnął ręką.

— Głupie dziewczęta — odparł. — One tylko myślą, ażeby ustroić się, wymalować i pachnidłami namaścić... Ale skąd się biorą te pachnidła i kto je przywozi do Egiptu, o tem już nie wiedzą.

— Trzeba mu podsunąć taką kochankę, ażeby o tem wiedziała — rzekł Hiram.

— Skąd ją wziąć?... — spytał Dagon. — A... mam!... — zawołał, uderzając się w czoło. — Znasz ty Kamę, kapłankę Astoreth?...

— Co?... — przerwał Rabsun. Kapłanka świętej bogini Astoreth będzie kochanką Egipcjanina?...

— Tybyś wolał, ażeby ona była twoją?... — szydził Dagon. Ona nawet zostanie arcykapłanką, gdy będzie trzeba zbliżyć ją do dworu...

— Prawdę mówisz — rzekł Hiram.

— Ależ to świętokradztwo!... — oburzył się Rabsun.

— To też kapłanka, która je popełni, może umrzeć — wtrącił sędziwy Hiram.

— Żeby nam tylko nie przeszkodziła ta Sara żydówka — odezwał się po chwili milczenia Dagon. — Ona spodziewa się dziecka, do którego książę już dziś jest przywiązany. Gdyby zaś urodził się syn, poszłyby w kąt wszystkie.

— Będziemy mieli pieniądze i dla Sary — rzekł Hiram.

— Ona nic nie weźmie!... — wybuchnął Dagon. — Ta nędzna odrzuciła złoty, kosztowny puhar, który jej sam zaniosłem!...

— Bo myślała, że ją chcesz okpić — wtrącił Rabsun.

Hiram pokiwał głową.

— Niema się czem kłopotać — rzekł. Gdzie nie trafi złoto, tam trafi ojciec, matka, albo kochanka. A gdzie nie trafi kochanka, jeszcze dostanie się...

— Nóż... — syknął Rabsun.

— Trucizna... — szepnął Dagon.

— Nóż to rzecz bardzo grubjańska... — zakonkludował Hiram.

Pogładził brodę, zamyślił się, wkońcu powstał i wydobył z zanadrza purpurową wstęgę, na której były nawiązane trzy złote amulety z wizerunkiem bogini Astoreth. Wyjął z za pasa nóż, przeciął wstęgę na trzy części i dwa kawałki z amuletami wręczył Dagonowi i Rabsunowi.

Potem wszyscy trzej ze środka pokoju poszli w kąt, gdzie stał skrzydlaty posąg bogini; złożyli

ęce na piersiach, a Hiram zaczął mówić zniżonym głosem, lecz wyraźnie:

— Tobie, matko życia, przysięgamy — wiernie dochować umów naszych i dopóty nie spocząć, dopóki święte miasta nie będą zabezpieczone od wrogów, których oby wytępił głód, zaraza i ogień...

Gdyby który z nas nie dotrzymał zobowiązania, albo zdradził tajemnicę, niech spadną na niego wszystkie klęski i sromoty... Niech głód skręca jego wnętrzności, a sen ucieka od krwią nabiegłych oczu... Niech ręka uschnie temu, któryby mu pośpieszył z ratunkiem, litując się jego nędzy... Niech na stole jego chleb zamieni się w zgniliznę, a wino w cuchnącą posokę... Niech dzieci jego wymrą, a dom niech mu napełnią bękarty, które oplwają go i wypędzą. Niech skona, jęcząc przez wiele dni, samotny, i niech spodlonego trupa nie przyjmie ziemia, ani woda, niech go ogień nie spali, ani pożrą dzikie bestje...

Tak niech się stanie!...

Po strasznej przysiędze, którą zaczął Hiram, a od połowy wykrzykiwali wszyscy, głosami drżącemi ze wściekłości, trzej Fenicjanie odpoczęli zadyszani. Potem Rabsun zaprowadził ich na ucztę, gdzie przy winie, muzyce i tancerkach na chwilę zapomnieli o czekającej ich pracy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

STEINBECK BOOKSHOP
JUL 1978

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA

3 0112 058490282